Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1917 (październik-grudzień)
i rok 1918 (styczeń-luty)
Michał Römer
Sędzia pokoju w Kolnie
Kolno, 22.X.1917
Tom XXIII

22 października, rok 1917, poniedziałek
Po wyspie Oesel Niemcy sięgneli po sąsiednią wyspę Dagö. Wylądowali już na niej i postępują. Wkrótce będzie ona w ich posiadaniu. Tą drogą zdobędą punkt oporu u wrót Zatoki Fińskiej i punkt wyjścia do ewentualnego uderzenia w jej głąb. Strategicznie i politycznie są to fakty ogromnej doniosłości. Chodzi o wielkie atuty w grze o Bałtyk, co ma olbrzymie znaczenie zarówno ze stanowiska międzynarodowego, jak najżywotniejszych dziejowych interesów Rosji, jak wreszcie zagadnień bytu i losów całej gromadki narodów, usadowionych wieńcem dokoła wybrzeży Bałtyku. Te ostatnie zagadnienia, ponieważ chodzi o narody drobne, pozbawione, prócz Szwecji i ewentualnie Finlandii, bytu państwowego, są w sferze wielkich zagadnień międzynarodowych drobne, dla dalekiego świata ledwie albo i zgoła niedostrzegalne, ale dla dziejów północnego wschodu europejskiego poważne. Dla mnie też są one szczególnie ciekawe i ważne, bo się wiążą z moją Ojczyzną i dotyczą ludów, które mi są bliskie i dla których mam z wielu źródeł płynący osobliwy sentyment. Wszak te wybrzeża siwego Bałtyku z wieńcem ludów litewsko-fińsko-skandynawskich – to jest kompleks dziejowy od wieków licznymi więzami różnorodnych stosunków powiązany, przerwany tylko parusetletnią powodzią mocarstwową Rosji. Tam na tych falach Bałtyku i jego wybrzeżach spełniają się naturalne losy wszystkich tych ziem okolicznych. Szwecja, Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa – oto imiona tych, którzy są uczestnikami kompleksu bałtyckiego i których losy natura we współzawisłość wiąże, cementując je ich Morzem Śródziemnym. Litwa w dziejach swoich zboczyła od dróg bałtyckich, wzięła rozbrat z naturą bałtyckiego kompleksu i rozlała się szeroko w daleki głąb lądu, wchodząc w związki z Rusią Białą i Kijowską oraz z Polską i zrywając kontakt plemienny z bratnią Łotwą oraz tradycję stosunków z Północą fińską i rycerską Skandynawią. Dziś, gdy się budzi i odradza z etnicznej swojej głębi ludowej, rdzennie litewskiej, sięga coraz częściej wzrokiem i tęsknotą do tego bałtyckiego kompleksu Północy, odcinając się z niechęcią od południa i włócząc za sobą białoruski ogon lądowy, od którego nie może się wciąż odczepić, a który jak wielka kula u nogi hamuje lot jej skrzydeł i jak ciężkie cielsko nieskończonych bez kresu równin na wschód, aż gdzieś w daleką Azję biegnących bez wyraźnych konturów i rysów osobistych, jak potworna masa materii – pęta jej konkretną indywidualną wolę i czyn. Litwa, uwiązana przez Białoruś w Polskę i Rosję, sprawia wrażenie małego ptaka, uwiązanego do słonia. W przestworzu lecą jej bratnie ptaki, ona zaś szarpie się z masy lądowej, w której przed wiekami ugrzęzła. Jej sferą właściwą jest Bałtyk i jego wybrzeża, jej wspólnikami dziejowymi, w których kompleksie wolność swą iścić może, są ludy litewsko-fińskie i ewentualnie skandynawskie Bałtyku, nie zaś głąb lądu, to znaczy ani Polska, ani Niemcy, ani nawet Białoruś, ani tym mniej daleka, wielka, w równinach i bogactwach Azji tonąca, egzotyczna Rosja. Takie myśli mi się nasuwają. I kto wie, czy nie tylko i jedynie na Bałtyku, we współwolności Łotwy, Estonii, Finlandii i Skandynawii jest

wolność Litwy. Instynkt mi to wskazuje, budząc się ze szczególną siłą w związku z wypadkami na Bałtyku i jego wybrzeżach. Instynkt ten, zdaje się, towarzyszy także biegowi myśli polityczno-narodowej odradzających się Litwinów, choć jeszcze może uświadomiony programowo nie został. Ale na to przyjdzie jeszcze czas. Tymczasem dałoby się stwierdzić jego istnienie na analizie prądów myśli litewskiej. Idea też państwa bałtyckiego (Litwa z Łotwą i ewentualnie Estonią) była najpopularniejszą przeczuwaną tęsknotą Litwinów w samych początkach tej wojny. I jeżeli ja się przechyliłem do Jagiellońskiej idei Rzeczypospolitej, to dlatego, że idea bałtycka zdawała się w pierwiastkowym biegu tej wojny nieziszczalną. Dziś wypadki nawracają do tej koncepcji. Ciekaw jestem, co teraz nastąpi. Czy nie jest fantazją ewentualność wylądowania Niemców w Finlandii, czy też możliwą jest akcja na Rewel i Kronsztadt? Są pogłoski w gazetach, że Anglicy, zatrwożeni sukcesami niemieckimi na Bałtyku, wysłali tam swoje łodzie podwodne. Przez zajęcie Ozylii (wyspy Oesel) Niemcy faktycznie oderwali od Rosji pierwszą piędź etnicznego terenu estońskiego.

23 października, rok 1917, wtorek
Od kilku dni ruch się robi większy w moim sądzie. Spraw napływa po kilka dziennie, sesje, wyznaczone z góry już na cały listopad, szybko się zapełniają sprawami. Widocznie przeszedł już czas kartofli i ludzie biorą się do regulowania swoich interesów.
Zabiorę się dziś do kontynuowania niedokończonego w dzienniku referatu o samorządzie internowanych legionistów w Szczypiornie za czasów mojego tam pobytu. Z pewnością odtąd zajść tam musiały duże zmiany. Biedacy dotąd siedzą w tej niewoli, przymierają półgłodem i znoszą z pewnością cięższe, niż za moich czasów, męczarnie braku oświetlenia i chłodów jesiennych. Smutny ich los. Musieli się jakoś przystosować do warunków, ale wycieńczenie fizyczne, które już za moich czasów było wielkie, musi być dziś straszne i stan moralny z pewnością także się pogorszył. Musiało się to wyrazić i w formach ich współżycia, w organizacji i funkcjach ich samorządu. Żadnego sposobu skomunikowania się z nimi nie mam, żadna mię wieść stamtąd nie dochodzi. Biedni chłopcy. Dla Polski, moim zdaniem, jest to fatalne. Ci legioniści – to był ten najżywszy, najwrażliwszy młody element ludowy, który do sprawy polskiej czynnie stawał i ją dźwigać usiłował. W Polsce, w której masa ludu jest tak bierna, tak nieraz obca sprawie narodowej, uważająca Polskę za rzecz „pańską" i nie czująca w niej siebie, te zastępy legionowej młodzieży, ta ich krew żywa – była pewnego rodzaju aktem komunii Polski z ludem. Legioniści byli zwiastunami Polski demokratycznej, Polski ludowej. Dziś są oni wytrąceni ze sprawy, umęczeni. Co pomoże garść inteligencji „aktywistycznej", mozolnie budującej tę Polskę z udziałem sił obcych, gdy współpracy ludu, gdy zaczynu demokracji w niej nie ma? To, co się buduje, może się stać rzeczą obojętną i obcą nie tylko dla wielkiej masy ludu, ale nawet dla tej najlepszej, najwrażliwszej i najpodatniejszej jego cząstki. Dzieło Rady Stanu po katastrofie Legionów stało się konstrukcją zupełnie nieżywotną. Dziś Rada Regencyjna może jeszcze tę rzecz naprawić, bo staje ona do dzieła wolna od moralnego spadku po Radzie Stanu. Od jej mądrości, od zmysłu i wyrobienia politycznego tych elementów, które się w niej streszczają, zależy bardzo dużo. Powinno być uchylone niebezpieczeństwo rozbratu z ludem i w pierwszym rzędzie zlikwidowana być powinna hańba państwowego odrodzenia Polski – Szczypiorno i Beniaminów.
Dziś tutaj dokończę w kilku słowach o funkcjonowaniu samorządnego wymiaru sprawiedliwości legionistów w Szczypiornie za moich czasów. Chcę uzupełnić słówko o karach, wymierzanych przez sądy żołnierskie. Była to tych sądów najsłabsza strona. Nie rozporządzaliśmy żadnym ustalonym systemem kar i co do przeważnej ich ilości,

nawet w tym szczupłym zakresie, w jakim je stosowaliśmy, nie mieliśmy pewności ścisłego ich wykonania. Kary musiały sądy żołnierskie same improwizować. Brakło podstawowej najistotniejszej we wszelkim systemacie karnym kary – pozbawienia wolności (aresztu względnie więzienia). Nie mieliśmy stosownego lokalu ani władzy do zastosowania tej kary. Kilkakrotnie powstawała myśl oddawania skazanych winowajców do rąk władz obozowych dla osadzenia ich w urzędowym niemieckim areszcie obozu. Nie zdecydowaliśmy się jednak na taką pomoc obcej władzy w naszym wzajemnym koleżeńskim wymiarze sprawiedliwości. Elementarną, w głodowych stosunkach obozu jeńców bardzo dotkliwą karą pozostało pozbawienie winnych porcji dodatkowej chleba z Komitetu Kaliskiego. Często jednak i to zawodziło, bo wykonanie kary w braku kontroli zależało często od fantazji komendantów tych poszczególnych baraków (a nieraz i ogółu lokatorów baraku), w których mieszkali skazani. Co do innych kar – to były one prawie że fikcją. Zgoła zaś fikcją był „areszt barakowy", który też przestaliśmy stosować. Przed samym moim wyjazdem dopiero zaczęto w sądownictwie żołnierskim organizować kontrolę wykonania kar. O sądownictwie naszym niemieckie władze obozowe wiedziały i tolerowały je nawet z pewnym uznaniem.

24 października, rok 1917, środa
Dzień sesji, spraw było na wokandzie dużo, bo dziesięć i prawie we wszystkich było po kilka świadków. Zdawało się więc, że sesja zaciągnie się bardzo długo, ale jakoś sprawy szły względnie szybko i pomimo wielu świadków, były mało skomplikowane. W kilku sprawach nie doszło wcale do badania świadków. Nie było dziś wcale charakterystycznych spraw o konie lub krowy, spraw, które są zwykle najbardziej zawiłe, oparte na świadkach i trudne do kategorycznego orzeczenia na korzyść tej lub innej strony. Natomiast było kilka nie mniej charakterystycznych w stosunkach ziemi, względnie o zakłócenie posiadania. W tych sprawach chłopi przeważnie najmniej się orientują. Nie mogą się połapać w odróżnieniu kwestii posiadania od kwestii własności. Jest to dla ich umysłów jeden z najtrudniejszych i najmniej zrozumiałych problemów. Zwykle zakłócającym posiadanie jest ten, który rości jakieś pretensje własności do spornej ziemi i powołuje się na tytuł. Wychodząc z założenia, że zasądzenie jest tylko wtedy wymiarem sprawiedliwości, kiedy ludzie, do których praw się ono stosuje, rozumieją, dlaczego wygrali lub przegrali spór, staram się zwykle ustnie wyłożyć stronom istotę sytuacji i motywy, dla których jedna musi przegrać. W sprawach o posiadanie jest to szczególnie niezbędne. Przegrywający, nieraz właściciel prawowity albo za takiego się *bona fide* mający, skłonny jest przypuszczać, że jego wygrywającemu przeciwnikowi w sporze o posiadanie zasądzamy wyrokiem własność. Różnica posiadania i własności jest tak mało uchwytną dla prostych umysłów włościańskich, że trzeba im ją kłaść jak łopatą do głowy, aby wreszcie chłop zrozumiał, że sąd pokoju broni li tylko faktycznego posiadania, nie przesądzając kwestii własności, którą mający się za właściciela mocen jest wszcząć w sądzie okręgowym. Ale na sesji dzisiejszej wśród spraw, które były na wokandzie, była jedna skomplikowana i budząca w Kolnie sensację, stanowiąca „*clou*" dzisiejszej sesji. Jest to sprawa Kajmanów. W świecie żydowskim Kolna ta ma wielki rozgłos. Chodzi o alimenty, których poszukuje synowa od ojca i macochy mężowskich. Okoliczności sprawy są następujące. Stary Kajman, przeszło 80-letni zgrzybiały starzec, żonaty jest po raz czwarty. Z dwóch pierwszych żon dzieci nie miał. Z trzeciej miał kilkoro. Gdy mu trzecia umarła, ożenił się z namowy chasydów po raz czwarty z ubogą młodą dziewczyną, sierotą po jego rodzonym bracie, która była w jego domu na podrzędnej stopie na poły sługi. Podług pojęć chasydów, stary zamożny wdowiec powinien się z taką ubogą krewną sierotą,

przebywającą w jego domu, ożenić, aby ulegalizować opiekę nad nią, dać jej stanowisko w rodzinie i zarazem uchylić zgorszenie z jakichkolwiek ewentualnych plotek. Bogaty starzec usłuchał namowy. Z czwartej żony miał znowu dzieci, które dziś są już także dorosłe. Czwarta żona zdołała usidlić niedołężnego starca i odwracając jego serce od dzieci z trzeciego małżeństwa, z krzywdą dla nich doiła bogactwa starca na własną i dzieci swoich wyłącznie korzyść. Kapitały starca wywiozła i zalokowała w Warszawie na własne imię, tu zaś w Kolnie jest jeszcze dom należący do Kajmana. Dzieci z trzeciego małżeństwa rade by krzywdy swej dochodzić i ujawniając symulację, obalić macochy Kajmanowej wzbogacenie się. Tymczasem syn starego Kajmana z trzeciego małżeństwa jest w Ameryce, odcięty przez wojnę od swej młodej przystojnej żony z nieletnimi dziećmi. Młoda Zełda Kajmanowa jest w nędzy zupełnej z dziećmi. Przestarzały teść odmawia jej wszelkiej pomocy, a nawet mieszkania jej w domu swym użyczyć nie chce, bo gdy biedna kobieta została zakwaterowana przymusowo w jego kamienicy, on dziś na sądzie przez usta swego adwokata zgłosił do niej powództwo wzajemne o eksmisję. Synowa Zełda Kajmanowa wytoczyła do teścia i macochy powództwo o 600 mk. jednorazowych alimentów. Jej sprawę prowadzi Goldberg. Synowa z małymi dziećmi jest w nędzy do tego stopnia, że mając bogatych rodziców męża, zmuszona jest szukać wsparcia publicznego od gminy żydowskiej. Gmina, która ma dość nędzarzy do wspierania, wpłynęła na biedną kobietę, aby szukała pomocy teścia w drodze sądowej. Chciwa krzywdy pasierbów macocha nie ustępuje. Przeciwko Goldbergowi, który prowadzi sprawę z ramienia synowej, sprowadziła aż z Łomży adwokata Kulkina, gwiazdę adwokacką w pojęciu żydostwa kolneńskiego, obrońcę prywatnego, który niegdyś rozpoczął swoją karierę adwokacką w Kolnie, a potem po wzbogaceniu się przeniósł się do Łomży. Przyjazd adwokata z Łomży jest sam przez się dla sądu w Kolnie wypadkiem niezwykłym. Kulkin zarzucał brak upoważnienia sądowego do sądowego wystąpienia powódki, dalej usiłował uchylić sprawę na skutek rzekomego pogwałcenia właściwości sądowej; obie ekscepcje uchyliliśmy. Dalej Kulkin wytoczył powództwo wzajemne o eksmisję. Ostatecznie sprawa została dla wezwania świadków odroczona. W społeczeństwie żydowskim sprawa budzi sensację i sprawia wrażenia publicznego skandalu. To stanowisko i zachowanie się Żydów w tej sprawie jest o wiele ciekawsze i charakterystyczniejsze od samej sprawy. Dla mnie jest ono wstrętne, typowo drobnoburżuazyjne, niesłychanie wsteczne i niemoralne, które tylko straszliwą ciemnotą masy żydowskiej, tchórzliwością i małością inteligentniejszych Żydów wytłumaczyć mogę. Sprzeczne uczucia nurtują środowisko żydowskie w tej sprawie. Z jednej strony jest u jednych poczucie sprawiedliwości i krzywdy, które budzi sympatię dla sprawy synowej, jest także chęć czynników gminy żydowskiej przełożenia ciężaru utrzymania biednej kobiety z dziećmi z bark publicznych na barki bogatego teścia; z drugiej wszakże jest pewnego rodzaju zgorszenie skandalu wynoszenia śmieci domowych żydowskiego środowiska i żydowskiej rodziny przed sąd publiczny „gojów", w którym wprawdzie zasiada ławnik-Żyd, ale który jest dla Żydów bądź co bądź w ich poczuciu sądem obcym. Wreszcie, co najwstrętniejsze, jest podłe tchórzostwo narażenia się bogatym w Kolnie starym Kajmanom, którzy należą do społeczeństwa miejscowego, mają swoje wpływy i swoich stronników, podczas gdy uboga młoda Zełda jest przybyszką obcą, bez wpływów i stanowisk. Ten ostatni wzgląd zwłaszcza, podły w literalnym znaczeniu słowa, ujawnia się zwłaszcza w niechęci świadczenia w sprawie. Wszyscy Żydzi panicznie się boją, czy którego z nich Zełda Kajman nie powołała na świadka, a ci, co są powołani, usiłują się wykręcić i albo się nie stawiają, albo, jak to dziś trzech świadków zrobiło, odmawiają złożenia przysięgi, za co ich osztrafowałem, a chętnie bym ich jeszcze ostrzej ukarał. I robią to Żydzi niby inteligentniejsi.

25 października, rok 1917, czwartek
Nic szczególnego dziś nie zaszło.
Toteż oderwę się znowu od spraw bieżących i wrócę w dzienniku mym do stosunków życia legionistów w obozie jeńców w Szczypiornie. Omówię czynności administracyjno-gospodarcze i stosunki kulturalno-oświatowe w samorządzie internowanych. Na samym początku naszego pobytu w obozie jeńców nasz komitet żołnierski bloku IV, który się wtedy jeszcze nazywał radą żołnierską, złożony z delegatów, wybranych w drodze głosowania powszechnego po barakach, zaprojektował podział całokształtu czynności na trzy zasadnicze komisje: a) komisję oświatową, do której miały należeć odczyty, nauczanie i ewentualna akcja wydawnicza, b) komisję teatralną i rozrywkową i c) komisję gospodarczą i spraw wewnętrznych. Na czele każdej komisji stał prezes jako jej kierownik i referent wobec komitetu, odpowiedzialny za jej czynności. Na czele komisji oświatowej miał stanąć Zowczak, który zresztą na ogół okazał się mało energiczny i później w pracach naszego samorządu żadnej roli nie grał, na czele teatralnej – Zagłoba-Kamiński, na czele gospodarczo-administracyjnej – ja. Do komisji gospodarczej należeć mieli następujący członkowie komitetu: Malbrocki, Lehr, Frycz, Jalowski, Krzewski, Grodek, Edward Wojciechowski, Biernacki, Górski, Niedzielski i ja; poza tym można było wciągać do niej zarówno innych członków komitetu, jak żołnierzy spośród ogółu, nie należacych do komitetu. Komisję tą projektowano podzielić na następujące sekcje, odpowiednio do różnych przewidywanych jej funkcji: a) sekcja żywnościowa (dozór nad kuchnią i kantyną), b) sekcja sanitarna (czuwanie nad zdrowotnością, wydawanie stosownych przepisów i zakazów, sprawy mieszkaniowe, w szczególności dachy, które były w złym stanie i zaciekały, pranie itp.), c) sekcja finansowa, d) sekcja stosunków zewnętrznych (zorganizowanie konspiracyjnej poczty, komunikowanie się z pułkiem, pośrednictwo dla żołnierzy i dla komitetu na zewnątrz w stosunkach z Kaliskim Komitetem Pomocy, z rodzicami etc.), d) sekcja rozdzielcza (organizacja prawidłowego podziału wszelkich produktów żywnościowych, dostarczanych skądkolwiek do obozu bądź w drodze darmowej, bądź przez zakupy), e) sekcja administracyjna albo spraw wewnętrznych, f) sekcja sądowo-egzekucyjna i g) sekcja inicjatywy. Z tej wszakże pierwotnej mnogości sekcji większą część postanowiono całkiem skasować i utrzymać tylko cztery: żywnościową, sanitarną, stosunków zewnętrznych czyli pocztową, i sądowo-egzekucyjną. Miały więc być trzy komisje, a w ostatniej cztery sekcje. I to się wszakże w praktyce w tej budowie nie utrzymało. Potrzeby realne i praktyka życia przełamały pierwotny plan konstrukcji i podyktowały dane formy, jakie się okazały najodpowiedniejsze. Przede wszystkim, samorząd z ram blokowych przeszedł na szerszą arenę całości internowanego obozu legionistów. Organizacja blokowa podporządkowała się obozowej. Sprawy żywnościowe, które początkowo miały być zorganizowane w sekcji, wyrosły do poziomu wielkiej i samodzielnej komisji, zorganizowanej niezależnie od komitetu. Odrębność komisji teatralno-rozrywkowej znikła; sama ta komisja zresztą przestała istnieć, bo teatru nie dało się zorganizować; wszystkie przewidziane funkcje i zadania tej komisjiześrodkowały się w jednej wielkiej akcji kulturalno-oświatowej, tworzonej częściowo samorzutnie, częściowo zaś pod kierownictwem komitetu żołnierskiego obozowego, względnie komitetów blokowych. Zamiast sekcji sądowo-egzekucyjnej wyrosła wielka samodzielna instytucja sądu żołnierskiego, z sądem obożnym do spraw większej wagi i dotyczących stosunków ogółu (międzyblokowych) i sądami blokowymi. Sprawy sanitarne od samorządu żołnierskiego odpadły i przeszły wyłącznie w ręce odrębnego sanitariatu, zorganizowanego formalnie przez naszych lekarzy w obozie. Odpadły też sprawy

pocztowe i administracyjne, które ujęła w swe ręce nasza samorządna komenda. Komitet żołnierski, poza akcją oświatową, pozostał reprezentacją polityczną i moralną ogółu internowanych. O wewnętrznej treści akcji oświatowo-kulturalnej i gospodarczo-żywnościowej powiem innym razem.

26 października, rok 1917, piątek
Dzień sesji w sądzie. Ławnicy: Stachelski i Jerozolimski. Sesja była króciutka – trwała dwie godziny. Ogółem wyznaczonych było na dziś sześć spraw, z których trzy miały być odroczone na prośbę adwokata Goldberga, który był wezwany na dziś do sądu okręgowego w Łomży. Dwie z jego spraw odroczyliśmy istotnie, trzecią wszakże, rewersową, zasądziliśmy przeciwko jego klientowi, bo jako oparta na akcie bezspornym, odroczyć się nie dała. Poza tym były trzy sprawy, z których jedna, najgrubsza, została umorzona z powodu niestawienia się powoda, dwie zaś inne, drobniutkie, jedna – o 3 mk. i druga – o 8 mk., rzekomo nie dopłaconych za warkocz, były osądzone. Sesja była bezbarwna. Nie było zwykłego podczas sesji ruchu i ożywienia na sali.
Będę zatem kontynuować o funkcjonowaniu samorządu żołnierskiego w Szczypiornie za czasów mojego tam pobytu. Akcja oświatowo-kulturalna była planowana na szeroką skalę. Były wszakże liczne przeszkody, które utrudniały jej realizację całkowitą, toteż organizowała się i ustalała bardzo powoli. Chciano zorganizować całokształt szkolnictwa, od elementarnego nauczania analfabetów począwszy, kończąc zaś na wykładach ściśle naukowych w sferze wyższego specjalnego nauczania. W szeregach Legionów bowiem reprezentowane są wszystkie skale wykształcenia – od zupełnych analfabetów do ludzi o wyższym wykształceniu uniwersyteckim lub zawodowym. Tych ostatnich jest najwięcej w artylerii i ułanach; w piechocie jest ich mało nie tylko wśród szeregowców i podoficerów, ale nawet wśród oficerów. Co do analfabetów, to kompletnych jest niewielu, bo w różnych czasach i różnych okolicznościach tworzone były jeszcze w pułkach albo w batalionach uzupełniających bądź w domu rekonwalescentów w Kamieńsku – doraźne kursy dla analfabetów. Niewielu więc jest takich żołnierzy, którzy nie trafili ani razu do odpowiedniego kursu i pozostali analfabetami. Wśród żołnierzy liniowych takich prawie nie ma; trafiają się tacy częściej wśród taborytów, saperów, sztabowców i ordynansów oficerskich. Ponieważ w Szczypiornie byli żołnierze ze wszystkich formacji, więc byli wśród nich i analfabeci. Ale i ci, którzy liznęli początków nauki czytania i pisania, niedaleko jeszcze byli odbiegli od analfabetyzmu. Pod ogólnym mianem szkoły dla analfabetów usiłowano zorganizować w Szczypiornie całokształt szkolnictwa elementarnego. Przymusu szkolnego, jak to było robiono na analogicznych kursach w pułkach lub w batalionach uzupełniających, jednak w Szczypiornie nie zarządzono. Dyscyplina wojskowa w naszych stosunkach wewnętrznych w obozie jeńców była o tyle rozluźniona, żołnierze do tego stopnia już się czuli z karbów wojskowości wyemancypowani, że przymus byłby trudny do wykonania, a zresztą nie uważano za stosowne przez wprowadzenie elementu przymusowego psuć środowiska chętnych do nauki. Nie wszyscy więc, którym się to należało, korzystali z tej okazji do nauki. Warunki życia w obozie jeńców, zarówno głód, jak niewola, usposabiały ludzi szczególnie do lenistwa, które się szerzyło wśród internowanych jak epidemia. Pod koniec mojego pobytu w Szczypiornie zastanawiano się w łonie naszego samorządu nad przedsięwzięciem energicznych środków przeciwko tej epidemii lenistwa, która demoralizowała charaktery i wytwarzała gorsze formy hultajstwa. Pomimo to jednak do tej niższej formy nauki szkolnej zgarnęła się spora garstka żołnierzy. Szkolnictwo to było rozdzielone na oddziały stopniowe. W najniższym oddziale uczono elementarnego czytania i pisania

tych, którzy nic nie umieli; w następnym oddziale uczono wyższych stopni pisowni i początków arytmetyki (elementarnej nauki rachunków); wreszcie w trzecim oddziale uczono ułamków, geografii i popularnej historii. Nauczanie odbywało się po blokach. Kierowali nim żołnierze, którzy z zawodu są nauczycielami ludowymi; tych było w Legionach bardzo dużo i zawsze bardzo chętnie się tej pracy podejmowali. Nauczyciele ci byli w sprawach szkolnictwa zorganizowani w Szczypiornie korporacyjnie, co bardzo dobrze wpływało na bieg ich pracy. Kierowali nauką zupełnie autonomicznie. Był ogromny blok wszelkich najelementarniejszych środków nauki: podręczników zaledwie kilka udało się z Kalisza od Ligi Kobiet przemycić; kajetów i w ogóle papieru był także brak dotkliwy; zamiast atramentu używano ołówków; o stołach i ławkach szkolnych nie było mowy; lokalów szkolnych nie było wcale. Lekcje odbywały się pod gołym niebem na słoneczku między barakami. Uczniowie pisali leżąc albo siedząc na kolanie. Jeżeli padał deszcz – nauki nie było.

27 października, rok 1917, sobota
Gotuję się do wyjazdu na pozajutro do Łomży, dokąd wezwany zostałem na zwołaną przez prezesa sądu okręgowego konferencję sędziów pokoju Okręgu Sądowego Łomżyńskiego. Siedząc w Kolnie, Łomża, która sama jest małą prowincjonalną dziurą, wydaje się wielkim ogniskiem miejskiego życia. Proporcje między Kolnem a Łomżą są mniej więcej takie, jak między Łomżą a Warszawą. Wszakże był czas – przed wojną – że Kolno było czymś większym i ruchliwszym, o czym dzisiejsze Kolno żadnego wyobrażenia nie daje i że z pewnością nie ustępowało temu, czym dziś jest Łomża. Jak się dowcipnie wyraził jeden Kurp', który przyszedł dowiadywać się o rejenta i usłyszał w odpowiedzi, że jeszcze nic nie wiadomo, czy będzie rejent przyjeżdżać do Kolna, „Teraz Łomża jest tak, jak dawniej Kolno, a Warszawa – jak dawniej Łomża." Zaiste – stosunek proporcji w dzisiejszym zubożeniu życia w czwartym roku wojny jest podobny. *À propos* rejenta wszakże, to zdaje się, że go jednak Kolno mieć będzie. Na moje w tej sprawie parokrotne zapytania otrzymałem dziś list od prezesa sądu okręgowego, Filochowskiego, który pisze, że ma zamiar osadzić w Kolnie jednego z rejentów łomżyńskich, nie prawnika. Dla Kolna taki wystarczy. Gdy Kolno mieć będzie rejenta, a jeszcze gdy się przyłączy do rewiru sądowego kolneńskiego gminę Gawrychy i ewentualnie Mały Płock, o co się staram i na co prezes nie daje odmownej w swym liście odpowiedzi, rezerwując tę kwestię do omówienia osobistego, to nasze Kolno bądź co bądź się podniesie trochę i stanie się większym ośrodkiem dla ruchu interesów w powiecie.
Będę pisać dalej o akcji oświatowo-kulturalnej w Szczypiornie. Poza szkolnictwem niższym, częściowo zaprojektowano, częściowo już za moich czasów zorganizowano cały szereg przedsięwzięć nauczania w zakresie szkolnictwa średniego i specjalnego. Wśród legionistów był dość znaczny procent młodzieży z wyższych klas gimnazjalnych oraz szkół realnych, handlowych i technicznych, którzy w latach 1914 i zwłaszcza 1915 (ponieważ w Szczypiornie byli sami Królewiacy, których największy dopływ do Legionów miał miejsce w r. 1915) porzucili szkoły dla wstąpienia do Legionów. Młodzież ta – to wszystko aspiranci albo na maturę, albo na egzaminy z odpowiedniej ilości klas gimnazjalnych. Wielu z nich jeszcze w pułku w roku bieżącym gotowało się do egzaminów albo wyjeżdżało na specjalne urlopy dla ich zdawania. Otóż zaprojektowano w Szczypiornie potworzyć z nich komplety i zorganizować systematyczne planowe kursy przygotowawcze do egzaminów na maturę i z poszczególnych klas. Chętnych do uczęszczania na takie kursy znalazło się bardzo wielu; sporządzono ich statystykę, spisano, ale z powodu braku środków technicznych do nauki rzecz ta na razie do skutku nie doszła i po krótkim okresie czynności

przygotowawczych – upadła. Kandydatów do personelu nauczycielskiego znalazłoby się dosyć, ale brak było podręczników, lokalu, materiałów pisemnych, a może i sprężystej inicjatywy i wytrwania. W ostatnich czasach przed moim uwolnieniem z obozu jeńców myśl tę podniesiono znowu z inicjatywy zarówno dr Kapelnera, jak naszej samorządnej komendy i komitetu żołnierskiego i zajęto się energicznie wykonaniem. Gdym wyjeżdżał, sprawa była już na dobrej drodze i bliska urzeczywistnienia. Druga rzecz bardzo ważna – to nauka języków nowożytnych: niemieckiego, francuskiego i angielskiego. Zużytkowanie nadmiaru wolnego czasu w obozie jeńców na nauczeniu się języków obcych było oczywiście rzeczą bardzo pożądaną. Amatorów, którzy się zapisali na projektowane kursy, było mnóstwo, zwłaszcza na język niemiecki. Spodziewano się, że może się da do nauki języka francuskiego zużytkować licznych w obozie Francuzów-jeńców, a do nauki niemieckiego ewentualnie podoficerów niemieckich z załogi obozu. Niemieckie władze obozowe jednak nie zgodziły się na to. Toteż rzecz ta, jedna z najpraktyczniejszych, utknęła. Później wznowiono tę myśl, ale ograniczono się już, zdaje się, wyłącznie do języka niemieckiego. Gdym wyjeżdżał – sprawa była w toku organizowania się.

28 października, rok 1917, niedziela
Wojska niemiecko-austriackie podjęły ofensywę na froncie włoskim i przełamały front nad Soczą (Isonzo). Sukces musi być wielki, skoro po dwóch dniach bitwy komunikaty niemieckie podają liczbę pojmanych jeńców włoskich na 30 000! Niemcy są wspaniali. Gdzie się ukażą i uderzą, tam jest zwycięstwo. Na froncie włoskim dotychczas walczyli przeciwko Włochom sami Austriacy. W ciągu 2 ½ lat, pomimo szeregu gwałtownych natarć włoskich, front posunął się naprzód bardzo mało. Austriacy – trzeba im to przyznać – stawili na tym froncie opór dzielny. Włosi, przy największych wysiłkach, zdołali uskutecznić zaledwie drobne postępy w kierunku na Triest. Ten całkowity prawie brak rezultatów wojny włoskiej tłumaczono nadzwyczajnymi trudnościami górzystego terenu walk w Alpach. Raz tylko jeden spróbowali Austriacy ofensywy w większym stylu na froncie włoskim. Było to na początku lata r. 1916 na odcinku tyrolskim. Powodzenie im w tym przedsięwzięciu sprzyjało: wdarli się na terytorium włoskie, zdobyli twierdze Arziero i Asiago; zdawało się, że dotrą do doliny Lombardii; aliści klęska, zadana im w tym czasie przez Rosjan pod Łuckiem, sparaliżowała ich ofensywę włoską. Teraz na front włoski przybyli Niemcy. I z chwilą ich interwencji dotychczasowy choć skuteczny, ale tylko bierny opór Austriaków zmienił się na wielkie zwycięstwo w natarciu czynnym i przełamaniu frontu. Ciekaw jestem, czy to zwycięstwo rozwinie się terytorialnie w dalszy zwycięski pochód w głąb Włoch. Na froncie francuskim natomiast Niemcy jednocześnie ponieśli porażkę. Pod ciosami Francuzów cofnęli się dość głęboko w okolicach kanału Oise-Aisne. Na froncie wschodnim po zajęciu wysp bałtyckich – cisza na razie.
Zdaje się, że wczoraj dokonała się w Warszawie uroczystość „intronizacji” regentów. Opis tej uroczystości ukaże się zapewne w dzisiejszych dziennikach, które dopiero jutro tutaj przyjdą. Już z ogłoszonego programu uroczystości widać, z jaką pompą odbywa się ta intronizacja. Polacy na ogół aż do przesady lubują się w blasku i wspaniałości dekoracyjnej. Trochę aż za dużo tego. Obchody narodowe, rozmaite pochody, wielkie dekoracyjne publiczne manifestacje – to ulubiony żywioł Polaków. Dla tego zewnętrznego przepychu gotowi są Polacy zaniedbać wewnętrzną treść rzeczy. Upajają się blaskiem wspaniałości, wyrazem formy zewnętrznej – i to im prawie wystarcza, prawie że za czyn starczy. Od 6 sierpnia 1914 do intronizacji regentów – co za droga tragiczna! 6 sierpnia 1914 szedł tworzyć wolność Polski samotnie – Piłsudski ze strzelców swych gromadką, dziś – wieńczy osiągniętą państwowość Polski arcybiskup

Kakowski. Piłsudski internowany w dalekiej twierdzy niemieckiej jako więzień stanu, najwierniejsi jego strzelcy – w obozach jeńców w Szczypiornie i Beniaminowie, triumfatorem zaś, który laury zasługi i godności na skroń swoją w przepychu warszawskim wdziewa – Kakowski.
Dzienniki przyniosły akt amnestii, ogłoszonej przez Beselera z okazji przejścia „władzy" w ręce regentów Polski. W amnestii nie ma słowa wzmianki o internowanych legionistach. A z pewnością nadzieje biedaków były wielkie. Nie nastał więc jeszcze kres ich smutnej martyrologii, tym smutniejszej, że obecnie już zupełnie bezcelowej.

29 października, rok 1917, poniedziałek
Wstałem raniutko po ciemku, bo na godz. 5 miałem wyznaczony wyjazd do Łomży. Furman mój jednak się spóźnił, tak że dopiero o godz. 6 wyjechałem. Jazda trwała trzy godziny. Droga nie jest nudna, pogoda sprzyjała: było ciepło, a gdym już dojeżdżał do Łomży, chmury się ostatecznie rozproszyły i zrobił się śliczny słoneczny dzień. Łomża od strony Narwi ślicznie jest położona. Gdy się podjeżdża, widok miasta z daleka – cudowny. O godz. 9 stanąłem w Łomży. Wypiłem w cukierni kawę z doskonałymi prawdziwymi ciastkami, przeczytałem gazetkę z opisem uroczystości wprowadzenia na urząd Rady Regencyjnej w Warszawie i zwycięstw niemiecko-austriackich na froncie włoskim i o godz. 10 poszedłem do sądu okręgowego. Na tę godzinę była wyznaczona konferencja sędziów pokoju. Zebrało się kilkunastu sędziów pokoju z całego Łomżyńskiego Okręgu Sądowego. Prezesa Filochowskiego jeszcze nie było; pojechał do Warszawy na uroczystości Rady Regencyjnej i wracał dopiero dziś o godz. 2 po południu. Na razie więc konferencję otworzył w sali posiedzeń sądowych jeden z sędziów okręgowych (członków sądu okręgowego) – sędzia Skarżyński. Obecnie byli na konferencji oprócz niego dwaj inni sędziowie okręgowi – Mieczkowski i Trampler. Reszta – sędziowie pokoju. Większość po raz pierwszy się poznała. Zaczęło się od tego, że poszczególni sędziowie pokoju zgłaszać zaczęli rozmaite kwestie, które w praktyce wywołują wątpliwości i co do których potrzebne jest ustalenie jakichś zasad postępowania. Oprócz tych kwestii wątpliwych wnoszono też na omówienie różne tzw. „bolączki" w funkcjonowaniu sądów pokoju. Z tych kwestii i bolączek ułożyła się długa lista, ogarniająca przeszło 40 punktów porządku dziennego. Przystąpiono do omówienia szczegółowego każdej kwestii w porządku ich zgłoszenia. Kwestie te dotyczyły przeważnie procedury, biurowości, spraw kasowych i gospodarczych. Ogromna ich większość – były to zagadnienia bardzo błahe albo wręcz dziecinne, którymi nie warto było obarczać konferencji. W ogóle poziom znajomości prawnej i inteligencji sędziów pokoju nie jest zbyt wysoki. Wśród zebranych na konferencji większość stanowili sędziowie pokoju z okręgów wiejskich, pełniący urząd sędziowski ubocznie, dawni sędziowie gminni. Są to przeważnie drobni właściciele ziemscy albo nawet zamożniejsi chłopi, b. wójci. Ludzie ci bardzo ciężko się orientują w przepisach biurowości, formalistyki kasowej, a nawet w pewnych zagadnieniach procesualnych. Na ogół jednak robili wrażenie poczciwych prostotą ziemi – do szpiku kości. Między tą grupą sędziów a sędziami prawnikami z sądów pokoju miejskich – różnica rażąca. Do najlepszych i najdzielniejszych głów w tym kolegium należeli sędzia pokoju z Łomży – Tarnowski, były adwokat przysięgły z Warszawy, człowiek młody, światły i b. sympatyczny i sędzia Wołodkiewicz z Ostrowia. Pierwsza sesja konferencji trwała do godz. 1 po południu. Część kwestii porządku dziennego zostawiono do omówienia na popołudnie, gdy przyjedzie prezes. Podczas obiadu w hotelu Rembielinie przyjechał prezes, który wprost z dworca pośpieszył na obiad. Prezes opowiadał o uroczystościach w Warszawie. Mówił, że pomimo wielkiej pompy i tłumów publiczności, przyglądającej się widowisku, nastrój był na ogół dość zimny. Trzeba też zaznaczyć, że

lewica w uroczystościach Rady Regencyjnej udziału nie wzięła. Mówił też Filochowski o perspektywach zmian w Departamencie Sprawiedliwości w związku z kombinacjami ministerialnymi. Podobno kandydatura Adama Tarnowskiego na pierwszego polskiego prezesa ministrów jest już ustalona. Oczywiście, że całkowity skład przyszłego ministerium jest jeszcze nieznany. Niemcy żądają podobno, aby choć jedna teka ministerialna dostała się Centrum Narodowemu, formacji, najjaskrawiej hołdującej programowi ścisłego związku Polski z mocarstwami centralnymi. Oczywiście, że świat sądowniczy najbardziej się interesuje organizacją Ministerium Sprawiedliwości, które stanie na miejscu dzisiejszego Departamentu Sprawiedliwości. Podobno właśnie na tekę sprawiedliwości ma wypaść owo żądanie przez Niemców ministerium centrowe. Obecny kierownik, dyrektor Departamentu Sprawiedliwości Bukowiecki, zapewne się nie utrzyma. Największe szanse do objęcia teki sprawiedliwości ma podobno stary Alfons Parczewski. Pomówię jeszcze o tym jutro.

30 października, rok 1917, wtorek
Zanim przejdę do dalszego ciągu dnia wczorajszego – słówko o wojnie. Zwycięstwo austro-niemieckie nad Włochami wyrasta do coraz większych rozmiarów. Ilość jeńców włoskich wzrosła do 80 000, ilość dział zdobytych wynosi przeszło 600. Gorycja odzyskana, zwycięskie wojska wkroczyły na terytorium włoskie.
A teraz wracam do dnia wczorajszego i w szczególności do wieści, przywiezionych z Warszawy przez prezesa Filochowskiego. Świat sądowniczy najwięcej się interesuje perspektywami politycznymi w sferze Departamentu Sprawiedliwości. Otóż, jak wspomniałem, najpoważniejszym kandydatem do teki sprawiedliwości jest stary Parczewski, były poseł kaliski do Dumy, profesor i b. dziekan Wydziału Prawniczego na Uniwersytecie Warszawskim. Parczewski należy do obozu przyjaciół Centrum Narodowego, zbliżony politycznie do Łempickiego, a nawet do kół, grupujących się koło Władysława Studnickiego. Usunięcie Bukowieckiego i zajęcie jego miejsca u steru sądownictwa polskiego przez Parczewskiego oznaczałoby poważną zmianę w całej wewnętrznej polityce Departamentu (odtąd już Ministerium) Sprawiedliwości. W kołach prawniczych polskich zwalczają się bowiem dwie partie, dwa wielkie odłamy. Geneza tego rozdwojenia sięga początków inwazji niemieckiej. Prawnicy polscy w ostatnich czasach przed ustąpieniem Moskali z Warszawy, zorganizowani w Koło Prawników, przygotowali organizację sądów polskich, którą chcieli wprowadzić samorzutnie w życie z chwilą ustąpienia Rosjan i wkroczenia Niemców. Niemcy jednak ujęli po wkroczeniu sprawę wymiaru sprawiedliwości w Polsce we własne ręce i do tworzonego sądownictwa zapragnęli wciągnąć miejscowych prawników polskich. Warszawskie koło prawników po długich i gorących debatach postanowiło odmówić udziału prawników polskich w tworzonym przez Niemców i zależnym od nich sądownictwie okupacyjnym, manifestując w ten sposób niezłomną wolę do własnego samodzielnego sądownictwa polskiego. Znalazł się wszakże odłam prawników, i to dość duży, który wyłamał się z tej solidarności zasadniczego stanowiska i przyjął posady sędziów w służbie okupacyjnego sądownictwa niemieckiego w Polsce. Ludzie ci kierowali się przeważnie względami osobistymi, mianowicie pożądaniem posad i pensji, ale usiłowali uzasadniać stanowisko swoje względami także zasadniczymi, powołując się na metodę oportunizmu politycznego, nakazującą stopniowe owładnięcie sfery wymiaru sprawiedliwości przez element prawniczy polski, choćby ta sfera była jeszcze uzależniona od okupantów. Niemcy, by tych „oportunistów” pozyskać, szli na pewne koncesje dla języka polskiego w organizacji okupacyjnego sądownictwa. Wytworzyły się tą drogą dwa wrogie kierunki w obozie prawniczym polskim. Tzw. kolarze, czyli przeciwnicy udziału w sądownictwie okupacyjnym, traktowali odłam

kolegów przeciwnego kierunku za łamistrajków narodowych, renegatów solidarności politycznej. Ci znów politycznie podszywali się pod obóz czy to Ligi Państwowości Polskiej, która ich nie decydowała się jednak brać jawnie w obronę, czy następnie Klubu Państwowców Polskich Studnickiego, w ogóle szukając moralnego usprawiedliwienia dla swego „oportunizmu" tam, gdzie zwęszyć mogli politykę opierania sprawy polskiej o solidaryzm z mocarstwami centralnymi. W ostatnich czasach taką formacją, dającą temu odłamowi prawników protekcję i oparcie, stało się wyraźnie germanofilskie Centrum Narodowego. Gdy w Tymczasowej Radzie Stanu Departament Sprawiedliwości objął Bukowiecki, powołał on na swego współpracownika w charakterze wicedyrektora departamentu Wacława Makowskiego, jednego z przywódców tzw. „kolarzy", to znaczy zwolenników bojkotu sądownictwa okupacyjnego. Gdy następnie sądownictwo oddane zostało przez okupantów w ręce polskie i departament zajął się jego organizowaniem, oparł się on w tej pracy całkowicie na elementach tzw. „kolarskich". Bukowiecki z Makowskim i Śmiarowskim dokonali całej tej pracy. Pewnego rodzaju ostracyzm dotknął dawnych łamistrajków. Tendencją departamentu było dopuścić do organizującego się młodego sądownictwa polskiego jak najmniej elementów tych, co się poprzednio splamili udziałem w niemieckim sądownictwie okupacyjnym, licząc na to, że te elementy ujawniły małą odporność narodową i są przeto w sądownictwie polskim w warunkach trwającej okupacji czynnikiem niepewnym i zaufania niegodnym. Przy nominacjach pomijano ich systematycznie. Udział w sądach okupacyjnych uchodził w oczach departamentu za złą markę. To budziło oczywiście niechęć tych usuwanych elementów, ich gniew na departament i wściekłość podrażnionej i zawiedzionej chciwości kariery. Toteż te koła całym sercem nienawidzą Bukowieckiego wraz z jego współpracownikami Makowskim i Śmierowskim, węszą jego upadek, kopią pod nim dołki i intrygą usiłują zdyskredytować obecnie kierownictwo departamentu, wyzyskując każdy jego błąd i uchybienie. Otóż wraz z Parczewskim, który w dodatku jest już niedołężnym i nie posiada sprężystości, te elementy, usunięte od stołu zysków i posad, doszłyby do władzy i dopiero z chciwością rzuciłyby się na żer, poprawiając po swojemu dzieło departamentu. Szanse utrzymania się Bukowieckiego u nowego steru Ministerium Sprawiedliwości są pono bardzo słabe. Wraz z nim ustąpiliby Makowski i Śmiarowski. W kołach zachowawczo-katolickich, które wraz z Radą Regencyjną doszły do władzy najwyższej w Polsce, same osoby Makowskiego i Śmiarowskiego, znane ze swego radykalizmu społecznego i zwłaszcza antyklerykalizmu, co szczególnie jest o Śmiarowskim wiadome, są źle widziane. O przynależności Śmiarowskiego do masonów jest szeroko wiadome. Pozostawienie polskiego wymiaru sprawiedliwości w ręku masonów nie budzi sympatii najwyższych dostojników Polski. Już jeden szczegół stał się głośnym i obudził tych kół protesty: to zastąpienie dla urzędników wymiaru sprawiedliwości religijnej przysięgi przez świeckie „masońskie" uroczyste przyrzeczenie. Z pewnością Bukowiecki wraz z jego „masońskimi" zausznikami padnie. Ale koła, będące dziś u władzy, nie bardzo też usiłują germanofilów i tych „oportunistów" z dawnego sądownictwa okupacyjnego [usuwać]. Toteż wypływa jeszcze jedna kandydatura na ewentualnego ministra sprawiedliwości – niejakiego Talien-Wilczewskiego, znanego z tego, że jest „pańskim adwokatem", obraca się w sferach arystokratycznych i prowadzi sprawy arystokracji. Jest to osobistość podobno zupełnie niezdarna.

31 października, rok 1917, środa
Z Łomży wróciłem do Kolna już wczoraj rano. Pierwotnie zamierzałem nie nocować w Łomży, ale gdy konferencja sędziów pokoju przeciągnęła się aż do godz. 8 wieczorem,

przenocowałem, nazajutrz zaś, to znaczy wczoraj, wstałem o godz. 5 rano i wyjechałem. Dziś miałem dzień sesji. Sesja była wszakże krótka, bo ogółem było tylko pięć spraw wyznaczonych, z których tylko jedna dłuższa.
Pisać będę dalej o akcji oświatowo-kulturalnej w samorządzie internowanych legionistów w Szczypiornie. Prócz szkolnictwa niższego, organizowanych kursów dla maturzystów i kursów językowych, w poszczególnych blokach tworzono komplety dla nauki pewnych poszczególnych przedmiotów. Tak w naszym bloku odbywała się nauka buchalterii, arytmetyki handlowej i stenografii. Chętnych do tej nauki praktycznej znalazła się garść spora. Naukę prowadził Świercz, buchalter z zawodu. W innych blokach tworzono komplety dla innych poszczególnych przedmiotów, zależnie od tego, gdzie jaki specjalista się znalazł, chętny do ofiarowania swych usług ogółowi. Poza tym, projektowano zorganizować tzw. uniwersytet żołnierski. Instytucja ta miała być dwoista. Z jednej strony, miała ona być tym, czym są uniwersytety ludowe, to znaczy miała ogarniać cykl systematyczny wykładów popularnych z różnych zakresów wiedzy dla szerokiego ogółu żołnierzy, z drugiej – miała ogarniać wykłady ściśle fachowe dla żołnierzy-inteligentów, prowadzone przez ludzi o wykształceniu uniwersyteckim; te ostatnie wykłady miały być już nie popularne, lecz stojące na poziomie wysokiej i ścisłej nauki. Cała ta praca była jeszcze w stadium przygotowawczym, gdym wyjeżdżał. Ale usiłowania już były podjęte. Niejako wstępem do tego, przynajmniej do pierwszego typu uniwersytetu żołnierskiego, były już rozpoczęte poszczególne cykle wykładów, jak historia wojskowości polskiej i inne. Cała ta robota oświatowa napotykała liczne trudności i przeszkody, zarówno zewnętrzne, jak płynące z rozleniwienia i biernej inercji niewolniczego wegetowania. Ale elementy żywsze, skupiające się w komitecie żołnierskim, energicznie się tym w ostatnich czasach zajęły i wypowiadając walkę gnuśnemu bezwładowi, wytknęły sobie cel urzeczywistnienia planu oświatowego. Wreszcie pomyślano i o poszczególnych luźnych odczytach. Do pilnych potrzeb kulturalno-umysłowych należało w obozie jeńców czytelnictwo. Kaliski Komitet Pomocy i Liga Kobiet w Kaliszu miały duży zapas książek przeznaczonych dla nas, ale były ogromne trudności z dostarczeniem ich do obozu, bo cenzura książek była bardzo skrupulatna i marudna, toteż tą drogą książek nie dostarczono wcale, jeno z rzadka udawało się coś przemycić. Było też trochę książek, które żołnierze ze sobą przynieśli w plecakach. Dla zorganizowania publicznego czytelnictwa zrobiono w naszym bloku tak. Pozbierano wszystkie książki prywatne do gromady, skatalogowano je i następnie wypożyczano do czytania w granicach bloku. Wypożyczalnia ta funkcjonowała znakomicie. Z gazetami było gorzej. Codziennie zaledwie po kilka egzemplarzy przychodziło na cały obóz. Przynosił je ze sobą nasz lekarz z Kalisza. Usiłowania zorganizowania teatru rozbiły się o brak sali, kostiumów i niechęć niemieckich władz obozowych. Organizacja prawidłowego chóru także stała kiepsko. Tworzyły się tylko chóry doraźne. Śpiew, zwłaszcza w wieczory pogodne, był jedną z najpopularniejszych rozrywek zbiorowych. Gier towarzyskich i sportowych na wolnym powietrzu, jak tenis, piłka nożna itp., nie było żadnych, tak z braku przyborów, jak stosownego miejsca. Tylko ułani mieli krokiet. W ostatnim czasie zorganizowano kursy instruktorów gimnastycznych, na które mnóstwo ochotników się wpisało. Była to inicjatywa doskonała. Znalazło się paru zawodowych gimnastów, którzy uczyli świetnie. Zorganizowano też ćwiczenia i popisy w kompletach lekkiej atletyki.

1 listopada, rok 1917, czwartek
Dzień Wszystkich Świętych. O ile w Legionach wśród ćwiczeń w życiu koszarowym lubiłem święta, o tyle tutaj dni tych nie lubię, bo nie ma co robić, a bez zajęcia w Kolnie

nudno. Te długie wieczory, spędzane prawie bez światła, monotonnie – to niewesołe, a cóż dopiero, gdy jeszcze i dnia zapełnić czym nie ma.
Gazety przyniosły dalsze wieści o zwycięstwie nad Włochami. Liczba jeńców włoskich przekroczyła 100 000. Wzięte jest pograniczne miasto włoskie Cividale i pierwsze większe miasto – Udine. Zwycięskie wojska bliskie są wkroczenia na Równinę Wenecką.
Może już dokończę dziś o naszym samorządzie w Szczypiornie. Sferę oświatowo-kulturalnej działalności zreferowałem już właściwie całą. Tu chyba dodam słówko o akcji prasowej i wydawniczej. Projektowane było wydawanie pisemka w obozie; miało to być pisemko humorystyczne i satyryczne o podkładzie ideowym, tegoż typu, co pisemka żołnierskie, wydawane w różnych czasach w poszczególnych pułkach legionowych (sławna „Konferencja Pokojowa" w I pułku, „Zuchowaty" w V pułku, „Obijacz" i „Reluton" w pułku IV). Pisemko to do skutku nie doszło, zarówno z braku środków technicznych (papier, narzędzia do reprodukowania), jak zapewne jeszcze bardziej z braku czynnej inicjatywy. A szkoda, bo pisemko takie odpowiadałoby potrzebie, miałoby wpływ dodatni na żołnierzy i stanowiłoby ciekawy dokument. Akcję prasową podjęto tylko na zewnątrz. Jednym z jej wyrazów miała być jednodniówka rocznicowa pod tytułem „6 sierpnia 1914", do której materiał był już uszykowany i po stwierdzeniu niemożności wydania jej w Kaliszu, został przez dr Kupelnera wywieziony do Krakowa, gdzie miała być wydana. Czy się ukazała w druku – nie wiem. Drugim aktem tej działalności było opracowanie memoriału o stosunkach w obozie, przeznaczonego dla Koła Polskiego w Wiedniu i sfer politycznych w Warszawie. W obu tych przedsięwzięciach, wykonywanych zbiorowo, brałem czynny udział. Zdaje się zresztą, żem o nich w dzienniku wspominał. Za tym pierwszym memoriałem miały następować periodycznie następne w postaci ciągłych biuletynów informacyjnych. Gdym wyjeżdżał, drugi kolejny biuletyn był w toku opracowania. Głównym ich redaktorem był ułan Wyszyński. Wreszcie zamierzone było wysyłanie korespondencji z obozu do pism.
Pozostaje mi zreferowanie akcji gospodarczo-żywnościowej. Była to najważniejsza sfera stosunków, ponieważ głód był największą bolączką życia internowanych i wyrządzał największe szkody w sferze zarówno fizycznej, jak moralnej. Kuchnia była od początku oddana przez niemieckie władze obozowe w nasze ręce. Do kuchni pobierano produkty z prowiantury niemieckiej obozowej oraz dowożono trochę z Kaliskiego Komitetu Pomocy. Gotowali kucharze nasi, wybrani spośród żołnierzy i trzeba przyznać, gotowali świetnie: to, co potrafili oni przyrządzić z tych ubogich produktów, jakimi rozporządzali, było prawdziwym wyrazem sztuki. Głodu oczywiście usunąć nie mogli, ale przynajmniej to, czym rozporządzali, było przyrządzone smacznie. Do czuwania nad kucharzami i kuchnią, administrowania prowiantu i podziału chleba oraz paczek z żywnością, nadsyłanych z Komitetu Kaliskiego była utworzona specjalna komisja. Na razie komisja ta była powołana z ramienia Komitetu Żołnierskiego. To jednak nie zadowalało masy żołnierskiej, która, będąc głodna, była niesłychana podejrzliwa względem wszystkiego, co się działo w kuchni i w czynnościach podziału chleba i paczek i względem wszystkich, kto tylko jakikolwiek miał związek z tą sferą bogactwa. Gdy się ujawniło kilka nadużyć w kuchni i gdy dostrzeżono pewne niedbalstwo i niedołęstwo w komisji, zaczęto wielkim głosem krzyczeć o rzekomym okradaniu i malwersacjach. Dla człowieka wrażliwego i dbającego o czystość imienia i honor być członkiem komisji lub kucharzem było chyba tylko aktem wielkiego poświęcenia. Żadne bowiem perswazje, żadne sprawozdania nie były w stanie stłumić sarkań masy i posądzeń o kradzież. Ale że przynależność do komisji dawała większą swobodę ruchów, stanowisko, pewną niezależność i wygodę,

więc chętnych nie brakło. A że elementy wrażliwsze często wolały pozbyć się ewentualnych korzyści, byle uniknąć przykrych posądzeń i szargania czci przez potwarców, więc istotnie do komisji i do kuchni, obok ludzi dzielnych i uczciwych, którzy z poświęceniem oddawali się pracy publicznej, garnęły się też elementy niewyraźne lub wręcz niesumienne, szukające korzyści osobistej. Jakieś tam pole i sposobiki do malwersacji zyskowej, pomimo najściślejszej kontroli, zawsze się znalazły i nęciły wszelkiego rodzaju szumowiny sprytu i zręczności.

2 listopada, rok 1917, piątek
Wieczory coraz dłuższe, ciemne, samotne. Nie rozjaśnia je wesoły ogień lampy. Brak i drożyzna środków oświetlenia takie, że ledwie stać na nędzną świecę. I świece nie są już takie, jak były kiedyś. Gdy się ma świecę, już jest dobrze. Nie tylko są drogie i kiepskie, ale i coraz trudniej je dostać. Świeca jest artykułem kontrabandy. Nafty – nie ma. Jest ona w całym Kolnie na wyczerpaniu. Chcąc jej dostać, trzeba wysiłków i poszukiwań nadzwyczajnych, a płacić za nią trzeba po 20 przeszło marek za kwartę. Toteż nikt już nie używa zwykłych dawnych jasnych lamp. Takie oświetlenie kosztowałoby po kilkanaście albo i więcej marek za jeden długi jesienny wieczór. Kto ma jeszcze jakieś resztki zapasów nafty, ten pali tylko małe lampeczki kopciuszki, którymi by się dawniej wstydził oświecać schody, sieni lub kuchnię. Karbidu też trudno dostać i drogi. Toteż ludzie prawie że nie świecą i jak najwcześniej śpieszą do łóżka. Nigdy nie kładłem się tak wcześnie spać, jak obecnie. Bywają wieczory, że już o 7-mej jestem w łóżku. Godzina 10 – to już późna pora. Za to się wcześnie wstaje. Tryb życia staje się przez to zdrowszy. Wczesny sen jest dla nerwów znakomitym środkiem odżywczym. Żaden brom, którego zresztą nigdy nie używałem, nie jest z pewnością tak kojącym, jak regularny wczesny sen. Toteż pod tym względem czuję się znakomicie. Z powodu drożyzny i braku światła człowiek stara się teraz wszystkie czynności zamknąć w ramy dnia, kiedy jest światło naturalne – skarb bezcenny. Ludzie w braku zwykłych środków oświetlenia, świecą smolakami czyli tzw. u nas na Litwie łuczynami, pospolitymi trzaskami ze smolistego drzewa sosnowego; inni świecą olejem domowego wyrobu; do szklaneczki oleju wpuszczają knocik, który kopci nikłym płomykiem; jeszcze inni do oświetlenia używają zwykłego masła krowiego; nawet to ostatnie oświetlenie, posiłkujące się tak drogim i zbytkowym produktem spożywczym, jak masło, wypada taniej niż nafta lub świeca, choć oczywiście oświetlenie jest gorsze. Co do mnie – to dotąd używam tu wyłącznie świec. Do nafty nie mam nawet żadnej lampy. Przed paru dniami wreszcie stał się wielki fakt: przywieziono do urzędu powiatowego naftę dla Kolna. Ogółem wszakże przyszło coś ze 12 beczek; z tego 9 beczek wzięli Niemcy dla swych urzędów. Tylko trzy beczki poszły na miasto i gminy. Z tego ja na potrzeby sądu i czterech funkcjonariuszy sądowych – moje, pisarza hipotecznego, sekretarza i woźnego sądowego – otrzymałem obietnicę na... 10 kwart nafty. Jeżeli to ma być na całą zimę – to nie za dużo!
Dzisiaj w sądzie był większy ruch spraw niż zwykle. W kancelarii ciągle był ktoś z interesantów. Samych powództw zaprotokółowałem ze skarg ustnych – pięć, prócz tego dwie sprawy wniósł adwokat Goldberg. Ten ostatni w tych czasach rzadko wnosi nowe sprawy. Ponieważ ja przyjmuję ustne deklaracje powodowe, protokółując je, więc interesanci, którzy mają sprawy do wniesienia, wolą je zgłaszać wprost do mnie, niż przez adwokata. Goldberg wolałby, abym ustnych skarg nie przyjmował, ale robię to, bo mam czas i lubię tę robotę, a uważam, że to jest nawet moim obowiązkiem z prawa. Z usług Goldberga strony korzystają już na samej rozprawie. Gdy dochodzi do rozprawy, zwracają się do niego. A zawsze na sesjach bywa on obecny.

Jest pogłoska, że ma być wkrótce ogłoszony pobór do wojska polskiego i że pobór ma być zaczęty od Łodzi. Że przy ewentualnym poborze Łódź pójdzie na pierwszy ogień, wydaje mi się to bardzo prawdopodobne i racjonalne. Przy obecnym zastoju w przemyśle fabryczna Łódź jest pełna bezrobotnych, którzy są ciężarem dla kraju. Słusznym jest, że ich się w pierwszym rzędzie zużytkuje do tworzenia wojska. Będące u władzy czynniki zachowawcze mogą też chcieć tą drogą unieszkodliwić żywioł, który ewentualnie może być najbardziej rewolucyjny w kraju. Mniejszą też obudzi niechęć pobór w środowisku bezrobotnego proletariatu, niż by obudził wśród chłopów. A z pewnością pierwszy pobór ogarnie tylko część rocznika rekruckiego, to znaczy, że nie będzie powszechnym w całym kraju, lecz tylko na razie w jakiejś jednej lub kilku dzielnicach. Tą czołową dzielnicą poboru byłaby Łódź. Czy tylko jednak pogłoski w ogóle o poborze nie są przedwczesne? Czy Rada Regencyjna tak rychło zdecyduje się na to?
Ileż to razy w roku zeszłym, gdy Legiony, stęsknione armii narodowej, wytężały słuch na wieści z Warszawy, przybiegała lotna pogłoska-wieść, że już-już będzie ogłoszona odezwa Tymczasowej Rady Stanu w sprawie tworzenia wojska – i zawsze w końcu był zawód.

3 listopada, rok 1917, sobota
W wielkim zwycięstwie nad Włochami – nowy postęp. W pościgu za Włochami sprzymierzone wojska sforsowały obronę włoską nad rzeką Tagliamento i manewrując ruchem osaczającym, wymusiły poddanie się 60 000 wojska włoskiego. Tagliamento, podług nadziei prasy koalicyjnej, miało się stać nową Marną dla zwycięzców (wiadomo, że zwycięstwo Francuzów nad rzeką Marną w jesieni r. 1914 powstrzymało dalszą inwazję niemiecką w głąb Francji i uchylając niebezpieczeństwo, grożące Paryżowi, przechyliło szalę na froncie zachodnim). Tagliamento miało się stać tym dla Włochów w r. 1917, czym była Marna dla Francuzów w r. 1914. Stało się inaczej. Nic nie żałuję zdradzieckich Włoch. Dobrze im tak. W zasadzie może by i słuszniej było, gdyby jakaś Gorycja wraz ze skrawkami Austrii, zaludnionymi przez Włochów, połączyły się państwowo z Włochami w imię zjednoczenia narodowego, ale nie taką metodą podłej zdrady i bandytyzmu międzynarodowego, uświęconego bożkiem „*Sacro Egoismo*”, jaką Włochy w tej wojnie wymierzyć sobie sprawiedliwość pragnęły. Ogólna liczba jeńców włoskich, pojmanych w tej zwycięskiej bitwie, trwającej dopiero tydzień, wynosi 180 000, ilość dział zdobytych – przeszło 1 ½ tysiąca. Jak podają pisma szwajcarskie, Francuzi przerzucają wielkie masy wojska do Włoch na odsiecz.
Miałem dziś w sądzie sesję rady familijnej dla ustanowienia opieki nad nieletnimi niejakimi Borysami. Była to pierwsza rada familijna w mojej praktyce sędziowskiej.
Odbył się dziś ślub Alksego Dywizjonka, woźnego w sądzie moim. Dywizjonek (właściwie jego nazwisko – Dywisenko) jest z pochodzenia Ukrainiec z guberni czernihowskiej. W Kolnie wszakże mieszka od dawna. Jeszcze jego ojciec służył tu strażnikiem ziemskim i był ożeniony z miejscową chłopką Polką z gminy roginickiej. Sam Dywizjonek długo się tłukł po świecie. Służył na poczcie w Mińsku Litewskim, był w Dyneburgu, w gub. grodzieńskiej, potem służył w Janowie pod Lublinem, gdzie razu pewnego podczas napadu bandytów czy rewolucjonistów w r. 1905 na transport poczty, który eskortował jako strażnik z kozakami, ledwie uszedł z życiem. Potem już służył w Kolnie za strażnika, jak poprzednio ojciec. Był w tych czasach gorliwym prawosławnym, z przekonania czy ze służbistości – nie wiem. Wkroczenie Niemców do Kolna zaskoczyło go tu nagle i odcięło drogę odwrotu. Przez dłuższy czas bał się śmiertelnie, by go Niemcy jako b. strażnika nie wytropili i nie stracili. Po pewnym czasie został istotnie aresztowany, ale po indagacjach wypuszczony. Dostał się na

woźnego do okupacyjnego sądu gminnego, obecnie zaś jest w dalszym ciągu woźnym Królewsko-Polskiego Sądu Pokoju, a więc urzędnikiem publicznym polskim. Po polsku mówi jak Polak, zdradzając pochodzenie swoje tylko charakterystycznym akcentem ukraińskim, pisze także nieźle. Jest to człowiek bardzo zdolny, sprytny, ruchliwy. Dywizjonek jest jedną z najpopularniejszych i najcharakterystyczniejszych w Kolnie postaci. Zna go całe Kolno, od starca do dziecka, od Polaków i Żydów do Niemców. I nie tylko zna, ale lubi. Rzeczywiście jest to człowiek, który budzi sympatię. Usłużny jest przy tym nadzwyczajnie, a pojętny i zaradny tak, że go do wszystkiego użyć można. Lat ma 35, a choć już łysieje i włosy mu prószy siwizna, wygląda młodziej. Jest to typ suchy, niewielki i żywy, w którym ruchliwość będzie zawsze symulowała młodość. Żona, którą sobie wziął z miłości, ma już także lat przeszło 30; jest to córka b. pisarza gminnego z gminy Czerwone, który miał poza tym jakiś talent malarski; rodzice jej z całą rodziną uciekli przed inwazją niemiecką do Rosji, ona zaś została w Warszawie, gdzie była jakąś nauczycielką; po wzięciu Warszawy przez Niemców przybyła do Kolna, chcąc tu znaleźć tańsze utrzymanie przy szwagrze Radowskim, który się zawieruszył przypadkiem w tych stronach w czasie inwazji niemieckiej i zajął miejsce teścia jako pisarz w gminie Czerwone. Tu się zapoznała z Dywizjonkiem, za którego dziś za mąż wyszła. Dywizjonek miał duże trudności z małżeństwem, wreszcie zdecydował się na przyjęcie katolicyzmu. Na ślubie jego w kościele byłem rano ja i cała elita „towarzystwa" kolneńskiego. Wieczorkiem zaprosił Dywizjonek wszystkich na „herbatkę", a właściwie na sutą ucztę weselną. Przyjechali jego wujowie, gospodarze z gm. rogienickiej i przywieźli mu dużo kartofli i kapusty. Na kolacji było sporo wódki, było wino, kiełbasa na zimno i na gorąco z kapustą i kartoflami ze słoninką, sardynki, pieczeń, herbata z cytryną. Towarzystwo było pstre i mieszane, łączące się w stosunkach tutejszych b. demokratycznie. Był też ogromny gramofon sekretarza magistratu Antonowicza; były huczne tańce przy dźwiękach walców, wygrywanych na gramofonie. W izbie mieszkalnej Dywizjonków był tłok wielki. Dywizjonek mógł być dumny: „całe Kolno", cała elita była u niego. Był też sędzia śledczy Wajcht, który akurat przyjechał na dziś ze Szczuczyna dla badania świadków w różnych sprawach śledczych pow. kolneńskiego. Wajcht był tu w Kolnie przede mną sędzią gminnym.

4 listopada, rok 1917, niedziela
Wstrętny dzień, wstrętna pogoda. Cały dzień ciemny, mglisty i dżdżysty. Do tego jeszcze niedziela, więc nie ma zajęcia w sądzie i nie wiadomo, co robić. Taki dzień to nuda śmiertelna. Towarzystwa nie ma, a to, które jest, nie ciągnie bynajmniej, bo w braku intensywnego życia i nowych tematów – nie ma nawet o czym rozmawiać. W takie dni tęskni się do życia rodzinnego, zwłaszcza do kochanej i kochającej żony, która jest największym, jeżeli nie jedynym rzetelnym szczęściem na świecie. Nie pojmuję tego wcale tak trywialnie, jakoby to szczęście polegało na ciepłym łóżku i ciepłym ciele kobiety jako wygodnym narzędziu rozkoszy zmysłowej. Chodzi mi o tę pełnię stosunku miłości, w której doskonały zespół fizyczny harmonizuje się z głębokim zespołem psychicznym, gdy dwoje kochających się ludzi posiada się wzajemnie i przenika, pogłębiając się i potęgując w całym wyrazie swej osobowości, w ekspansji zupełnej wszystkich władz i elementów swoich. Miłość jest najwyższą formą twórczości i jest przeto osobistego szczęścia ludzkiego apoteozą. Jakże jest piękną i doskonałą! W dni głuchej plugawej jesieni, gdy cała natura wokół zamiera i człowiek zdaje się kurczyć, zatracając czucie swego bytu, jakże tęskną się wydaje ta odżywcza miłość, która odradza wielką, całkowitą potęgę człowieka w życiu. Trzecia rocznica śmierci mojej Anny, trzy lata martwe, w których osobiście nie żyłem, bo to, co jest „życiem" moim obecnie, choć toczyło się w niezwykle urozmaiconych okolicznościach, nie jest przecie

„moim” życiem, nie jest tą moją wielką i jedyną własnością, którą raz na zawsze ze śmiercią Anny utraciłem. Moje „życie” obecnie – to fakty i świat zewnętrzny, ale nie „moje życie”. Nie ma go i już nie będzie. Wierny Tobie jest Twój Michasik, Aninko, innym by nawet być nie potrafił. Nie mam miłostek we właściwym znaczeniu słowa. Ale gdybym nawet je miał, nie wzruszyłyby one w najmniejszym stopniu mojej wierności małżeńskiej dla zmarłej Anny. Bo miłość jest jedyną. I bo przelotne zmysłowe stosunki z kobietami, gdyby były nawet zaprawione uczuciem, nie mogą być ani w przybliżeniu tym, czym jest wielka ciągła miłość, w rzetelnym związku zawarta. Nie unikam przelotnych stosunków zmysłowych, nie unikałbym i miłostek, gdybym miał do nich okazje. Owszem – pragnę je i tęsknię do nich, bo w nich poję się narkotykiem i przez nie ziszczam, jak Tantal, moją nieziszczalną tęsknotę do tego, co było moim wielkim szczęściem, a co już jest w grobie. Że jest nieziszczalne – to wiem, ale tęsknota jest taką, że w samym dążeniu do ziszczenia jest przecież jakiś bolesny zmysł rozkoszy. Tu w Kolnie nie tylko miłostek, do których, niestety, już wiek mi drogi ogranicza, ale nawet najpospolitszych stosunków zmysłowych z kupnym żywym towarem dziewczęcym – nie mam. A pragnąłbym choć tego. Bo gdy nie można posiadać rdzenia i jądra szczęścia i miłości, pożąda się choć tego, co jest ich zewnętrznym najjaskrawszym, chociaż sam przez się najbardziej zwodniczym i tylko pozornym – wyrazem. Sam akt fizycznego posiadania młodej kobiety, acz pozbawiony swego jądra prawdziwego jak nagi tytuł własności, jest czymś, co przynajmniej cień i pozór bajecznej, nieosiągalnej już dla mnie – głębi szczęścia i miłości symuluje. Tak – pragnę chociażby tego. O, jakże już ubogi, jak biedny jestem. A jakże przed kilku dopiero laty królewsko bogaty byłem w związku i miłości z Aninką. Doprawdy, innym byłem człowiekiem.

5 listopada, rok 1917, poniedziałek
Dziś wypada pierwsza rocznica proklamacji Niepodległości Polski przez mocarstwa centralne w dniu 5 listopada w roku 1916. Wielka to jest w sprawie polskiej data, stanowiąca etap zwrotny w dziejach narodu. Pomimo to rocznica dzisiejsza obchodzona w Polsce nie jest. W tym pominięciu przez Polaków rocznicy dzisiejszej, rocznicy uroczystego obwieszczenia niepodległości może być moment rażący albo nawet bolesny dla Austrii i zwłaszcza Niemców. Może im się to wydawać klasycznym dowodem niewdzięczności Polaków, którzy ofiarowane raczą łaskawie brać, nie robiąc w zamian żadnego gestu wdzięczności i nawet nie święcąc wcale dnia wskrzeszenia ich Ojczyzny ze wspaniałomyślnego daru potężnych sąsiadów. Obchodzą manifestacyjnie dalekie rocznice nieszczęśliwego powstania Kościuszki, które bezpośrednio do upadku Polski doprowadziło lub Konstytucji majowej roku 1791, świeżej zaś daty odrodzenia ojczyzny po przeszło stuletniej niewoli – uczcić nie chcą dlatego, że w czci tej byłby wyrażony z konieczności hołd wdzięczności dla wskrzesicieli. Ten moment wdzięczności stoi im kością w gardle. Aby go nie wykrztusić, zamykają oczy na doniosłość zwrotnego w ich dziejach wypadku. A przecież jednak jest głęboka logika i wielka trafność instynktu w tej odmowie Polaków do uroczystego dzisiaj obchodzenia wielkiej niewątpliwie daty dziejowej 5 listopada. I oto właśnie dlatego, że w obchodzie takim mieściłby się nieodłącznie pozór wdzięczności Polski względnie mocarstw centralnych. Ten moment wdzięczności fałszowałby bowiem naturę dnia 5 listopada 1916. Nadawałby aktowi 5 listopada, aktowi sprawiedliwości cechę aktu dobroczynnego łaski, wyświadczonej Polsce przez mocarstwa centralne. Tej właściwości łaski Naród Polski w odzyskaniu swej Niepodległości przyznać Austrii i Niemcom nie może i nie powinien. Nie tylko dlatego, że byłoby to upokorzeniem dla Polski, ale także i jeszcze bardziej dlatego, że byłoby to pogwałceniem żywych praw

Narodu do Wolności, praw, fundujących się na sprawiedliwości. Akt 5 listopada był aktem sprawiedliwości, ale sprawiedliwość ta wymierzona była nie samorzutnym odruchem tych, co akt ten proklamowali, jeno logiką faktów i procesów dziejowych, w wojnie tej dokonywanych. Niemcy i Austria były wykonawcami wymiaru sprawiedliwości, ale wykonawcami, zobowiązanymi do tego przez Boga nie w ich sumieniu, lecz w ich interesie. Co do Austrii – to jeszcze coś niecoś może być mowa o szlachetności, co zaś do Niemiec – to był to ich mus i ich mądrość. Niepodobna odmawiać im pewnej zasługi, ale stwierdzić należy, że z ich własnej to racji stanu płynęło. Inaczej by się rzecz miała, gdyby proklamacja 5 listopada 1916 była nastąpiła w dobie pokoju, bez okoliczności dziejowych tej wojny, ale w tej postaci nie nastąpiłaby nigdy. Można by też mówić o wdzięczności, gdyby państwa te zrzekły się jednocześnie własnych zaborów Polski, nie zaś tylko zrzekły się wspaniałomyślnie zaanektowania lub zwrotu Rosji tego, co na niej z ziem polskich jako na wrogu zdobyły. Toteż święcąc w Narodzie Polskim wielki fakt dziejowy odzyskania Niepodległości, słuszniej jest nawiązywać rocznicę do d. 6 sierpnia 1914, dnia czynu polskiego, skierowanego na stwierdzenie i ziszczenie prawa narodowego, niż do dnia 5 listopada 1916, kiedy prawo to formalnym aktem obwieszczone przez Niemcy i Austrię zostało.
Zaszedł dzisiaj wypadek bardzo przykry, który – nie wiem jeszcze, czy jest tylko wyrazem nieporozumienia, czy też faktu dokonanego. Nasz kolneński adwokat Goldberg, człowiek w gruncie niezły i w swoim zawodzie uczciwy i użyteczny, był od dawna zaniepokojony zapowiedzianą rewizją świadectw wszystkich obrońców prywatnych w okręgu sądowym łomżyńskim. Żydzi w ogóle obawiają się niezmiernie antysemityzmu polskiego, który rzeczywiście jest wielki i wobec którego ci spośród nich, co są bezpośrednio zależni od tych lub innych władz krajowych, czują się zupełnie bezbronni z chwilą, gdy władza ta w ręce polskie przechodzi. Sąd okręgowy łomżyński, jak zapewne wszystkie inne sądy, miał się zająć ustaleniem praw do adwokatury wszystkich tych osób, które do tego w granicach okręgu pretendują. Wprawdzie Goldberg od szeregu lat był zatwierdzony jako obrońca prywatny przy sądach rosyjskich i miał świadectwo adwokackie przy sądach okupacyjnych niemieckich, jednak obawiał się zapowiedzianej rewizji. Dochodziły różne głuche wieści o tym, że sąd okręgowy w Łomży nosi się z zamiarem stosowania bardzo surowych żądań względem ubiegających się o kwalifikacje adwokackie, zwłaszcza zaś co do znajomości języka polskiego. Ostateczna decyzja miała zapaść na ogólnym zebraniu sądu. Ogólne zebranie się jakoś odwlekało, a Goldberg im dalej, tym się więcej niepokoił. W ostatnich czasach niepokój ten przerodził się u niego omalże nie w manię prześladowczą. A że Goldberg czuł, iż w zakresie języka polskiego szwankuje i że to jest właśnie najsilniejszą bronią antysemityzmu, która go ewentualnie może porazić, więc drżał na myśl o możliwym zażądaniu egzaminu z polskiego. I nagle dziś przyszedł pod wieczór do sądu pokoju okólnik prezesa sądu okręgowego, który w postaci napomnienia o ścisłym przestrzeganiu przepisów dopuszczania do obrony i prowadzenia spraw cudzych – wyliczał tych, którzy w okręgu łomżyskim są uznani bądź za adwokatów przysięgłych, bądź za obrońców prywatnych. I oto w ich liczbie Goldberga nie było. Dokończę jutro.

6 listopada, rok 1917, wtorek
Gdym wczoraj wieczorem przyszedł do Goldberga i powiedział o okólniku, w którym w liczbie wymienionych obrońców prywatnych nie ma jego nazwiska, biedny Goldberg przestraszył się śmiertelnie. Ja się sam domyślałem, że tu musiało zajść tylko jakieś nieporozumienie, względnie błąd kancelisty albo w najgorszym razie zawieszenie

Goldberga do czasu zdania egzaminu z języka polskiego, nie zaś wykluczenia go przez ogólne zebranie sądu okręgowego. Wydawało się nieprawdopodobnym, żeby pozbawiono praw do pełnienia zawodu bez przesłuchania człowieka, bez dania mu możności usprawiedliwienia się, gdyby nawet były jakieś zarzuty zgłoszone do niego. Chodziło tu bowiem o człowieka, który już te prawa do zawodu posiadał formalnie i wykonywał. Byłaby to krzywda i po prostu gwałt, trudny do pomyślenia. Trudno przypuścić, żeby nawet najjaskrawszy antysemityzm mógł się na to zdobyć. Krzywda osobiście w stosunku do Goldberga byłaby tym większa, że biedny człowiek jest stary, ma lat przeszło 50, do innej pracy już niezdatny, do handlu jako jedynego fachu, dostępnego całkowicie dla Żydów, nie wdrożony, obarczony liczną rodziną. Skądinąd byłaby to ujma i dla publicznych celów wymiaru sprawiedliwości w Kolnie, bo lud jest tutaj jeszcze tak ciemny, że sam sobie w procesie cywilnym poradzić nie jest w stanie; pomoc adwokata jest nieraz dla stron niezbędna i właściwie należałoby nie tylko nie usuwać tego jedynego adwokata, jaki jest, ale postarać się raczej o to, aby było ich przynajmniej dwóch, by obie strony w procesie mogły korzystać równomiernie z pomocy prawnej; teraz, gdy jest tylko jeden adwokat, sędzia z konieczności musi w procesie dopomagać nieraz i wspierać stronę przeciwną, która adwokata nie ma, aby choć cokolwiek równoważyć szanse stron, co właściwie nie jest zgodne z klasycznym zadaniem sędziego. Wracając do sprawy Goldberga, nie przypuszczałem, żeby istotnie rzecz już była ostatecznie przesądzona. Ale biedny człowiek nie dawał się pocieszyć. Już poprzednio jakieś ślepe przeczucie katastrofy, płynące na gruncie nerwów i tchórzostwa z obawy przed antysemityzmem Polaków, wypełniło cały umysł Goldberga strachem panicznym. W ostatnich tygodniach pod wpływam tego strachu biedny Goldberg nie miał chwili spokoju i nawet zaniedbywał pracę swoją. Teraz przerażenie jego doszło do zenitu. Był pewny, że katastrofa już nastąpiła. Płakał, chodził po pokoju w najwyższym poruszeniu, czuł się zbiedzony i bezradny jak dziecko. Było istotnie coś dziecinnego w tym nieszczęściu biednego człowieka. Chwilami próbował się czepiać jakiejś nadziei, jakiejś perspektywy lepszej, ale wnet popadał w rozpacz pierwotną. Widział, że jest źle, a analiza pewnych szczegółów fatalnego okólnika utwierdzała go w przekonaniu, że ogólne zebranie w sądzie już się odbyło i że to z mocy decyzji tego zebrania on wykluczony został. Pod wpływem stanu nerwowego tego człowieka i ja się zaniepokoiłem. Nie mogłem być na to obojętny. Żona i dzieci Goldberga, choć go pocieszały i próbowały nadrabiać miną, były także w stanie rozpaczy. Nastrój był jak w grobie. Można się było obawiać już nie tylko katastrofy w złamaniu adwokatury Goldberga, ale po prostu bezpośredniej katastrofy śmierci jego pod wpływem poruszenia. Goldberg mię uprosił, abym jutro zaraz, to znaczy dziś – pojechał z nim do Łomży, by go wobec prezesa ratować. Nie mogłem mu odmówić. Serce i sumienie nie pozwalały mi go opuścić w tej chwili, gdy pomoc moja i interwencja u prezesa mogły go ewentualnie uratować. Zwłoka zdawała się tak niebezpieczną, że miałem wrażenie, iż Goldberg mógłby po prostu kilku takich dni męki nie przeżyć. Niezależnie od prostego odruchu serca na nieszczęście ludzkie, pojmuję moje obowiązki sędziego tak, że winienem być opiekunem naturalnym i ojcem całej tej gromadki ludzi, którzy są zatrudnieni w sądownictwie kolneńskim i ulegają mojej dyspozycji, a więc w tej liczbie i adwokata Goldberga. Taki stosunek, zabarwiony patriarchalizmem, usiłuję utrzymywać i przestrzegać ciągle. Jestem nie tylko ich przełożonym, ale i zastępcą; badam i pilnuję ich zasługi lub winy i stosownie się do nich odnoszę, wyciągam konsekwencje dla inicjatywy wobec prezesa i dla najlepszego zorganizowania całej naszej kolneńskiej machinki sądowniczej, ale też krzywdy żadnego z tych ludzi dopuścić nie powinienem. Nieszczęście i stan nerwów Goldberga oddziałały na mnie. Noc spędziłem przykrą, śniąc ciągle o tym. Nie rozbierałem się, by być raniutko

gotowym do wyjazdu. Wstałem o godz. 5, gorąco w sercu pomodliłem się do Wielkiego Boga, i pojechałem z Goldbergiem do Łomży. Goldberg był wciąż w stanie ogromnego niepokoju, ale podniecenie jego było jednak wobec bliskości rozwiązania męczącej zagadki mniejsze niż wczoraj. Dzień był wilgotny i ciepły, ale deszcz nie padał. Wreszcie przyjechaliśmy do Łomży. Rzecz się wyjaśniła wcale nie w najgorszym świetle. Istotnie, ogólne zebranie się odbyło i postanowiło w stosunku do Goldberga wezwać go do egzaminu z języka polskiego, ale w poczet obrońców prywatnych go przyjęło. Opuszczenie jego nazwiska w okólniku było czy to błędem kancelisty, redagującego okólnik, czy też błędem redakcji protokółu ogólnego zebrania. Prezes Filochowski na prośbę Goldberga, który swoją drogą zachował się bez taktu, bo w uniżoności służalczej chciał prezesa po rękach całować, czym go oburzył, i na moją interwencję – zgodził się, by ten egzamin Goldberga na kilka miesięcy odroczyć, aby mu dać możność lepszego poduczenia się. Goldbergowi na rozkaz prezesa wydano w kancelarii poświadczenie o tym, że jest on również dopuszczony w charakterze obrońcy prywatnego. Rzecz się przeto zakończyła dobrze. Wdzięczność Goldberga dla mnie za okazane serce była ogromna. Wieczorem po ciemku wróciliśmy do Kolna. Goldberg wracał jak człowiek, który tonął w śmiertelnej męce i nagle poczuł twardy grunt pod nogami. O dniu spędzonym w Łomży napiszę osobno.

7 listopada, rok 1917, środa
Dzień sesji w sądzie. Spraw było siedem, w tej liczbie dwie karne i pięć cywilnych. Sesja co do zadowolenia z niej – mierna. Obie sprawy karne były analogiczne – o drobne kradzieże leśne w puszczy, dokonane na materiale leśnym niemieckiej firmy Forwinkel, eksploatującej puszczę z ramienia Niemców. W pojęciu Kurpiów zbrodnią popełniają nie ci Kurpie, którzy coś tam ze swej rodzinnej puszczy „ukradną", lecz Niemcy, którzy ją „legalnie" rabują. Trudno było całkiem uniewinnić oskarżonych, bo fakty przywłaszczenia były oczywiste, ale uznaliśmy okoliczności łagodzące i kary wymierzyliśmy najniższe, jakie tylko były dostępne, mianowicie w jednej sprawie skazaliśmy na siedem dni aresztu, w drugiej – na trzy dni. Ze spraw cywilnych dwie były o zakłócenie posiadania. Sprawy tej kategorii należą zwykle do najtrudniejszych do rozwikłania i zarazem najbardziej roznamiętniających chłopów, bo chodzi w nich o ziemię. W pojęciu chłopów prawie się nie mieści rozgraniczenie posiadania od własności, toteż strony są w tych sprawach najczęściej zupełnie ślepe i tzw. „wymiar sprawiedliwości" jest dla nich w tej sferze jakimś niepojętym sfinksem. A przecie wymiar sprawiedliwości jest tylko o tyle istotnie „sprawiedliwości" „wymiarem", o ile osoby, do których się on stosuje, w przekonaniu i czuciu swoim rzeczywiście znaczenie wyroków pojmują. W sprawach zaś o posiadanie bardzo często przegrywającą jest strona, która z tytułu pojęć własności ma słuszność, wygrywa zaś ten, który jest faktycznie przywłaszczycielem i gwałcicielem prawa. Wygrywa i tryumfuje, strona zaś przegrywająca, mająca poczucie swego prawa, wychodzi z sądu z wrażeniem krzywdy i jakiejś siły wyższej, która ją gwałci w imię rzekomo prawa i której ona nie rozumie zgoła. Muszę używać wysiłków niezwykłych, aby stronom wytłumaczyć istotę różnicy posiadania i własności. Nie lubię tych spraw. Ciągną się one zwykle długo, są jałowe i zostawiają niesmak w opinii tych, co uczestniczą w sporze, a sędziemu też zadowolenia nie dają.
Otrzymałem dziś kilka listów, w tej liczbie od Ludwika Abramowicza z Warszawy i Józefa Herbaczewskiego z Krakowa. Ludwik Abramowicz, który miał jakiś atak reumatyczny czy może nawet lekki paralityczny, teraz ma się już lepiej. W liście jego jest ciekawa dla mnie, choć w gruncie smutna wiadomość: spośród internowanych w Szczypiornie legionistów podobno do 1500 zgłosiło się do przysięgi. Jest to połowa

ogółu internowanych. Jeżeli to prawda – nie robię im z tego zarzutu i nie to jest mi przykre, że ewentualnie cofają się oni ze swego poprzedniego stanowiska i decydują się na przysięgę, ale to jest smutne, że idą do tego złamani niewolą, sforsowani gwałtem i demoralizacją. Gdybyż to ewolucję w przekonaniach chodziło! Wiem jednak, że to być nie może. Jest to złamanie, zachwianie w ogóle walorów ideowych i przekonaniowych. Jest to triumf tych, co byli najsłabsi i których zdemoralizowała niewola. Im już wszystko jedno – byle się wydostać z obozu jeńców i z tych przeklętych warunków, które muszą być straszne. Taką, najgorszą z form przemocy, przerobili rzecznicy „posłusznej armii" strzelców na bezdusznych kondotierów służby. Nie jest to materiał dla narodowej armii stosowny, o nie. Smutno, bo to upadek. Łaszczyc-Olszanowski wywieziony, jak pisze Abramowicz, do Niemiec. Był widocznie w Szczypiornie niedogodny jako moralny i ideowy kierownik internowanych na gruncie dochowania wiary sztandarowi Piłsudskiego. Był to wprawdzie sztandar bankrucki, ale przecież sztandarem był. Gorsze jest wyzucie się wszelkiego sztandaru.
List Herbaczewskiego mało w sobie treści zawiera. Jest on wiecznym malkontentem. Do niedawna gromy miotał na Polaków za ich do Litwy stosunek i zdawał się być nieprzejednanym rzecznikiem usiłowań litewskich do całkowitej od Polski emancypacji. To było w czasie wojny, bo poprzednio był zawsze rzecznikiem zbliżenia i związku dwojga narodów. Dziś znowu łaje Litwinów za ich skrajną względem Polaków odporność, co nie przeszkadza mu zresztą i Polaków namiętnie potępiać.
Z wczorajszego pobytu mego w Łomży zanotuję parę szczegółów z wieści z Warszawy. Jedne – to kwestia kandydatury Adama Tarnowskiego na prezesa ministrów. Niemcy podobno odmawiają zgody na tę kandydaturę, Rada Regencyjna zaś kategorycznie przy niej obstaje. Niemcy podobno wysuwają *contra* Tarnowskiego względy natury niezasadniczej, ale jest podejrzenie, że chodzi im właśnie o polityczne motywy. Prawdopodobnie w Tarnowskim, który był jednym z największych dyplomatów austriackich, węszą rzecznika Austrii i boją się nadmiernego wzrostu wpływów austriackich w sprawie polskiej, czego sobie nie życzą. Druga wieść z Warszawy – że administracja w Królestwie ma przyjść istotnie w ręce polskie. Ma to jednak nastąpić widocznie jeszcze nie prędko, skoro mówią, że ma to być dokonane przed kwietniem. Oczywiście Niemcy chcą ustępstwa na rzecz państwowości polskiej cedzić bardzo powoli, żeby przy okazji każdej koncesji odegrać rolę dobroczyńców i nie od razu wszystkie atuty na rzecz Polaków wypuścić, żeby było na długi czas o co się targować. Co zaś do administracji, to chodzi im zapewne także o to, żeby ją oddać na wiosnę wtedy, kiedy już najwięcej wyciągną z kraju rekwizycji i podatków.
Jeszcze słówko z pobytu w Łomży. Skorzystałem zeń, aby się zabawić przez parę godzin wieczorkiem z dziewczyną i ukoić w jej posiadaniu swoją tęsknotę do życia. Dziewczyna, którą w tym celu posiadłem, była Rosjanką rodowitą, pochodzącą z guberni tambowskiej. Los tu ją zagnał w czasie wojny; była sanitariuszką rosyjską, mając ojca i braci w wojsku na wojnie w Polsce; zachorowała na tyfus i podczas choroby odcięta została od Rosji przez wkroczenie do Łomży Niemców. Jest bardzo młoda, bo ma obecnie lat zaledwie 19. Nie mając środków do życia, została prostytutką, tusząc sobie, że po wojnie wróci do kraju i wyrzecze się niedoli łajdackiego życia. Nazywa się Maria Paszkin. Opowiadała mi o swym życiu i męce, płakała. Jest wysoka, ładnie zbudowana. Lubię kobiety z temperamentem, lubię, gdy są albo wesołe, albo pełne silnego bólu. Nie lubię mdłych i ospałych. Wolę, gdy są w bólu, gdy płaczą, ale nie nędzną płaczliwością beksy, lecz drgającym żywym tętnem nieszczęścia. Są wtedy pełne wyrazu, są wydajne i smakują stokrotnie. Dziewczyna płacząca pachnie szczególnie. Płacząca pachnąca żywa dziewczyna – to cud życia, to ucieleśnienie

konkretne tajemnicy i pojęcia Życia. A jakiż kwiat dorówna zapachem i krasą młodej kobiecie? Któryż tak pachnie jak ona!

8 listopada, rok 1917, czwartek
Miałem list od Maryńki. Dwie są w nim ciekawe dla mnie nowiny. Jedna – ta, że w Rydze, zajętej przez Niemców, znalazł się Lolo Wołodkowicz. Maryńka otrzymała od niego list, w którym prosi o przysłanie pieniędzy, bo siedzi bez grosza. Widocznie został zaskoczony i nie spodziewał się odcięcia od Rosji i znalezienia się po tej stronie kordonu wojennego. Dla nas podczas tej wojny, która tak bezwzględnie odcina będących z tej strony frontu od będących z tamtej, takie znalezienie się nagle kogoś z krewnych, którzy byli tam, po naszej stronie jest czymś takim, jak gdyby ten krewny nagle przyszedł na świat. Rodziny bowiem są rozdzielone na dwie odseparowane ściśle części, jakby żyjące w dwóch odrębnych światach. Będący na tamtym świecie, choć żywi, są dla nas cieniami, o których tylko myśleć możemy, nie mogąc w żadnej postaci obcować ze sobą. I nagle jeden z tych cieniów zostaje przez linię frontu od tamtego świata odcięty i przydzielony do nas. Z cienia staje się dla nas namacalnie znowu żywym człowiekiem, z którym możemy obcować, korespondować bezpośrednio, a nawet w pewnych warunkach się zobaczyć. Słowem – jest on dla nas znowu uchwytny, realny, współżyjący z nami. Jest tak, jak gdyby się dla nas znowu urodził, a przynajmniej przyszedł na świat w dosłownym znaczeniu, bo tamten świat, w którym żyją odcięci linią wojenną, nie jest dla nas światem realnym, jeno światem widmowym, który tylko w pojęciu istnieje. I te „urodziny” jednego z krewnych są zaiste osobliwymi urodzinami, bo normalnie rodzi się czyli przychodzi na świat tylko dziecko, o którym nic nie wiemy i które, choćby było najbliższym, jest dla nas zupełna *tabula rasa*. Tutaj zaś przychodzi na świat człowiek indywidualnie nam znany, do którego nasz stosunek jest zupełnie życiowo ustalony. Zaiste dziwne, jedyne w swoim rodzaju są wrażenia i czucia przez warunki tej wojny określane. Całe pokolenia ich z pewnością nie doświadczały. Są to jakieś fantastyczne zgoła stosunki, pojęcia, wrażenia. I ten oto krewny, przychodząc dla nas na świat, wyłaniając się nagle ze strefy cieniów, nie tylko przybywa nam sam, ale jeszcze przynosi ze sobą całą treść realną życia tamtej połowy naszej rodziny, przynosi nam żywe wieści z tamtego świata. Dowiemy się od Lola o Pruszanowskich, o Elwirze, o wszystkich krewnych stamtąd. Muszę się od Maryńki dowiedzieć adres Lola w Rydze i skomunikować się z nim także.
Druga wiadomość – o synu Maryni, Stefusiu Römerze. Maryńka miała z nim wielki kłopot i dużą troskę. Dobry to chłopiec, pełny serca, wrażliwy, sprytny, zdolny szczególnie w zakresie rysunku i malarstwa, do czego ma wybitny talent, ale bardzo słabego charakteru. Brak mu wytrwałości i hartu postanowień. Nie uczył się i na domiar złego zaczął popełniać kradzieże w domu, oszukiwać matkę i w ogóle uprawiać malwersacje. Maryńka nie była w stanie tego zwalczyć. Sam także nie umiał się poprawić, mimo szczerych nieraz postanowień. Maryńka musiała przerwać jego nauki w szkołach wileńskich, gdzie się jeno psuł. Od wiosny jest w Bohdaniszkach. Ale tam nie ma opieki i w dodatku ma nieznośne nudy, które jeno szkodzą na jego charakter. Maryńka myślała i nic wymyślić nie mogła. Był projekt, że Papa go gdzieś zalokuje w Saksonii, gdzie jest zakład wychowawczy dla takich chłopców, ale Papa tego nie uskutecznił. Chciała już go Maryńka wziąć do Wilna i oddać do nauki rzemiosła w którym z zakładów księżowskich, jednocześnie go w malarstwie kształcąc. Poprzednio były projekty oddania go bądź do Legionów (jest jednak kaleką i poza tym w wojsku by się do reszty zepsuł), bądź do szkoły artystycznej w Warszawie na stypendium. Aż teraz Maryńka znalazła dla niego lokatę w Niemczech w prowincji hanowerskiej, w jakimś specjalnym tego rodzaju zakładzie, utrzymywanym przez luterańskiego pastora. Zakład

ma być doskonały, gdzie każdy chłopiec jest indywidualnie kształcony praktycznie i moralnie co do charakteru, stosownie do osobistych zdolności i kwalifikacji. Kurs – czteroletni. Maryńka już się skomunikowała z pastorem i zdecydowała. Pisze, że cieszy się, iż Stefuś będzie pod kierunkiem chrześcijańskim i zarazem wolnym od „dewocji" katolickiej i – dodam – ciasnego, specjalnie katolickiego klerykalizmu i ducha jezuickiego. Istotnie – wpływ taki może być doskonały. Dzielna i mądra jest Maryńka.

9 listopada, rok 1917, piątek
Jesienny powszedni dzień; szary i nudny. W sądzie ruch przeciętny. Z regularnością prawie pedantyczną wpływają dziennie po dwie sprawy; rzadko więcej i rzadko mniej. Rozeszły się wieści, oparte zresztą na doniesieniach gazet niemieckich (ja ich nie czytałem), że na posiedzeniu Rady Koronnej w Niemczech zapadły następujące „decyzje" w sprawie polskiej i ziem, okupowanych na wschodzie. Królestwo Polskie ma być połączone z Austro-Węgrami, natomiast Litwa i Kurlandia, zorganizowane, jako państewko odrębne, mają wejść do Rzeszy Niemieckiej. Cesarz Wilhelm czy też jego synowie mają zostać panującymi książętami Litwy jako Wielkiego Xięstwa i Kurlandii jako Księstwa („Hercogstwa"). Od Królestwa Polskiego, w myśl zasad tzw. granicy strategicznej, ma być odcięty szmat ziemi na północ i zachód od linii Narwi, za co Polska w drodze kompensaty otrzymałaby obwód białostocki. Zanarwiańska część Polski, to znaczy dawna gubernia płocka, cała północna część łomżyńskiej i suwalska – byłaby dołączona do Litwy. Odpowiednio do tego już obecnie miałby być dokonany podział okupacji między Niemcami i Austrią, to znaczy okupacja austriacka przesunęłaby się aż do Narwi, a w zachodniej części Królestwa – do Wisły. Konstrukcja taka pod względem politycznym byłaby zgoła dziwaczna i miałaby tylko jedyną logikę – strategiczną, odpowiadającą, zdaje się, koncepcji Hindenburga. Realizacja takich pomysłów, jeżeli to prawda, że otrzymały one sankcję Niemieckiej Rady Koronnej, wydaje mi się mało prawdopodobną. Czynniki polityczne i międzynarodowe nie dałyby się tak dalece pogwałcić przez jednostronną wolę Niemiec i strategiczny interes militaryzmu pruskiego. Kombinacja taka byłaby jednym więcej szkopułem na drodze do pokoju. Wprawdzie związek Polski z Austrią byłby, jak mi się zdaje, dla Polski kombinacją niezłą, ale nowe członkowanie Królestwa, nowe ćwiartowanie narodowe Polski i wiązanie organiczne płockiego Mazowsza z etnograficzną Litwą byłyby szeregiem politycznych dziwactw, które by konstrukcji takiej zapewnić trwałości nie były w stanie. Toteż, choć się dużo o tym mówi, nie mogę uwierzyć w realizm takiej kombinacji, w jej wykonalność rzeczywistą.

10 listopada, rok 1917, sobota
Zdaje się, że wieści, które notowałem wczoraj o podziale Polski, chociaż opierały się na gazetach niemieckich, nie są ścisłe. Zdaje się, że takie pomysły tylko wypływały i były omawiane na Niemieckiej Radzie Koronnej, ale bynajmniej nie były w postaci miarodajnych uchwał powzięte. Dzisiejsze gazety natomiast przyniosły szereg sensacyjnych nowin z dziedziny wojennej i zwłaszcza politycznej, nowin, które mogą mocno zaważyć na biegu już nie wojny tylko, ale katastrofy światowej i być w skutkach niezwykle doniosłe, chociaż równie nieobliczalne. Chodzi zwłaszcza o wypadki w Rosji. Wpierw wszakże słówko o nowinach wojennych z frontu włoskiego. Porażka Włochów nie jest zakończona i postęp ofensywy niemiecko-austriackiej łamie coraz dalsze przeszkody. Po przełamaniu frontu nad Soezą (Isouzo), po sforsowaniu linii Tagliamento zwycięskie wojska wywalczyły na Dolinie Weneckiej przejście przez Livenzę i miejscami docierają już do rzeki Piavy. Jednocześnie łamie się też front włoski w Tyrolu Południowym. Można przypuszczać, że niedaleką jest chwila upadku

Wenecji i zalania przez inwazję zwycięzców całej Doliny Weneckiej aż może do linii Po. Jeńców włoskich od początku ofensywy naliczono już 250 000.
Ale najciekawsze jest to, co się dzieje w Rosji. Chaos zmagań się i walk wewnętrznych w rewolucji rosyjskiej nie ustaje na chwilę. Z kipiącego fermentu wyłaniają się coraz nowe fakty i zjawiska. I oto wreszcie dokonała się rzecz kapitalna. Dokonało się zwycięstwo bolszewików. Petersburg jest w ich ręku. Moskwa, której Rada Robotniczo-Żołnierska była już przez bolszewików opanowana, z pewnością także, jak owoc dojrzały, wpadnie do ich rąk. Cała Rosja w rewolucyjnym pędzie im ulegnie, a to tym bardziej, że zrewoltowana armia ich poprze. Władza centralna jest w ręku bolszewików. Ministrowie Rządu Tymczasowego są aresztowani. Kierenskij – zbiegł. Na miejsce Kierenskiego wysunie się teraz w Rosji wszechpotężny Lenin, czerwony wódz rewolucji. Z Leninem i bolszewikami dochodzą teraz do władzy bezwzględnie hasła: natychmiastowego pokoju, Konstytuanty i podziału ziemi. Co będzie dalej? Jak się rozwiną wypadki? Czy jest to świt pokoju? Być może na froncie wschodnim nastąpi zawieszenie broni, być może granica Rosji otworzy się, ale czy to będzie początek pokoju, tego pokoju spokojnego, pokoju, otwierającego erę statecznej pracowitej twórczości ludzkiej, do którego tęskni ludzkość? Czy nie będzie to nowa komplikacja Wielkiej Katastrofy, początek straszliwego aktu konwulsji, od których drżeć będzie Ziemia i jej synowie ludzcy! Jaki będzie i jak się dokonać zdoła pokój między rewolucyjnym Leninem, między społeczną rewolucją Rosji a ścisłym zrównoważonym Cesarstwem Niemieckim i prawowitą katolicką Austrią? Co Anglia na to powie i czym zwłaszcza odpowie? Jakich ujść szukać będą rewolucyjne namiętności społeczne w Rosji i w jakich kształtach oraz na jakie nowe powodzie toczyć będą rozjuszone fale? Boże, miej w opiece Litwę, Polskę i kraje oraz ludy, którym się Wyzwolenie i Czyn własny na umęczonym i sponiewieranym Wschodzie Europy należy! Daj z tych nieszczęść wypłynąć dziełu Miłości i Wolności. Niech z Katastrofy, jakąkolwiek ona będzie, wytryśnie nowe źródło Twej Łaski w odrodzonej karcie Nowych Dziejów Narodów.
Napisałem dziś do Karola i Maryli O'Rourke'ów do Warszawy, którzy już wkrótce wracają do Wsielubia. Kończy się ich „urlop". Listem tym pożegnałem się z nimi. Losy dziwaczne, które miotają ludźmi w tej wojnie, pozwoliły nam z nimi niespodzianie na chwilę się spotkać w Warszawie i znów nas dziś rozłączają nie wiadomo – na jak długo. Było to ot takie przygodne spośród ogółu krewnych nasze właśnie z nimi spotkanie. Jak dwie komety, błądzące po nieznanych przestworach wypadków, wyłonią się nagle z dalekich krańców chaosu i spotkają na chwilę, by znów się rozdzielić i gdzieś w przestrzenie bez wiedzy o sobie rozlecieć, tak my z nimi spotkaliśmy się i rozdzielamy. Oni zapadną w głuche ustronie w pobliżu szalejącej wojny, niedostępni dla świata, ja zostanę w Kolnie, pełniąc urząd sędziowski w głębi puszczy Kurpiów. Oryginalne spotkanie, dziwaczne przygodne wypadki między ludźmi. Wojna!

11 listopada, rok 1917, niedziela
Nudny dzień – niedziela.
Gazety nie przyszły, toteż nie wiem, jakie są dalsze wieści z Rosji. Są gawędy, że do niemieckiego urzędu powiatowego („Kreisamtu") przyszła depesza, zapowiadająca zawieszenie broni na froncie wschodnim. Ile w tym prawdy – nie podejmuję się sądzić. Swoją drogą, musi tam być w Rosji właścicielom majątków ziemskich – niewesoło, bo zwycięstwo rewolucyjnych bolszewików ustanawia, jako pierwszy akt społecznego dramatu, zabór natychmiastowy wszystkich ziem własności prywatnej, to znaczy nie należących do kategorii włościańskiej ziemi nadziałowej. Ta wielka reforma agrarna, stanowiąca najgłębszą tradycję rewolucyjnych prądów w Rosji, reforma, polegająca na

rozdaniu całej ziemi chłopom, jest w zwycięstwie bolszewików elementarną zasadą rewolucji i zarazem jej głównym atutem. Popularność w masach rosyjskich hasła zaboru ziemi jest tak wielką, że na nim funduje się cała moc i popularność rewolucji. Chłopska masa rosyjska nie zna ani idei państwa, ani idei narodowości i w gruncie dość obojętna jest na hasła swobód politycznych. Czuła jest na jedno tylko hasło i na jedną ideę – ideę schłopienia całej ziemi. Idea ta w masie włościańskiej w Rosji wyraża się w koncepcji najprostszej i najpierwotniejszej; cała ziemia powinna należeć do tych, którzy ją uprawiają własnoręcznie, to znaczy do chłopów. Nie chodzi tu ani o uspołecznienie (socjalizację) ziemi jako środka produkcji, ani o jej unarodowienie (nacjonalizację). Te wyższe społecznie formy koncepcji własności są dla chłopa rosyjskiego niedostępne. Jest on co prawda wrogiem osobistej prywatnej własności ziemskiej, której przeciwstawia ideę własności gminnej, ale użytkowanie tejże pojmuje jednak indywidualnie, opierając je na zasadach równego podziału w łonie gminy. Część socjalizmu rosyjskiego akceptuje chłopską tezę ugminnienia ziemi, inna część zdaje sobie sprawę ze społecznej niedoskonałości tej tezy. Żadna jednak nie odważa się bronić własności prywatnej ziemskiej, bo straciłaby klucz do rewolucji. Dalsze postulaty reformy – to znaczy kwestia socjalizacji czy gminowładztwa ziemskiego, w ogóle sposób ostatecznego załatwienia sprawy – będzie przedmiotem późniejszych rozważań i kłótni, w zasadzie – będzie zadaniem Konstytuanty i na tym zapewne rewolucja rosyjska zabrnie w trudności niesłychane, ale pierwsza elementarna rzecz – natychmiastowy zabór ziem własności prywatnej – ma się już spełnić zaraz. Wyobrażam sobie wszystkich naszych ziemian w rewolucyjnej Rosji; wyobrażam sobie ich miny obecne, zwłaszcza tych, którzy tak gorąco hołdowali moskalofilstwu. Z pewnością woleliby teraz być nie tylko „pod Niemcem”, ale pod samym diabłem, niż pod rewolucją rosyjską. Wyobrażam też Ezechiela, Mieczkowskich, Wołodkowiczów, których majątki są po tamtej stronie frontu. Niewesołe im się kreślą perspektywy. Kruchość rewolucji rosyjskiej polega na tej apolityczności rewolucyjnego chłopa. Czynnik społeczny – instynkt chciwości ziemi – jest całym jego bodźcem rewolucyjnym. Ten instynkt elementarny wraz z instynktem pokoju są całym i, zdaje się, jedynym podłożem rewolucji w masie chłopskiej i żołnierskiej. Gdy się ten instynkt nasyci, chłop kopnie bolszewików i Lenina, bo ich dalsze polityczne postulaty są dlań obojętne. Wszakże jedno może ocalić rewolucję rosyjską i zachować trwałość jej bodźców: gdy się okaże, że zapasy ziemi nie nasycą apetytów, że reforma elementarna nie tylko nie ustali powszechnie szczęścia i złotego bogactwa, ale jeszcze skomplikuje stosunki i zrodzi nowe komplikacje, trudności i ciężary – chłop może szybko dojrzeć politycznie i pojąć walor politycznych oraz wyższego rządu społecznych zagadnień.

12 listopada, rok 1917, poniedziałek
Zwycięstwo bolszewików w Rosji coraz bardziej się z gazet potwierdza. Jednocześnie wszakże błąkają się po gazetach to tu, to ówdzie wzmianki o jakichś knowaniach kontrrewolucyjnych. Za autorów tych knowań podają to generała Hurkę, który siedzi w Anglii, to wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, który gdzieś zbiegł, to kadetów, którzy są wrogami skrajnego prądu bolszewickiego i z pewnością myślą o sposobach kontrorganizacji, to Kierenskiego, o którym są wieści bardzo sprzeczne i którego losy, miejsce pobytu i zamiary są niejasne. Żeby jednak kontrrewolucja mogła zaraz zacząć działać i zwyciężyć – nie sądzę. Na kim się ona bowiem oprze i kto za nią w rozwichrzonej Rosji pójdzie, gdy rewolucja bolszewicka operuje takim popularnym demagogicznym hasłem, jak natychmiastowe przekazanie ziem prywatnej własności chłopom. Tego najsilniejszego z oręży żadna kontrrewolucja jej wydrzeć i przywłaszczyć nie zdoła. Co nie przeszkadza, że gdy zaborowi ziem stanie się zadość,

te samy masy chłopskie, które dziś dają poparcie Leninowi, mogą zwrócić się przeciwko niemu i stać się czynnikiem kontrrewolucji. Ale na razie jest to chyba niemożliwe. Ta masa w Rosji pójdzie za tym, kto jej najjaskrawsze obietnice ziemi robić będzie. Nastaje więc w Rosji era Lenina i Trockiego. Ci potentaci już doszli do władzy. Bardzo ciekaw jestem, jakie będą losy hasła pokoju. Chociaż bolszewicy głoszą pokój natychmiastowy, nie będzie on jednak prosty i łatwy. Bo oto Rady Robotniczo-Żołnierskie mają natychmiast wystąpić z bezpośrednią propozycją pokojową do walczących, ale propozycją pokoju proletariackiego. Jaki on będzie i czy da się pogodzić z państwowymi koncepcjami wojujących – to jeszcze wielkie pytanie. Zostawię na uboczu wielką politykę i przejdę do powszednich spraw moich. Pragnąłbym, żeby u mnie w sądzie był ruch spraw jak największy. Chciałbym pracy intensywnej. Tymczasem pracy, i to dość leniwej, starczy mi ledwo na przedpołudnie, najwyżej do zmroku. Wieczory mam już zupełnie próżne, a zajmują one dobrą połowę dnia. Gdyby dziennie wpływało nie po dwie, lecz po 5-6 nowych spraw, dopiero byłoby akurat w miarę roboty. I sesje byłyby wtedy częstsze, i na studiowanie spraw oraz na różne czynności i decyzje incydentalne więcej by się zużywało czasu. A praca ta podoba mi się i pochłania energię, dając zadowolenie i będąc żywa. Czekam z upragnieniem przyłączenia do mego sądu dwóch gmin – Gawrychy i Mały Płock, o co robię starania. Starania te zostały przez prezesa Filochowskiego przyjęte przychylnie, ale decyzja będzie jeszcze zależeć od Departamentu Sprawiedliwości. W ogóle jest tendencja do wielkich oszczędności w sądownictwie, które kosztuje drogo, a dochody daje bardzo nieznaczne wobec powszechnego zastoju gospodarczego i małego stąd ruchu spraw. Jest tendencja nawet do zmniejszenia ilości czynnych sądów pokoju i prezes Filochowski chciałby ewentualnie moje starania o przyłączenie gmin połączyć ze zmniejszeniem liczby sądów w powiecie kolneńskim z trzech (Kolno, Stawiski i Jedwabno) do dwóch (Kolno i albo Jedwabno, albo Stawiski). Wszakże konferencja sędziów pokoju Okręgu Sądowego Łomżyńskiego, która odbyła się 29 października, wypowiedziała się zasadniczo przeciwko zmniejszaniu ilości sądów, powołując się na to, że zmniejszenie takie, które by zwiększyło terytorialne rewiry pozostałych sądów i przeto powiększyłoby odległości osobom zainteresowanym do sądów, zamiast udostępnić, utrudniłoby funkcję publiczną wymiaru sprawiedliwości, a zresztą słaby ruch spraw w sądach jest tylko wypadkiem przemijającym i w chwili likwidacji wojny należy się spodziewać szalonego rozrostu procesów i sporów, do czego trzeba mieć z góry aparat sądowy przygotowany. Co do przyłączenia dwóch gmin, o które się staram, to zresztą można by i należało dokonać tego nawet niezależnie od zmniejszenia sądów, bo obie te gminy mają obecnie bliżej do Kolna, niż do Stawisk, do których należą. Było, zdaje się, błędem ze strony Departamentu Sprawiedliwości, że utworzył zbyt dużo naraz okręgów sądowych i przeto zbyt dużo sądów okręgowych, które obecnie nie mają co robić, a kosztują drogo. Taki sąd okręgowy w Mławie jest zbyteczny na dzisiejsze czasy, a niektóre sądy w zachodniej części Królestwa, jak w Częstochowie lub Będzinie, mają okręg zaledwie 1 ½ powiatu. Na czas pokoju takie ruchliwe przemysłowe okręgi, jak Częstochowa i Będzin, choć terytorialnie niewielkie, mogą być bardzo potrzebne, toteż w zasadzie wyodrębnienie ich może być słuszne, ale w obecnym martwym czasie ekonomicznym są one wielkim ciężarem dla skarbu.

13 listopada, rok 1917, wtorek
Z Rosji wciąż jeszcze wieści nieścisłe. Petersburg w ręku bolszewików, szereg miast także. Ale czy wszystkie miasta i czy cała prowincja olbrzymiej Rosji – trudno jeszcze dać odpowiedź. Niejasnym też jest, kto dotąd przeważa w Moskwie, brak też ścisłych wieści o stanowisku armii, która będzie zapewne czynnikiem decydującym. Sprzeczne

są też w gazetach wersje o Kierenskim. Jedne podają, że został schwytany przez rewolucjonistów i aresztowany, ale te zdają się być mniej wiarygodne; podług innych wersji, stanął on na czele wojsk, wiernych Rządowi Tymczasowemu, do których się odwołał i pono nawet maszeruje z nimi na Petersburg. Pochwycenie władzy przez bolszewików budzi u nas w przeciętnej opinii prowincjonalnej nadzieje rychłego pokoju, bo nie ulega wątpliwości, że bolszewicy za jedno z głównych haseł na sztandarze rewolucji wypiszą hasło pokoju. Wielkie też zainteresowanie budzi kwestia, czy nie zwycięży w Rosji kontrrewolucja i czy nie stłumi bolszewickiego zamachu stanu. Co do mnie – nie wierzę w triumf kontrrewolucji w Rosji. Gdyby się nawet na razie udała, gdyby Kierenskij albo kadeci zdołali jeszcze tym razem w drodze wojny domowej opanować Petersburg i wrócić do władzy, to panowanie ich będzie krótkie i jeżeli nie teraz jeszcze, to za miesiąc, za dwa – bolszewicy z Leninem znowu zwyciężą. Bo zrewolucjonizowana, rozwichrzona masa w Rosji pójdzie ostatecznie za tym, kto jej będzie głosić pokój i ziemię. Kontrrewolucja mogła się była ewentualnie udać w Rosji zaraz po obaleniu caratu i tylko na rzecz tegoż caratu. Car miał bądź co bądź w masie rosyjskiej aureolę i autorytet, które się przez dziesiątki pokoleń w pojęciach ludowych utrwaliły. Ani Kierenskij, ani kadeci tego nie mają. Ich koncepcje państwowe, ich liberalne albo bardzo szlachetne humanistyczne ideały państwa demokratycznego i w szczególności subtelne konstrukcje o sojuszu z koalicją demokracji zachodniej przeciwko militaryzmowi pruskiemu są dla masy rosyjskiej abstrakcją martwą, która do jej serc i umysłów nie przemawia zgoła. Są to jakieś piosnki nieuchwytne, podczas gdy bolszewicy mówią jej o tym, co ona czuje bezpośrednio i czego chce – o pokoju i o ziemi. Inteligenckie koncepcje Kierenskiego i burżuazyjne ideały kadetów są dla chłopa, robotnika i żołnierza rosyjskiego czymś obcym i sztucznym. Tym bardziej, że lud rosyjski ma z natury swojej, a raczej z wychowania i z przyczyn historycznych, mniej zmysłu państwowego, niż jakikolwiek inny lud. Nie miał on w swoim państwie praw obywatelskich i szkoły samorządności, toteż państwo jest dla niego rzeczą obcą. Znał on carat i władzę państwową nad sobą, której umiał być posłusznym, ale gdy raz się z tych więzów wyrwał i poczuł, że carat i władza ta nie zdołały go poskromić, to ma dość państwa. Przez osiem miesięcy rewolucji oduczył się od caratu, który w umyśle jego zbankrutował. Dziś w czwartym roku wojny ludy wszystkich państw byłyby z pewnością odrzuciły precz państwo, gdyby władza je nie trzymała w ujarzmieniu i gdyby mogły wybierać między państwem a pokojem. A cóż dopiero Rosja! Tym bardziej, gdy już od blisko roku fermentuje tam rewolucja, rozzuchwalając wszelką samowolę. Toteż jeżeli nawet jeszcze nie dziś, to już na pewno jutro zwycięży w Rosji ostatecznie nie Kierenski ani Milukow, ani car, którego autorytet i blask tonie w zmierzchu coraz głębszym, ale – Lenin z prostym popularnym hasłem pokoju i ziemi bez żadnych państwowych, imperialistycznych i inteligencko-demokratycznych koncepcji! Tak, w kontrrewolucję w Rosji wierzę, ale – dopiero wtedy, gdy się masa albo nasyci ziemią, albo, co jeszcze prawdopodobniejsze, złamie hart i zadławi się tą samą reformą agrarną, której dziś pożąda, dokonywaną w chaosie i rozwichrzeniu, w anarchii, zazdrości powszechnej, w warunkach, które ostatecznie nikogo nie zadowolą, sprowadzą zamęt nieopisany, ruinę gospodarczą i rozprzężenie społeczne i kulturalne, aż wreszcie ta sama, zrewoltowana dziś masa zatęskni do spokoju i równowagi społecznej, do posłuchu i ciszy i sama szyję swą jarzmu jakiejś władzy podda. Ale na to teraz za wcześnie. Dziś wschodzi gwiazda Lenina, który zapanować musi pod berłem pokoju i ziemi. Co zaś do sprawy pokoju, to pomimo bezpośredniości tego hasła w programie rewolucji rosyjskiej bolszewików, nie wydaje mi się on wykonalny. Choć najszczerzej pragną bolszewicy i zrewoltowani Moskale pokoju, to jednak zaiste trudniej im go zrealizować, niż się porozumieć Niemcom z Anglią. Łatwiejszą jest

sprawa Alzacji, kolonii niemieckich, wolności mórz itd., które dzielą dwa światy wojujące, niż pogodzenie idei bolszewickiej pokoju proletariackiego z ideą wojujących o pokoju państwowym.

14 listopada, rok 1917, środa
Dzień sesji sądowej. Spraw było wyznaczonych dziewięć, w tej liczbie jedna karna z prywatnego oskarżenia i osiem – cywilnych. Ławnicy zasiadali: Kozik i Remba. Trafiło się dziś tak, że tylko jedna sprawa została zasądzona wyrokiem, poza tym jedna (karna) umorzona i jedna usunięta z wokandy za niestawieniem się stron, i aż pięć spraw zostało odroczonych dla wezwania dodatkowych świadków. Większość spraw było o wynagrodzenie szkód i strat z tytułu bądź zakłócenia posiadania, bądź wypasów przez bydło. Są to przeważnie sprawy drobne, ale często drobne są zawilsze od grubych. Goldberg stawał dziś tylko w jednej sprawie, incydentalnej, którą przegrał. Zaraz po przegraniu zebrał się i poszedł – czy to że po przegraniu pierwszej liczył, iż na dzisiejszej sesji nikt już z procesujących się nie zechce korzystać z jego usług, bo Kurp' jest ciemny a nieufny i gdy zobaczy, że adwokat raz przegra, to już uważa, że jest do niczego, czy też dlatego, że chciał siedzieć w domu, licząc, że przy dzisiejszej mobilizacji koni trafi mu się w domu jakiś grubszy klient. A może Goldberg wziął do serca to, że widział, iż nawet w dniu sesji, gdy jestem zajęty osobiście, sekretarz Miętkiewicz w kancelarii przyjmuje i protokółuje ustne skargi, co Goldbergowi kością stoi w gardle, tak że nie mógł widoku tego przetrawić i, zniechęcony tym oraz przegraną, poszedł sobie precz do domu. Goldberg wciąż się żali na to, że przyjmuję skargi ustne, co mu odbiera zarobek, bo rzeczywiście interesanci, widząc to, śpieszą wszyscy wprost do mnie do sądu i zupełnie pomijają adwokata, w najlepszym zaś razie angażują go dopiero na samej sesji do rozprawy, co mu mniej daje dochodu, niż gdyby całą sprawę w całym jej biegu prowadził. I rzeczywiście skargi, wpływające przez Goldberga, są coraz rzadsze, i gdy w pierwszych tygodniach mojego urzędowania Goldberg wnosił po kilka spraw tygodniowo, dziś przechodzą całe tygodnie, że nie wnosi ani jednej. Wszyscy interesanci idą prosto do sądu, choć nieraz więcej skomplikowane sprawy staram się do Goldberga sam odsyłać; ale interesant taki, widząc, że jego sprawy nie chcę sam protokółować, zamiast mię usłuchać i udać się do Goldberga, liczy, że to pewno jest sprawa zła, której już nie wygra, skoro jej bezpośrednio nie przyjmuję, i rezygnuje. Toteż praktyka Goldberga w sądzie kolneńskim zmniejszyła się. Żal mi go, ale jakże mam postąpić. Rozumiem, że dla adwokata, który z tego żyje, jest krzywda, gdy mu się praktyka zmniejsza, i że położenie jego jest trudne, gdy sam sędzia, protokółując ustne skargi, robi mu „konkurencję”, ale z drugiej strony zmuszać interesantów do korzystania z usług fachowca adwokata, gdy w Kolnie jest tylko jeden adwokat i przeciwna strona już by miała do tej pomocy fachowej drogę zamkniętą, co naruszałoby z góry równowagę szans stron w procesie, nie uważam za możliwe, a skądinąd przyjmowanie ustnych skarg, co wyraźnie prawo przypisuje, uważam za mój obowiązek, gdy czas mi na to pozwala i gdy mam świadomość, że odmowa przyjmowania takich skarg równałaby się dla wielu, zwłaszcza biedaków, [zamknięciu] możności dostępu do wymiaru sprawiedliwości. Trudno zaś, bym robił różnice i faworyzował poszczególnych interesantów, od jednych przyjmując skargi ustne, innym zaś tego odmawiając. Skądinąd znowu udział fachowca adwokata w procesie uważam za pożyteczny dla samych publicznych zadań wymiaru sprawiedliwości, ponieważ bieg sprawy, jej przejrzystość i warunki stosowania prawa na tym jedno wygrywają. Właściwie adwokatura jako organizacja pomocy fachowcy prawnej powinna by być służbą publiczną, nie zaś zawodem prywatnym, na zasadach spekulacji opartym. Do spraw

grubszych i do najwyższych instancji kuracyjnych zasada ta już zaczyna przenikać, ale w sprawach drobnych w sądach lokalnych, gdzie ludność miejscowa jest w stosunkach prawnych niezaradna i nieraz zupełnie ciemna, zasada ta miałaby też bardzo wielką rację bytu. Sędzia bowiem nigdy sam zastąpić stronom adwokata nie zdoła. Wynika to z różnicy natury obowiązków sędziego a obowiązków adwokata jako zastępcy strony. A spraw tym czasem u mnie coraz przybywa. Sam nie wiem, jak w stosunku do Goldberga wybrnąć. Takie oto są kłopoty i troski mego zawodu sędziowskiego.
Dziś wypadł pierwszy śnieg, który natychmiast topniał i mieszając się z błotem – zwiększał jeno brud. Jeżeli prognostyki ludowe nie zawodzą – to za miesiąc od pierwszego śniegu ma się ustalić zima.
Dziś w Kolnie była mobilizacja koni z gmin puszczańskich – z Turośli i Łysego. Odbywał się pobór koni przez Niemców dla potrzeb wojskowych. Mobilizacja ta trwa przez cały ten tydzień, kolejno w różnych punktach powiatu. Od samego rana ciągnęły długie sznury ludzi, wozów, koni, prowadzonych luzem, w zaprzęgu i pod siodłem. Pobór trwał aż do późnego wieczora na błoniach za miastem. Jest to ciężki dzień dla ludności. Koni jest brak ogromny i coraz większy, ceny są niesłychane, a tu wciąż po parę razy do roku – mobilizacja i pobór. Mobilizacje te są zmorą dla ludności wiejskiej. Co tylko ze źrebiąt dorośnie i dojdzie wieku lat czterech – to się zabiera. Choć już i Niemcy płacą obecnie po 1200-1800 i bodaj do 2000 mk. za konie przy poborze, ale to jest niezmiernie jeszcze mało wobec cen rynkowych na zdrowe młode i silne konie. W użyciu miejscowym pozostają tylko szkapy niedołężne i młodziutkie koniki oraz do czasu – klacze źrebne. Przy tym kwitną podczas tych mobilizacji różne nadużycia. Handlarze i spekulanci końscy Żydzi znaleźli przez łapówki drogę do żołnierzy niemieckich, którzy już także w kraju okupowanym nauczyli się brać, co się da bez skrupułów uczciwości. Nocą przed mobilizacją po stodołach żołnierze stemplują jako braki konie, które handlarze kupili wigilią u chłopów. Kupili oczywiście o wiele taniej, niż cena rynkowa wyprosi, bo chłop, sterroryzowany nieuchronnym poborem, musi oddać konia taniej, byle przecie wziąć coś więcej, niż mu Niemcy zapłacą, a handlarz po mobilizacji odsprzeda konia dwójnasób, bo i cena jeszcze bardziej po mobilizacji podskoczy. Cała potężna szajka spekuluje w ten sposób, rabując zyski.

15 listopada, rok 1917, czwartek
Ruch spraw w sądzie moim rośnie. Co dzień po kilka wpływa. W grudniu w pierwszych paru tygodniach zarządzę po trzy sesje tygodniowo, w trzecim zaś tygodniu – dwie; tą drogą osiągnę osiem sesji w grudniu i zarazem pozostawię sobie koniec świąteczny miesiąca, od 21-go, zupełnie wolny. Dotąd miesięcznie było po sześć sesji. Wprowadzam też tytułem próby innowację w grudniu. Mianowicie dotąd robiłem cztery zmiany ławników, biorąc do każdej sesji po jednym Żydzie i po jednym katoliku. Stałe zmiany były następujące: 1. Stachelski-Remba, 2. Kocik-Remba, 3. Stachelski-Jerozolimski i 4. Kocik-Jerozolimski. Sprawy, rozważane przy danym komplecie ławników, o ile były odroczone, zostały wyznaczone na najbliższą kolejkę tegoż kompletu ławników, czyli przychodziły na wokandę na czwartą kolejną sesję. Obecnie, wobec zwiększenia ilości sesji, wprowadzam poza powyższymi czterema normalnymi zmianami ławników – jeszcze na miesiąc dwie zmiany nadprogramowe, jedną czysto katolicką – Stachelski-Kocik, na którą wyznaczać będę sprawy czysto chrześcijańskie, i drugą czysto żydowską – Remba-Jerozolimski, na którą wyznaczać będę sprawy, w których obie strony są żydowskie. Co do mnie, to gdybym miał się tylko z własnym instynktem prawnym i obywatelskim liczyć, układałbym kombinacje ławników i wyznaczał sprawy na te lub inne ich komplety bez żadnego względu na różnice wyznaniowo-narodowe czy to stron, czy ławników. Co najwyżej różnicowałbym w

stosunku do doboru osobistego ławników rodzaje spraw podług ich kwalifikacji merytorycznych. W moim bowiem pojęciu, w pełnieniu obywatelskich obowiązków ławnika między ławnikiem-Żydem a ławnikiem-Polakiem różnice są tylko w kwalifikacjach czysto osobistych, takich, jak zdolności, sumienie, znajomość lub zmysł prawa, inteligencja, temperament itd., które są odrębne od kwalifikacji narodowo-wyznaniowych. Tym bardziej, że wszyscy czterej moi ławnicy są ludźmi uczciwymi, na których polegać całkowicie mogę. Jeżeli zaś chodzi o kwalifikacje czysto osobiste do sądownictwa, to najwyżej stawiam Rembę, a więc właśnie Żyda, bo ten, wykształcony na Talmudzie, ma z nich wszystkich najlepszy zmysł prawa i najściślejszą orientację, co nie tylko ja sam dostrzegłem, ale co mi także potwierdzili obaj moi poprzednicy z czasów b. okupacyjnego sądu gminnego w Kolnie, b. sędziowie Mikułowski i Wajcht. Nie mogę wszakże w tym względzie kierować się li tylko moim instynktem własnym. Jak to już kilkakrotnie w dzienniku zaznaczyłem, publiczną funkcję sędziowską wymiaru sprawiedliwości uważam za spełnioną tylko o tyle, o ile ta sprawiedliwość jest uświadomiona w pojęciu tych, do których się stosuje. To z konieczności sprowadza się do uwzględniania zmysłu prawnego i społecznego ludności miejscowej, oczywiście w ramach, które ustawa *ex officio* zakreśla. Otóż z tego stanowiska muszę się liczyć z popularnymi u chłopów przesądami względem Żydów i z tradycyjnie w ich umysły wpojonym pojęciem przede wszystkim o niższości Żyda, a następnie uprzedzeniem także do jego uczciwości elementarnej. Smutny to może objaw, ale tak jest. Drugi wzgląd jest może mniej godny liczenia się, ale pierwszy, choć krzywdzący Żydów, nie może być całkowicie zlekceważony, o ile wymiar sprawiedliwości ma mieć powagę i szacunek u chłopów. Można i należy przesądy te i niesprawiedliwe pojęcia obywatelskie o elementarnej nierówności Żydów stopniowo plenić, ale od razu wbrew nim działać niepodobna. Szczególnie niepodobna, gdybym miał to robić jeden na całe sądownictwo królewsko-polskie. Już wielkim łamaniem pojęć prawno-obywatelskich ciemnego chłopa jest to, że w komplecie sądzącym zasiada jeden ławnik-Żyd. Utrzymuję to i chciałbym utrzymać, o ile mi tylko wyższe instancje, od których nominacje ławników zależą, nie usuną w przyszłości obu albo jednego ławnika Żyda. Niech się chłop z tym oswaja, że Żyd jest równym Polakowi obywatelem kraju i równie dobrze, jak każdy inny, byle był osobiście człowiekiem uczciwym i posiadał odpowiednie kwalifikacje, może pełnić publiczne obowiązki w wymiarze sprawiedliwości. Ale żeby chłop widział się sądzonym przez komplet sądzący, w którym obaj ławnicy są Żydzi, w chałatach i brodaci, typowi jak wszyscy miasteczkowi Żydzi polscy, to jeszcze nie da się w głowie chłopa bez obrazy jego pojęć o sprawiedliwości pomieścić. Dla niego Żyd jest czymś z natury podrzędnym i w swojej dumie czuje się on upokorzonym, że go sądzić będzie – Żyd. Za czasów rosyjskich takiego „horrendum" nie widział, bo tam Żyd był także prawnie upośledzony. Wydaje się chłopu, że to jest aktem zachłanności niemieckiej i z jej wyłącznie rozkazu ma miejsce, bo weszło to w życie za sądów okupacyjnych, a że Żydzi w ogóle, jako władający językiem niemieckim i zręczniejsi, umieją sobie często wyrobić lepszy dostęp do władz niemieckich, niż chłopi i w ogóle Polacy, i że Niemcy w pełnieniu swych czynności okupacyjnych nieraz się na współpracy Żydów opierają, więc dla chłopa Żyd w sądzie jest tej niemieckiej zachłanności podejrzanym produktem, zachłanności, której nienawidzi. Razi chłopa to, że jeden z ławników zasiada Żyd i że on go sądzi. Miętkiewicz mi mówi, że podczas sesji musi się zawsze nasłuchać w koncelarii gawęd chłopów między sobą gorszących się, że co to za czasy nastały, kiedy ich sądzić ma – Żyd! To nie przeszkadza, że na ogół mój sąd zyskuje wśród chłopów popularność i opinię sprawiedliwego.

16 listopada, rok 1917, piątek
Dzień sesji. Ławnicy: Stachelski i Jerozolimski. Spraw było wyznaczonych dziewięć i szło w tej liczbie kilka spraw grubych, kilkakrotnie już odkładanych, jak sprawa Kajmanów o alimenty, sprawa Masłowskiego z Olendrem o zwrot 970 mk. z tytułu wad ukrytych sprzedanego konia, sprawa Dryzguły z Bączkiem o takąż sumę również w sporze o konia, który zdechł. Między te grube sprawy zamieszała się też drobna, również już odraczana, sprawa Judki Adamskiego z Berkiem Szymanowiczem o zwrot wag wartości 3 mk., mała, ale zacięta, w której przeciwnicy, obaj nędzarze żydowscy, dyszą ku sobie zaciekłą, iście semicką nienawiścią i nie żałując kosztów wysilają wszystkie sposoby, by się pognębić. Właściwie tylko te cztery sprawy oraz jeszcze jedna o wynagrodzenie szkód i strat z tytułu niewypełnienia umowy, były rozważane. W czterech pozostałych strony się nie stawiły, toteż bez rozważania merytorycznego zostały usunięte z wokandy. W wielu sprawach pozew sądowy skutkuje nie gorzej od samego sądu i wyroku: strona pozwana, która odmawia spełnienia jakiegoś obowiązku, po otrzymaniu pozwu, czując kruchość swego stanowiska, sama się godzi i spełnia swój obowiązek dobrowolnie. Szczęściem, że znalazły się cztery sprawy do usunięcia z wokandy, bo sesja i bez nich się już bardzo zaciągnęła. Zamknęliśmy ją o godz. 5 ½. Zwłaszcza sprawa Kajmanów, sensacyjna i skandaliczna, zajęła dużo czasu, bo szło badanie coś sześciu czy siedmiu świadków. Została ona odroczona znowu dla zbadania jeszcze dwóch świadków, jak również za zgodą obu stron, ponieważ pełnomocnik pozwanych starych Kajmanów obrońca prywatny Kulkin z Łomży, nie mógł na dzisiejszą rozprawę przybyć. Sprawa Masłowskiego z Olendrem także została jeszcze odroczona, ponieważ sąd zażądał ekspertyzy weterynarskiej i postanowił skierować ją w tym celu do sądu pokoju w Łomży dla dokonania tej czynności. Wyroki zapadły tylko w dwóch sprawach, Adamskiego i Dryzguły, w obu wypadkach odmowne. Pracowita dziś była sesja, ale interesująca i na ogół wyniosłem z niej poczucie, że dobrze pracę spełniłem. Goldberg miał w niej także niezłe żniwo. W ogóle przeceniłem, zdaje się, wartość krzywdy, rzekomo mu wyrządzonej przez to, że przyjmuję ustne skargi powodowe, o czym pozawczoraj w dzienniku pisałem.
Wieczorem zaproszony byłem na imieniny do aptekarza Goszewskiego. Zebrała się cała elita kolneńska, a więc pp. Litwińscy, ja, Stachelski, Borawski, taksator Wiśniewski, sekretarz magistratu Antonowicz, Goldberg, dwie panny Śnieżkówny, rodzina Śniegockich z Kozła i wreszcie zastępca burmistrza z ramienia władz okupacyjnych – „Wasser-Polak" ze Śląska – Lubosz. Była uczta wspaniała, na której figurowała na zimno polędwica wieprzowa, cielęcina marynowana, ryba faszerowana i gotowana, do przyprawy grzybki marynowane i biały chrzan, a następnie na gorąco pieczeń wołowa z garniturem i pyszne pieczyste z gęsi z kompotem jabłecznym, wreszcie góry chrustu i naturalna kawa. Wszystko obficie skropione wódką i do kawy fabrykowana benedyktynka. Towarzystwo bawiło się hucznie kosztem Lubosza, którego humor, mimika i rubaszne nieco, ale nie pozbawione satyry i jędrne dowcipy były doskonałe. Po uczcie sprowadzono gramofon i tańczono, przy czym bawiono się znów kosztem podchmielonego Borawskiego. Zabawa przeciągnęła się do godz. 2 w nocy. Osobiście nie bawiłem się zbyt doskonale. Humor i werwa nie bardzo mi coś dopisują na takich zebraniach.
Miałem dziś znowu list od Maryńki. Razu pewnego napisała mi ona, że aby otrzymać pozwolenie na przyjazd do mnie, musi pokazać w biurze paszportowym w Wilnie mój list, w którym piszę, że jestem chory na serce i że mogę umrzeć. Domyśliłem się, że to jest zamaskowane wezwanie do napisania takiego listu, toteż zrobiłem to i wysłałem z Łomży. Tymczasem Maryńka, zdaje się, że wzięła to na serio i teraz ciągle się gorąco

niepokoi o mnie i mnie uspokaja i pociesza, abym się nie martwił zanadto i ufał, że może jeszcze tak źle ze mną nie jest.

17 listopada, rok 1917, sobota
W Rosji ciągle jeszcze kotłuje. Trudno na podstawie sprzecznych depesz wyrobić sobie opinię, kto zwyciężył i kto w Rosji panuje: bolszewicy czy Kierenskij? Zdaje się, że Kierenskij połączył się przeciwko bolszewikom z Korniłowem i generałem kozackim Kaledinem. Podług jednych wersji, Korniłow zajął Moskwę, podług innych – Petersburg. Jeszcze inne wersje głoszą, że Kierenskij ze swymi wojskami wciąż jeszcze stoi w Gatczynie, Petersburg zaś jest albo jeszcze we władzy bolszewików, albo też jest widownią niezakończonych walk między nimi a kontrrewolucją kadetów, względnie umiarkowanych odłamów socjalizmu. Nie brak wszakże i takich wieści, że pod Carskim Siołem czerwone wojska bolszewickiej rewolucji zadały krwawą porażkę wojskom Kierenskiego i że główna kwatera wojsk frontowych jest w ręku bolszewików i w kontakcie z Petersburgiem. Trudno dociec prawdy. Wszakże gdyby nawet zwyciężył Kierenskij, nie przypuszczam, żeby ruch bolszewicki został przez to zlikwidowany i żeby rychło nie miał znów podjąć powstania, uwieńczonego ostatecznie zwycięstwem. Jednocześnie dochodzą różne dziwaczne wieści w rodzaju takiej, że Syberia ogłosiła swoją niepodległość, obwołując swoim carem – Mikołaja II. Tyle zarówno w r. 1905, jak w obecnej rewolucji roku 1917 proklamowało się w Rosji efemerycznych „Rzeczpospolit”, że i to niepodległe Carstwo Sybirskie z Mikołajem II na tronie jest zapewne takimże „bluffem”, jak tyle innych.
Od miesiąca już czytuję stale pisma wileńskie – polski „Dziennik Wileński” i litewski „Lietuvos Aidas”. Pierwszy, choć technicznie jest wcale dobrze redagowany, jest mniej dla mnie ciekawy. Porusza bardzo mało tematów krajowych i nie odzwierciedla stosunków i zaostrzonych sporów, jakie się toczą między Polakami a Litwinami w kraju na gruncie przyszłej formy państwowej Litwy. Ponieważ Polacy litewscy są w ostrej opozycji do kierunku państwowego Litwy, który jest przez Litwinów forsowany i popierany obecnie przez Niemców, a którego wyrazem jest Litewska Rada Krajowa, więc cenzura niemiecka nie pozwala ich organowi zabierać głosu w dyskusji. Stąd zupełne niemal milczenie „Dziennika Wileńskiego” co do spraw Litwy. Tylko uboga kronika miejska, nekrologi i ogłoszenia nadają „Dziennikowi Wileńskiemu” koloryt organu lokalnego. Poza tym, pismo jest wyłącznie informacyjne, obficie w tym dziale w materiał zaopatrzone, ale mogłoby równie dobrze wychodzić w Wilnie, jak w każdym dowolnym kraju i mieście. Dla charakterystyki jego tendencji co do Litwy wymownym jest tylko jego milczenie w tych sprawach, cechujące jego opozycję zasadniczą do kombinacji, faworyzowanych przez władców cenzury – Niemców, i nie mniej wymowną obfitość informacji o Polsce, wobec której pismo zajmuje stanowisko jaskrawie aktywistyczne, zbliżone do grup centrowych w Królestwie. Inaczej rzecz się ma z „Lietuvos Aidas”. Ten organ znowu, jako wyraz narodowej koncentracji Litwinów, bardzo żywo zajmuje się sprawami Litwy i jest pod tym względem bardzo interesujący. Z niego poznać można całą ewolucję myśli i polityki litewskiej ze wszystkimi zagadnieniami, które wobec niej powstają, i wszystkimi tezami, które ona na ich rozwiązanie buduje. Do sprawozdania z tego pisma jeszcze wrócę.

18 listopada, rok 1917, niedziela
Po dwóch dniach słonecznych brzydki dżdżysty dzień. Ponuro, zimno i nudno, bo to jeszcze niedziela. Przebiegam myślą wstecz przez szereg ostatnich ubiegłych lat i przypominam sobie, gdzie o tej porze byłem i co charakteryzowało moje w każdym z tych lat życie. A więc: rok temu, jako szeregowiec Legionów – w Baranowiczach; okres

oczekiwania powrotu do Legionów do Królestwa, radosne chwile po 5 listopada, duże nadzieje, świadomość spełnienia dzieła Legionów. Dwa lata temu – smutne osamotnienie w szpitalu wojennym w Rzeszowie, życie prawie więzienne, monotonne z dnia na dzień, jak krople wody. Trzy lata temu – złamanie życia osobistego, pierwsze tygodnie po śmierci Aninki; głębokie poczucie skończonego życia; czy już w tym czasie świtać mi zaczyna w grobu Aninki pierwsza mgławicowa myśl wyjazdu do dalekich Legionów – nie pamiętam. Cztery lata temu – spokojne głębokie szczęście, świadoma pełnia życia w miłości z Aninką, cudowne wieczory lektury z nią wspólnej i nauki, doskonałego obcowania małżeńskiego w związku ducha i ciała; cichy głęboki nasz pokoik przy ulicy Monastyrskiej, kochane wielkie szczęście; Aninka wróciła już z Krasienina, mówi po polsku. Pięć lat temu – to samo szczęście, ta sama miłość i doskonały związek, tylko pokoik nie tak sympatyczny, choć większy, przy tejże ulicy Monastyrskiej, ale w innym domu, w mieszkaniu niejakiego p. Tura; Aninka pracuje jeszcze w pracowni Sapkowskiej, zapada trochę na zdrowiu; około tego czasu – epizod z pięknym wyżełkiem Aninki, faworytem naszym Ugrysiem, który zachoruje i, wzięty przez Aninkę w naszej wycieczce do Mińska, ginie tam, oddany przez nas ze smutkiem hyclom na śmierć, bo jest nieuleczalny. Sześć lat temu – cudowna, pomimo jesieni, wiosna naszego związku z Aninką, pełna burz gwałtownych i siły temperamentu; uświadamianie się miłości, jej wszczepianie w ciało i krew naszą, w rdzeń naszego ducha; pyszne noce zbytku i wyczerpania, rozkoszy i uświadomienia, siły uczuć takiej, która, zda się, istotę całą z orbity życia wytrąci i gdzieś ją w szale i uniesieniu jak kometę uniesie w chaos błądzeń po wszechświecie, bez dróg regularnych, bez prawideł i norm porządku świata; tęsknota, wątpienie, nadzieja, świadomość i znów niepokój obaw różnych, a wreszcie chwile posiadania, objawienia, ekstazy, przenikania miłości w tajniki jasnowidzenia wzajemnego; wpierw mieszkanko Aninki w izdebce na Antokolu nad samą Wilią, potem het przy Monastyrskiej pokoik w domu pani, której nazwiska już nie pamiętam, u której tylko córeczka, miła Lila, pozostała mi w pamięci; restauracja Myśliwska, nasza „Jagd-Restaurant", gabinety po innych restauracjach, hotelik „Versailles" i Hotel Polski i tyle innych zakątków naszych nieraz dziwacznych pomysłów zabawy, w których ziszczaliśmy naszą tęsknotę ku sobie. Dalej wstecz – siedem lat temu – bezbarwna jesień bez określonego wyrazu życia; po zerwaniu małżeństwa z Reginą zamieszkałem w Wilnie z Maryńką i jej dziećmi; mieszkanie przy ul. Portowej; żadnego ruchu w moich ideowych kołach demokratycznych; martwy zastój; ciąży na mnie zmora różnych oszczerstw i zarzutów z powodu smutnych i skandalicznie rozwałkowanych wypadków rozstania z Reginą; dużo myślę o małej córeczce, która się w tym roku urodziła i której nie znam. Osiem lat temu – ciężkie miesiące krótkiego pożycia z Reginą; w domu męka, tragiczne szarpanie wzajemne nerwów z Reginą; rozpaczliwe wysiłki panny Elizy Courtôt do nawiązania rwących się nici tego nieszczęsnego małżeństwa. Dziewięć lat temu – w Bohdaniszkach – długie wieczory lektury głośnej w oficynie u Maryńki i subtelne nici narodzin dziewiczej miłości panny Anny Konupek do mnie; wdzięk delikatny tego stosunku, pod którego czarem głębokim byłem, tworząc na poły sztucznie i na poły szczerze-odruchowo tę grę w uczuciach młodej 19-letniej nauczycielki. Dziesięć lat temu – na emigracji w Krakowie kończyłem niecierpliwie korektę mojej książki „Litwy", gotując się do powrotu do kraju; życie – pustelnicze. Jedenaście lat temu – w tymże Krakowie w kilku miesięcy po ucieczce za granicą Rosji na skutek wytoczonego mi procesu prasowego o nawoływanie do rewolucji w „Gazecie Wileńskiej"; dosyć nudna jesień we dwoje z Elwirą czy może jeszcze bez niej w ponurym pokoju Teisseure'a przy ul. Batorego. Dwanaście lat temu – w samej pełni rewolucji rosyjskiej roku 1905 przyjechałem koło tej pory do Wilna i krzątałem się gorąco nad zorganizowaniem „Gazety Wileńskiej".

13, 14 i 15 lat temu – w Paryżu; czasy studenckie w „Ecole des Sciences Politiques". 16 lat temu – koło tej pory katastrofa w Ikaźni. A już dalej, 17 i więcej lat temu aż do 25 lat wstecz – czasy szkolne w Petersburgu w Cesarskiej Szkole Prawa („Prawowiedów"); w tej liczbie akurat 20 lat temu koło tej pory – śmierć samobójcza mego serdecznego przyjaciela Piotra Szymkowicza, po którym mam dotąd pamiątkowy zegarek. Wreszcie jeszcze dalej wstecz – 26 lat temu – w Wilnie, jako uczeń II klasy Gimnazjum; mieszkałem wtedy u pp. Husaczów. 27 lat temu – w I klasie gimnazjalnej w Wilnie – mieszkałem u Mamy ze starszymi siostrami, wówczas pannami na wydaniu w dawnym domu naszym za Ostrą Bramą; Elizka była już z Zysiem Komorowskim zaręczona. 28 lat temu – lata dziecięce w Bohdaniszkach w domu, w gnieździe. I dalej wstecz aż do daty urodzenia – to samo.

19 listopada, rok 1917, poniedziałek
Rewizytował mię dziś wreszcie naczelnik powiatu. Miałem już do niego żal za to, że mię nie rewizytuje przez tyle czasu. Osobiście jest mi to zupełnie obojętne, bo nie tęsknię bynajmniej do tych stosunków urzędowych, ale z tytułu pierwszego urzędnika polskiego w Kolnie musiałem tej formalnej grzeczności żądać. Dopóki mię naczelnik powiatu nie rewizytował, musiałem się z konieczności zachować z rezerwą do wszystkich urzędników Niemców w Kolnie i również wszelkie interesy do naczelnika powiatu załatwiać wyłącznie drogą pisemną. Po nominacji w Warszawie otrzymaliśmy instrukcję od Departamentu Sprawiedliwości, żeby w powiatach zachować się względem przedstawicieli władz niemieckich grzecznie, ale z godnością i na stopie równej, by się nie dać postponować ani też pozwolić na jakieś górowanie Niemców nad sobą. Otóż pierwszym warunkiem takiej równości była równość towarzyska i nierewizytowanie przez naczelnika powiatu było uchybieniem tej równości. Dałem to już parokrotnie pośrednio do zrozumienia naczelnikowi powiatu, zarówno przez Lubosza, z którym rozmawiałem o tym, jak przez Goldberga, który mię z polecenia nadleśnego Niemca indagował, dlaczego nie bywam u niego i przez którego wskazałem temuż nadleśnemu, że dla określenia mego stosunku do urzędników niemieckich czekam w pierwszym rzędzie rewizyty naczelnika powiatu. Przyszedł on dziś do mnie z wizytą do sądu. Był uprzejmy, jak zwykle, spędził kwadrans na rozmowie, chciał mię na dziś wieczór zaprosić na kolację do kasyna, a gdym się wymówił, zastrzegł zaproszenie na inny raz. Mówił, że wybiera się wkrótce do Wilna i ofiarowywał się przewieźć list do Maryni.
Wspomniałem pozawczoraj w dzienniku o pismach wileńskich, które odbieram. Brak mi do kompletu białoruskiego „Homana", do którego redakcji pisałem już z prośbą o przysyłanie pisma, ale które jeszcze nie przychodzi. A bardzo bym teraz pragnął mieć „Homana", bo interesuje mię też stanowisko Białorusinów wobec kształtującego się zagadnienia państwowego Litwy. Białorusini są także zresztą w fazie układania pewnych postulatów narodowych i, jak wiem pośrednio ze wzmianek w „Lietuvos Aidas", gotują się obecnie do takiejże konferencji narodowej w Wilnie, jaką odbyli we wrześniu Litwini. Między Białorusinami a Litwinami, którzy się dawniej wspierali, jest obecnie dość poważny zatarg. Właściwie zatarg ten w zarodku istniał zawsze i dotyczył w szczególności Wilna oraz kwestii jedności historycznego terytorium W. Xięstwa Litewskiego, jak chcieli Białorusini, czy też rozdzielności Litwy i Białej Rusi, jak chcieli Litwini. W pierwszym okresie wojny zdawało się, że ten rozdźwięk ustał, bo Litwini stanęli na stanowisku niepodzielności W. Xięstwa, broniąc się tym przeciwko ewentualnym zakusom aneksji Litwy na rzecz Niemiec. Gdy jednak wobec Litwinów stanęła w perspektywie kwestia państwowej organizacji ich kraju i gdy Niemcy zaczęli w tym kierunku współdziałać, Litwini rychło wrócili do swojej popularnej koncepcji

„Litwy etnograficznej”, do której wcielają szereg powiatów gub. wileńskiej, w istocie o wiele więcej białoruskich, niż litewskich, jak cały oszmiański, lidzki, święciański, wileński, nie mówiąc o samym Wilnie. Litwini uważają to wszystko za swoje dziedzictwo, za kraj odwiecznie litewski, powołując się na przeszłość historyczną, na nazwy miejscowości, na kulturę i charakter ludu oraz na istniejące jeszcze tam gdzieniegdzie w postaci wysp językowych pozostałości litewskie. Białorusini oczywiście protestują przeciwko temu, uważając takie przywłaszczanie białoruskich skrawków za akt zaboru i zgoła niedemokratycznego kawałkowania ich terytorium narodowego. Ale Litwini ani słyszeć nie chcą, by im ktoś kwestionował prawo do tej ziemi jako litewskiego spadku narodowego. Gotowi są tolerować tutaj Białorusinów jako jakąś mniejszość narodową w kraju litewskim, ale nie więcej. Granice swojej Litwy określili ściśle i twardo się ich trzymają, nie pozwalając sobie mówić o tym, że w to wchodzi także Białoruś. Żądają uważania całej ludności wewnątrz tych granic za politycznie i narodowo litewską. Za Litwinów uważają i Polaków tutejszych, i rdzeń tych, co mówią po białorusku. A jeżeli dopuszczają nawet istnienie ludności białoruskiej, jako „mniejszości” w mieszanych skrawkach na wschodnich kresach tej swojej Litwy, to w sporze z Białorusinami posługują się takim zgoła niedemokratycznym argumentem, jak ten, że lud białoruski chłopski jest narodowo nieuświadomiony i że mu jest zupełnie obojętne, do kogo ma w przyszłości należeć. Białorusini przeciwstawiają temu prawo narodowe do odrębnego i samodzielnego bytu.

20 listopada, rok 1917, wtorek
Otrzymałem list od legionisty Henryka Mioduszewskiego, jednego z moich pupilów z b. VI kapralstwa I kompanii kadry I pułku w Zegrzu. Przed miesiącem napisałem do niego z Kolna na próbę, adresując do kursu wyszkolenia Wojska Polskiego w Ostrowiu. Chciałem spróbować tą drogą nawiązać stosunek z moimi żołnierzami z b. VI kapralstwa i dowiedzieć, co się z nimi stało. Domyślałem się, że Mioduszewski należy do tych, którzy przetrwali letnią zawieruchę przysięgi i utrzymali się w szeregach, bo wiedziałem, że to chłopiec praktyczny, który wstąpił do Legionów (raczej już do wojska polskiego) nie tyle z idei i rewolucyjnego ducha ofiary, ile ze względów materialnych, bo jako krawiec był bez roboty i nie miał się gdzie podziać w cywilu. Chociaż więc Mioduszewski miał zawsze frazes patriotyczny na ustach i lubił manifestować głośno swój idealizm, czułem w nim doskonale zimnego i praktycznego człowieka. Toteż byłem pewny, że się nie da porwać fali opozycyjnej w sprawie przysięgi i będąc w środowisku, w którym bynajmniej nie było tej jednomyślności w sprawie przysięgi, co u nas w pułku, przysięże i pozostanie na miejscu, znajdując taką furtkę, która usprawiedliwi przysięgą bodaj nieświadomością sytuacji. Zresztą muszę przyznać, że tacy są w armii w duchu militaryzmu stosowniejsi od zrewoltowanych obywateli, jakimi byli nasi żołnierze-piłsudczycy. I nie omyliłem się co do Mioduszewskiego. Przysiągł i pozostał, a wobec mnie, który nie przysięgał, ma do wytłumaczenia siebie, chcąc w oczach moich uchodzić nadal za ideowca, to, że właściwie sam nie był w stanie się zorientować dotąd nie wie, czy zrobił źle czy dobrze. Nie wiedziałem tylko, gdzie go szukać. Adresowałem doń do Ostrowia, a list mój zastał go w Zegrzu, gdzie jest on w warsztatach krawieckich wojska polskiego. Przysyła mi garstkę wieści o mojej grupce żołnierzy z b. VI kapralstwa. On i Chojenta są w Zegrzu. Drygasiewicz i Szywiak są ordynansami oficerskimi. Skuza – zdezertował. Jeden tylko Wutka odmówił konsekwentnie przysięgi i jest w cywilu. Rozpierzchła się więc ta gromadka, którą w Zegrzu w kupie pod sobą miałem, ucząc ich tak gorliwie abecadła sztuki wojskowej i tyle kładąc zapału i serca na wyrobienie z nich nie tylko manekinów musztry, ale także żołnierzy-obywateli, świadomych godności stanu i obowiązku. Nie

tylko się rozpierzchli, ale na ogół dość nędzne nadali ujście swej karierze wojskowej: warsztaty krawieckie, ordynansi, dezerter... Nieświetnie skończyli moi pupile. Z nich najwięcej cenię Szywiaka. Ten, chłop z krwi i kości, poczciwy, prosty i dzielny, może być ordynansem, a jestem pewien, że gdy zajdzie potrzeba, potrafi być równie dobrym żołnierzem liniowym. Ale pieszczoszek Drygasiewicz, niby to o aspiracjach artystycznych, skłonny do górnolotnych porywów, pojętny i zręczny w ćwiczeniu, dumny – ordynansem! A przecież ci chłopcy pozostali mi w pamięci drodzy. Z takim oddaniem pracowałem nad nimi, tyle włożyłem metody i ducha mojego w tę pracę, którą jako twórczość traktowałem, a która została tak boleśnie dla mnie nagle urwana, że przez samą jej pamięć żywię serdeczne przywiązanie do każdego z tej garstki żołnierzyków. Praca instruktorsko-kierownicza w kadrze należy do najmilszych i najbardziej twórczych w wojsku. W Zegrzu przywiązałem się do niej prawdziwie. Ile bo też włożyłem w nią drobiazgowych starań, z jaką ciągłością ją prowadziłem, jak uzupełniałem ćwiczenia przez repetycje szczegółów na sali, przez doprowadzenie do tego, aby każdy żołnierz nie tylko umiał coś wykonać jak papuga, ale i rozumiał zasadę i sens wykonania, tak żeby sam musiał i komendę wydać, i dopilnować wykonania innych, i wytłumaczyć każdą rzecz! Wychodziłem bowiem z założenia, przyjętego w wojsku niemieckim w przeciwstawieniu do metody austriackiej, że każdy żołnierz tylko o tyle naprawdę będzie dobrym żołnierzem i potrafi wszystko, co do niego należy, wykonać, gdy sam będzie każdą rzecz dokładnie rozumiał. Na tym to zasadza się znakomity niemiecki system kształcenia każdego pojedynczego żołnierza, tak ważny w dzisiejszych metodach wojny tyralierskiej, gdzie inicjatywa żołnierza w szyku luźnym o wiele gra większą rolę od jego klasycznej formalnej dyscypliny w szyku zwartym. Pogadanki też obywatelskie z moimi żołnierzami b. VI kapralstwa, moje usiłowania wpływu moralnego, ciągła opieka nad nimi i kierunek w ciągłym pożyciu – wszystko to wiązało mię z nimi. Metoda moja polegała na systemie ścisłej odpowiedzialności każdego za swoje czyny, koleżeństwa, obowiązkowości i karności wewnętrznej. Praca ta była rzetelną twórczością, w której materiałem pierwotnym był najszlachetniejszy z materiałów – dusza i charakter żywego człowieka. Żaden marmur i kruszec nie jest tak rzeźbie podatny, jak młody charakter ludzki.

21 listopada, rok 1917, środa

Dzisiaj trafił się jakiś dzień martwy w sądzie. Nikt się nie zgłosił i nie wniósł sprawy, co jest wielką rzadkością. Za to wniósł aż pięć spraw naraz Goldberg, w tej liczbie dwie skargi karne i trzy powództwa cywilne, tak że dzień w tej postaci dał swoją daninę sądowi.

Gazet dziś nie było wcale, bo poczta była zamknięta z okazji jakiegoś święta niemieckiego. Tu w Kolnie gazeta – to jedna z największych rozrywek. Tęskni się do niej i gdy nie przyjdzie, to się odczuwa wielki brak. Obecnie największą sensacją w gazecie są wypadki w Rosji. Wobec nich dość obojętne się zdają wypadki wojenne we Włoszech, gdzie ofensywa niemiecko-austriacka jeszcze zakończona nie została. Pomimo pierwszorzędnego znaczenia tej porażki włoskiej, która może być wstępem i zapowiedzią przyszłych ewentualnych takichże ciosów nawet we Francji – wypadki w Rosji górują nad wszystkim i przykuwają do siebie nerwowo uwagę powszechną. W wojnie domowej, która się toczy w Rosji, sytuacja jest jeszcze daleka od przejrzystości. Podług ostatnich wieści – Kierenskij zdaje się być poważnie pobitym przez bolszewików pod Gatczyną. Niejasnym jest jeszcze, gdzie jest i co robi Korniłow i Kaledin, dwaj wodzowie kontrrewolucji, których cele zresztą muszą się znacznie różnić od celów Kierenskiego, i brak zupełnie wieści o Milukowie i innych politycznych przywódcach kadetów. Wydaje się nieprawdopodobnym, żeby burżuazja rosyjska

zrezygnowała i nie szykowała się do walki o władzę przeciwko rewolucji bolszewickiej. Ale nie w tym sęk zagadnienia, kto zwycęży: czy Lenin, czy Kierenskij, względnie za plecami Kierenskiego reakcja burżuazyjna czy nawet monarchiczna. Osobiście przekonany jestem o konieczności zwycięstwa bolszewików, jeżeli nawet nie w tej chwili, co zdaje się być najprawdopodobniejszym, to w każdym razie w niedalekiej przyszłości. Bardziej interesującym jest inne zagadnienie: jak podołają bolszewicy zadaniu i czy oraz jakimi metodami spełnią ewentualnie tę rolę kulturalno-społeczną, która zdaje się na rewolucję rosyjską w tej katastrofie światowej wypadać? Nie ulega wątpliwości, że mimo ewentualnego wyzwolenia narodów ujarzmionych, wojna obecna ogromnie spotęgowała reakcję w Europie. Dziełu kultury oraz solidarności międzynarodowej, na której się dźwignął postęp społeczny i humanizm nowożytny, zadała ona cios niesłychanie dotkliwy. Nie tylko w faktach zniszczenia, ale jeszcze bardziej w psychologii wszystkich ludów. Zasiała ona straszliwy posiew nienawiści, gwałtu i samowoli, podniosła kult pięści jako argumentu ponad inne, wzmogła do potęgi nacjonalizm, dyszący chciwością i pogardliwy dla wszystkiego, co tchnie ideałem czystej sprawiedliwości, a sprawę ludów utopiła ostatecznie w dogmacie państw. Chociaż dla małych, dotychczas niepaństwowych narodów – świta w tej wojnie ziszczenie ich niepodległego bytu (co prawda świta tylko wobec perspektywy, że żadna z wielkich walczących potęg nie ziści swej dyktatury zupełnej i nie osiągnie bezwzględnej nad rywalkami przewagi, co da możność małym wyspekulowania swej niezależności), to jednak świtająca dla słabych wolność nie opiera się na żadnych fundamentach moralnych, jeno wyłącznie na spekulacyjnej grze stosunków sił. I wszystkie małe narody, nerwowo podniecone i szukające gorączkowo w tej wojnie spełnienia swych wolnościowych postulatów, przejęły się tą samą, z góry od wielkich i możnych płynącą – psychologią gwałtu, nienawiści i spekulacyjnego rabunku. Pomimo obłudy frazesów, nikomu poważnie nie przychodzi do głowy opierać swoje prawo na prostej sprawiedliwości. W usankcjonowanej przez tę wojnę po stokroć opinii – byłoby to uznane za śmieszność, głupotę naiwną i politowania godną albo wreszcie za doktrynerstwo. Nie tylko tzw. burżuazja, nie tylko pozaklasowa inteligencja, ale nawet socjalizm powszechnie w Europie pod wpływem wojny przyswoił sobie psychologię i etykę nacjonalizmu. I oto rewolucja rosyjska powstaje pod odrodzonym hasłem prostej sprawiedliwości, zarówno społecznej, jak narodowej. Podnosi ona sztandar humanizmu i etyki, wolny od kultu przemocy i spekulacji na grze sił. Pod jej czerwonym sztandarem odżywają czyste ideały i hasła braterstwa i wolności i jędrnie się odzywa ton dawnej ludzkiej pobudki miłości, zapomnianej przez rzeczywistość wojny. Taką treścią ideału i prostej sprawiedliwości wypełniony jest ten „pokój proletariacki”, który głosi krwawiącemu światu rewolucja rosyjska. Jako taka, przeciwstawia się ona dziś całemu światu – zarówno Niemcom, jak koalicji – i zawiera w sobie jądro odrodzenia. Czy zdoła ona się utrzymać na tym poziomie i uniknąć sama pogrążenia się w bagno powszechne lub zagubienia swego idealizmu w bezpośredniej elementarnej chciwości chłopa rosyjskiego, który swą namiętnością ziemi wszystko podeptać i zmaltretować gotów? Oto wielkie zagadnienie. Czy świt, który błyszczy w rewolucji rosyjskiej, strzeli wielkim płomieniem odrodzenia, czy też rozwidni się dniem elementarnej namiętności chłopskiej i wraz z nią zgaśnie jałowo?

22 listopada, rok 1917, czwartek
W sądzie cicho. Ruch znowu niewielki. Na dworze brzydka głęboka jesień. Klasyczna jesienna pora – drobny deszczyk, błoto, wiatry przejmujące, pochmurno, dnie ciemne, zamglone szarzyzną i wilgocią, powietrze chłodne zgniłe. Jesień dotychczas nie jest zimna, mrozów nie ma wcale, przymrozki poranne bardzo rzadkie – ale brzydka.

Najwstrętniejsza pora roku: schyłek późnej jesieni. Tęskno już do białej suchej i mroźnej zimy. W taki czas kto może – siedzi w domu. Nikomu nie pilno do sądu, choćby miał sprawy zaległe, szczególnie gdy musi odbyć drogę z wioski do miasta, a tym bardziej gdzieś aż het z puszczy przywędrować. Toteż pomimo najodpowiedniejszej pory roku do likwidacji spraw sądowych, kiedy czasu jest najwięcej i żadnych gorących robót w polu i gospodarstwie, sąd świeci pustkami. Rzadko zabłąka się jakiś interesant. Zamiera wszystko; natura dyszy ostatnim tchnieniem jesiennego konania; zamiera nawet niewyczerpana energia ludzka. Zamiera tu, po głuchych zakamarkach ziemi, w stroskanych skurczonych wśród szalejącej zawieruchy świata ludziach, ale bucha tam gdzieś i ryczy na frontach ogniem dział i krwią mordujących się narodów, kipi w rewolucji rosyjskiej.
W mieszkanku moim zimno, mimo że co dzień się pali w piecu, nie tylko drzewem, ale i gorącym torfem. Tak zimno, że z niechęcią myślę o nim i uciekam, jak tylko mogę, do cieplejszego, obszernego i wygodnego lokalu sądu. Rad bym tu całe dnie przesiadywać w sądzie i tu nawet prywatne zajęcia spełniać. Noce nieskończenie długie, w których mi zimno w łóżku pod jednym moim wojskowym kocem, uzupełnionym przez przykrycie dodatkowo nóg paltotem.
W gruncie nieźle mi w Kolnie. Spokój ten i cisza, do których tęskniłem, dają mi dużą satysfakcję, pomimo różnych innych braków. Praca, której jest trochę za mało, podoba mi się. Chwilami jednak zaczynam tęsknić do większego środowiska, do żywszego ogniska pracy. Wolałbym może jakiś Piotrków, jakiś Lublin. Ale nie Łomżę, do której mię namawiają sądownicy łomżyńscy, w pierwszym rzędzie Urbanowicz, a także sam prezes Filochowski. Bo Łomża – to taki sam prawie partykularz, jak Kolno, a ma tę od Kolna gorszą stronę, że wymaga zakopania się w światku sądowniczym. Nigdy urzędnikiem nie byłem, nie jestem nim z natury i nie mam doń aspiracji na przyszłość. Nie znoszę prowincjonalnego światka urzędniczego, pełnego koteryjności, intryg i najczęściej – obłudy koleżeńskiej. W Kolnie jestem przynajmniej sam sobie panem. Jestem osobiście niezależny, a w sądzie moim jestem panem całą gębą.

23 listopada, rok 1917, piątek
Dzień sesji sądowej. Spraw wyznaczonych było siedem – jest to norma, która się przeciętnie ustaliła w moim sądzie. Ławnicy: Stachelski (w zastępstwie Kocika, który się wymówił chorobą żony) i Jerozolimski. W liczbie spraw były dwie karne (o pobicie i o kradzież wieprza) i pięć – cywilnych. Z dwóch karnych jedna zakończona pojednaniem, w drugiej – oskarżeni uniewinnieni. Ze spraw cywilnych: dwa wyroki zwykłe, jeden wyrok zaoczny, jedna umorzona za zrzeczeniem się powództwa i jedna odroczona na skutek zażądania przez pozwanego urzędowego tłumaczenia rewersu z rosyjskiego. W ogóle sesja była niezła: sprawy nie nazbyt ważne i skomplikowane, ale nie nudne. Treść i przedmioty spraw – urozmaicone. Biegłość zarówno w orientowaniu się w kodeksie, jak w procedurze zdobywam coraz większą. Lubię tę pracę, w której coraz swobodniej operuję prawem. Czuję, jak zaczynam nad nim panować i jak staje się ono w moim ręku coraz bardziej posłusznym narzędziem mej myśli i woli. Daje to satysfakcję. Jest w tym coś podobnego do posiadania kobiety lub wierzchowca, chociaż oczywiście doskonałość i rozkosz tego posiadania jest mniejsza (mam na myśli posiadanie kobiety istotne, to znaczy tylko w warunkach miłości). Im lepiej poznaję i orientuję się w Kodeksie Napoleona, tym piękniejszym go widzę w jego logicznej ścisłej budowie.
Na wieczór zaprosił mię do kasyna niemieckiego naczelnik powiatu, p. von Cozuberg. Zaproszenie przysłał z Łomży przez telefon. Na godz. 7 stawiłem się w kasynie. Mieści się ono w dziedzińcu w gmachu urzędu powiatowego na piętrze. Jest to pokój,

urządzony podobnie do gabinetów restauracyjnych: w podłużnym pokoju bliżej wejścia stół z dużą otomaną i fotelami, miejsce przeznaczone do sjesty poobiedniej przy cygarze, w głębi zaś pokoju stół jadalny z krzesłami twardymi; obok pieca – pianino. Sam pokój ładny, tchnący w budowie swojej archaizmem: niski sufit, trzy niewielkie kwadratowe okienka jak w starej solidnej kamieniczce mieszczańskiej; za czasów rosyjskich mieściło się tu archiwum. Obecnie na ścianach portrety Wilhelma, Hindenburga, Bismarcka; oprócz tego – kilka obrazków. Osób obecnych na kolacji było wraz ze mną osiem. Oprócz naczelnika powiatu był nadleśny z Kolna, doktor, szef kancelarii powiatowej niejaki Sulerzycki (Polak rodem, ale niechętnie się do tego przyznający, figura marnej opinii), młody podporucznik dragonów, przybyły tu z etapów spod Brześcia po transport kartofli na zaprowiantowanie armii i dwóch gości – jeden z Warszawy i jeden z Łomży. Sami Niemcy, ja jeden wśród nich obcy. Brak dobrej znajomości języka niemieckiego krępował mię trochę, bo choć rozmówić się mogę, ale biegle językiem tym nie władam, a nieraz nie mogę nawet uchwycić ścisłego wątku mowy, gdy Niemcy szybko między sobą szwargotać zaczną. Ten gość z Łomży, wyższy inspektor leśny, Sas, jak p. von Cozuberg, jest, jak się okazało, nie tylko znajomy, ale nawet spokrewniony z saską rdzenną gałęzią naszej rodziny von Römerów, gałęzią pnia macierzystego, od którego nasza litewska gałąź odseparowała się przed laty 200 -400, by *via* Inflanty i Kurlandia osiąść na Litwie. Kolacja składała się z zająca z dodatkami (kapusta czerwona, kartofle i knedle), musu jabłecznego, owoców i orzechów oraz wina reńskiego w dużej obfitości. Chleba do kolacji nie było wcale: widocznie Niemcy stosują się ściśle, przynajmniej w ucztach towarzyskich, do ograniczeń spożycia chleba. Jest to rys lojalizmu i obowiązkowości, który mi się podoba, mimo że kolacja na tym traci. Po właściwej kolacji towarzystwo przeszło z winem do kącika miękkich mebli i przy kieliszku oraz dobrym cygarze gwarzyło do godz. 11. Mimo że w rozmowie brałem udział nieznaczny, czas spędziłem dobrze. Niemcy byli dla mnie bardzo kurtuazyjnie grzeczni. Czułem się w środowisku wysokiej kultury i inteligencji, godnym imienia Eeropejskiego, co przecież coś znaczy na partykularzu polsko-kolneńskim. Zwłaszcza doktor i ten gość z Warszawy – to ludzie wysokiej kultury i inteligencji. Sam naczelnik powiatu jest typem wulgarniejszym. Jest bądź co bądź w Niemczech ten „cachat" wysokiej kultury europejskiej, tak miły i dzielny, którego nieraz taki brak na wschodzie. Rozmowa o polityce, o wojnie, o sprawach marynarki, o perspektywach światowych zagadnień, toczona głównie przez gościa z Warszawy, doktora oraz młodziutkiego podporucznika, była pełna myśli, utrzymana na poziomie dalekim od przeciętnej banalności.

24 listopada, rok 1917, sobota
Ohydny czas: wiatr, deszcz, błoto. Dzień ciemny, wicher huczy, szarpie okiennice i szyldy, dzwoni po szybach, wyje w kominie. W taką niepogodę zastój jest kompletny. Któż by tam chciał wychylać się dobrowolnie z domu, by iść do sądu i załatwiać jakieś zaległe spory z sąsiadami. Co kto ma w rezerwie do wytaczania skarg i sporów, to odkłada do lepszego czasu.
Wczoraj wpłynęła do sądu pierwsza skarga apelacyjna na mój wyrok. Zgłosili ją Mateusz i Franciszek Czereszewscy w sprawie przeciwko Śliwce, w której zasądziłem od nich 432 mk. na rzecz Śliwki za konia. Apelację wysłałem dziś do sądu okręgowego. Była to pierwsza przyjęta apelacja na mój wyrok i za czasów mojego urzędowania. Przed tygodniem miałem już wprawdzie jedną apelację, ale była zgłoszona po upływie terminu i przeto nie została przyjęta.
Otrzymałem dziś list od Ludwika Abramowicza z Warszawy, w którym jest trochę szczegółów o Wilnianach. Przyjechał i zamieszkał na stałe w Warszawie Władysław

Zawadzki, poprzednio zaś, co już wiedziałem od Maryńki, przyjechała do Warszawy pani Junka Studnicka i, zdaje się, także jej mąż Wacław Studnicki. Ściągają też do Warszawy głodni posad w sądownictwie polskim, przymierający dotąd w Wilnie z nędzy, adwokaci wileńscy: z nich już przyjechał Władysław Dmochowski, a za nim nadjadą niebawem Juliusz Kozłowski, Jaszczołt, Aleksandr Burhardt, Jundziłł młodszy i pono stary p. Tadeusz Wróblewski. To grono adwokatów, z których pierwszy dał początek wychodźstwu adwokackiemu z Wilna Bolesław Urbanowicz, obecny prokurator w Łomży, od dawna już marzyło o dostaniu się do Królestwa w celu zainstalowania się w sądownictwie polskim. Dotychczas jednak Niemcy robili im trudności z pozwoleniem na wyjazd. Exodus ten ma charakter przeważnie zarobkowy, ale także polityczny. Wobec perspektyw państwowo-litewskich, budowanych na gruncie narodowo-litewskim, inteligencja polska w Litwie czuje, że zaczyna tracić grunt pod nogami i jak myszy z tonącego okrętu, tak opuszcza progi rodzinne, by się salwować na stały ląd budującej się państwowości polskiej, gdzie spodziewa się znaleźć miejsce dla siebie i lepsze na przyszłość widoki. Jest to ruch charakterystyczny. Warunki materialne tam w kraju, które się niemal głodowym równają, przyśpieszają decyzje, które skądinąd mają swe uzasadnienie i w politycznych warunkach. Wyjeżdżający opuszczają kraj z nadzieją zapewne powrotu w przyszłości, ale z pewnością nie wszyscy wrócą, a jeżeli kraj pozostanie państwowo litewskim, to wróci z nich zapewne bardzo niewielu. Oczywiście wychodźstwo to ogarnia tylko Polaków. Litwini, których wojna nie ruszyła z ojczyzny, trzymają się dziś kraju całą siłą. Wypadkowo i ja się znalazłem w liczbie tych, co Litwę opuścili i na gruncie polskim w sądownictwie przytułek znaleźli. Ale moje dotarcie do tego portu było inne zgoła i mnie przyświeca nadal gwiazda powrotu do kraju, który we wszelkich warunkach państwowych Ojczyzną moją pozostanie. Dla mnie tu jest gościna, tam – mój dom. Porwał mię urok czynny Legionów, porwała mię bajka cudowna, która mi się śniła w tęsknotach po śmierci Aninki, pośród nocy głębokiej, jaka jeszcze w r. 1915 w maju Litwę, twardo w szponach caratu trzymaną, ogarniała. Dalsza ewolucja przygód moich była określana bardziej wypadkami losowymi, niż wolą i własnym wyborem moim. Z listu Abramowicza i z gazet dowiedziałem się jeszcze o losach dwóch Wilnian, pozostałych w Rosji. Wypadki rewolucji rosyjskiej nadały im niespodziewane stanowisko. Jednym z nich jest Janek Klott, który jest... wicegubernatorem... „wileńskim” – z siedzibą w Dziśnie. Dorwał się na to stanowisko z pewnością za radykalnych rządów Kierenskiego. Czy się utrzyma nadal za rządów bolszewickich, które zmiatają burżuazyjną inteligencję do tego stopnia, że komendantem Moskwy i generał-gubernatorem Finladii zostają zwyczajni żołnierze-szeregowcy, co brzmi dla pojęć państwowych jak bajka! O drugim wiem z gazet. Jest to Mieczysław Kozłowski, brat Juliusza, b. adwokat wileński, znany bezwzględny esdek z S.D.K.P.iL. Był on w Wilnie jeszcze przed moimi czasy, ale go znałem później, gdy zaglądał do Wilna z Petersburga. Rządy bolszewickie wyniosły go podobno na najwyższe odpowiedzialne stanowisko państwowe do spraw Polski, na prezesa Komisji Likwidacyjnej Królestwa Polskiego na miejsce, dotychczasowo przez Aleksandra Lednickiego zajmowane.

25 listopada, rok 1917, niedziela

Wicher w nocy szalał wściekły. Po dachach i dziecińcach latały z łoskotem jakieś blachy, okiennice w sąsiednim domu tłukły się o ścianę, płot trzeszczał i rwał się z gruntu, jakieś jęki biegły wśród huczącego szumu powietrza, świst połączony z wyciem falami przelatywał dokoła domostw. Chwilami deszcz siekł w szyby okien, to znów suchy wiatr szalał. Następnie cały dzień dzisiejszy był wietrzny. Na chwilę z poszarpanych chmur ukazało się nawet listopadowe słońce, ale tylko na krótką chwilę.

Dzień był chmurny i posępny, obficie skraplany deszczem. W piecu paliłem u siebie dwa razy. Niedziela. W kościele kolneńskim był odpust na dzień św. Katarzyny. Ludu, pomimo niepogody, zebrało się dużo. Po południu ogromny rynek kolneński roił się od młodzieży chłopskiej obojga płci, która łączy uroczystość kościelną i zjazd pobożny dla spraw religijnych z zabawą towarzyską. Złożyłem wizyty nadleśnemu i doktorowi niemieckiemu, których zresztą obu nie zastałem w domu i jeno biletami wizytowymi stwierdziłem dokonany akt grzeczności. Poza tym, spędziłem parę godzin w sądzie, gdzie wyznaczyłem sprawy z ubiegłego tygodnia na poszczególne sesje i przestudiowałem parę kolejnych spraw z najbliższej sesji nadchodzącej środy. W niedzielę, kiedy najtrudniej czas zapełnić i kiedy gazety są najpotrzebniejsze, nie przychodzą one, niestety, wcale. Mam tu w moim mieszkaniu jeszcze jedną plagę, o której nie wspominałem dotąd. Plagą tą mój gospodarz, Pikuliński. Jest to chłop jeszcze młody, w wieku niespełna 40 lat, gospodarz średnio zamożny. Jest trochę oczytany i ma pretensje do zaliczania się w poczet uspołecznionych. Jest wszystkiego ciekawy, wszędzie lubi nos wsunąć, o wszystkim wiedzieć i wszystko rozumieć. Człowiek może niezły, ale pomimo dużych pretensji i ciekawości na wszystko – inteligencją nie grzeszy. Bywa on nieznośny, tak że często po prostu wypędza mię z domu. Pod byle jakim pretekstem wsuwa się do mnie, zagada, stanie przy piecu i stoi. Nieraz chcę coś robić, a tu ani rusz go się pozbyć. Nudny jest w rozmowie, bo pretensjonalny co do swojej niby to inteligencji, a w gruncie niezbyt interesujący. W innych okolicznościach zaprosiłbym go do siadania i pogawędził, ale nie mogę tego robić, bo gdybym poprosił usiąść, to już by końca nie było. I tak, choćbym milczał, choćby się wątek rozmowy urywał, będzie stał i stał jak pień. Nie ma tego, żeby to przyszedł, coś powiedział, porozmawiał i poszedł sobie. Gdy przyjdzie, to już choćbyśmy nic nie mówili, stanie i stoi, i tkwi. Czasem mię to tak nerwuje, że aż depresja bierze. Czasem, wiedząc, że się nie doczekam jego wyjścia, chwytam za palto, ubieram się i niby to że muszę gdzieś wychodzić – wychodzę, choć słota na zewnątrz i choć żadnej potrzeby wyjścia nie ma. Wychodzę po prostu, żeby się go pozbyć, bo innego sposobu nie ma. Pokręcę się, pochodzę i wracam. Nieznośne są te jego wizyty. Gdy słyszę go wchodzącego, nucącego dla rezonu pod nosem, czuję – jakby zmora mię jakaś nachodziła. Jeszcze w dnie, kiedy są gazety, mogę go jakoś umitygować. Zanoszę mu gazetę; gazety lubi bardzo, toteż zabiera się do czytania i wtedy już czyta u siebie przez cały wieczór. Ale gdy gazety nie ma, to nie może u siebie znaleźć miejsca, nudzi się i przyłazi do mnie. U siebie w rodzinie, z żoną i kupą dzieciarni – nudzi się, toteż szuka „inteligentnej” rozmowy, której ja padam ofiarą, choć najczęściej żadnej rozmowy nie prowadzę. Zbywam go nieraz półgębkiem, ale go to nic nie wzrusza: stoi jak wmurowany i godzinami tak stać może. O ile pogoda na dworze, to z nudów zabiera się i idzie po nowiny do p. Stachelskiego, który mu tam na Żydów wygaduje albo o wielkiej polityce informuje. Gdy jednak jest słota – do Stachelskiego iść nie może i nie mając gazety – mnie nawiedza.

26 listopada, rok 1917, poniedziałek
Po nocy z huraganowym wichrem, rano – cała ziemia pokryta lekkim całunem śniegu. Mróz, powietrze czyste. Ale oto wyjrzało słoneczko ranne i w wątłych jego promieniach jesiennych cienki śnieżek stopniał. Tylko gdzieniegdzie, w cienistych kątach, pod płotami, za grudkami ziemi utrzymał się przez dzień cały, pstrząc ziemię w białe plamki.
Pogoda ładna. Zdawałoby się – można się spodziewać, że do sądu znów napływać zaczną interesanci. Tymczasem nic, ani znaku życia. Strasznie martwy jest ten nasz sąd. Nie ma tu w Kolnie żadnych interesów, żadnego ruchu handlowego. Wprawdzie

obrabiają się tu jakieś geszefty i to podobno nawet grube, ale są to spekulacje zakazanego handlu, różnego rodzaju przemytnictwo artykułów kontrabandy wojennej, które wobec tego starannie unikają sądu, bo z opieki jego korzystać nie mogą i ujawnienia się boją. Zresztą wszystko, cokolwiek się dziś w sferze stosunków gospodarczych i obrotów handlowych robi, załatwia się za gotówkę, bez kredytu, a przeto jest bardzo uproszczone i obchodzi się prawie zawsze bez sporów i procesów. W sądzie próżnowaliśmy dziś całkowicie. W braku zresztą innego zajęcia lub miejsca do siedzenia, wysiedziało się sumiennie w sądzie godziny dzienne z jedyną przerwą na obiad. Wieczór spędziłem u p. Mystkowskiego przy szachach i kawie.
Z Rosji wieści coraz ciekawsze. Bolszewicy z Leninem i Trockim na czele jednak się u władzy utrzymali. Wieści z Rosji o sytuacji wewnętrznej nie są jeszcze zupełnie jasne, ale jednak klarują się po trochę w kierunku zwycięstwa bolszewików. O Korniłowie nic nie słychać. Co się stało z Kierenskim, gdzie jest, co robi i co zamierza – wieści są sprzeczne. Tylko o generale Kaledinie, który zdaje się trwać dotąd w oporze, wieści są nieco obfitsze, ale także niezupełnie pewne. Jeżeli jeszcze jest w Rosji szkielet wojny domowej, zwróconej przeciwko rewolucji bolszewickiej, to ostoją jego jest Kaledin z garścią Kozaków. Różne są o nim wieści: to że zajął Wiaźmę i gotuje się do pochodu na Moskwę, to że Milukov jest w jego kwaterze, dając mu poparcie polityczne dla kontrrewolucyjnej akcji, to że wykryty został jakiś spisek konszachtów z Kaledinem w Petersburgu, z którym w związku jest aresztowanie Puryszkiewicza. Wyżsi urzędnicy biurokracji petersburskiej w ministeriach usiłują dotąd stawiać opór rządom bolszewickim i odmawiają pracy, bolszewicy jednak zaczynają się do nich brać ostro, by ich sabotaż złamać. Najciekawsze jest jednak to, co bolszewicy w kierunku hasła pokoju przedsiębiorą. Rząd bolszewicki ukonstytuował się w charakterze tymczasowej delegacji przedstawicieli ludu. Władza została prowizorycznie oddana w ręce rad robotniczo-żołnierskich i włościańskich. Władza prawowita i stała streści się dopiero w Konstytuancie, do której wybory już się rozpoczęły i która rychło się ma zebrać. Lenin wydał rozkaz do głównej kwatery wojennej, by się zwróciła do dowództwa sił nieprzyjacielskich na froncie z propozycją natychmiastowego zawieszenia broni. Gdy wódz naczelny Duchonin odmówił spełnienia tego rozkazu, został usunięty i wodzem naczelnym sił zbrojnych Rosji na froncie został mianowany skromny chorąży (!) Krylenko, z przekonań esdek na froncie. Wojska na froncie są oddane bolszewikom, których hasło pokoju i ziemi zjednało masę żołnierską. Trockij, stojący na czele spraw zagranicznych, niejako minister, lecz jako pełnomocnik ludu do spraw zagranicznych (tak siebie tytułuje), skierował notę do ambasadorów państw koalicji z wezwaniem tychże państw do natychmiastowego zawieszenia broni i rozpoczęcia rokowań pokojowych nie tylko już na zasadzie znanego hasła „bez aneksji i odszkodowań”, ale na zasadzie w ogóle całkowitej wolności ludów. Ambasadorowie państw koalicji podobno opuścili Petersburg. Anglia, Francja i inne państwa „Ententy” z oburzeniem i wściekłością traktują Rosję bolszewicką, nie chcąc pod żadnym pretekstem uznać nowej władzy rewolucyjnej, która ich plany krzyżuje. Jakkolwiek bądź – Rosja wyłamała się już z solidarności koalicyjnej i nic już jej nie nawróci do tego związku. Bo gdyby nawet wróciła jeszcze inna władza w Rosji, armia jest już militarnie zdemoralizowana, niezdolna do wojny i zwycięstw w imię sztandaru koalicyjnego. Manifest bolszewików wspaniale kreśli zupełną swobodę ludów: głosi ją nie tylko innym, ale też konsekwentnie i uczciwie, ze szlachetnością i prostotą uznaje prawo do odseparowania się od Rosji i do niepodległości całkowitej wszystkim narodom, ludom i krajom państwa rosyjskiego, które tego zapragną. Jest to bodaj pierwszy w dziejach przykład proklamowania zasady wolnego wystąpienie ze związku państwowego tych, którzy tego pragną. Zastosowanie dyzaneksji nie do wrogów swoich, lecz do siebie.

Ciekaw jestem, co z tego wszystkiego będzie. Boże daj, żeby ślepa masa ludu rosyjskiego nie zabagniła szlachetnego dzieła rewolucji wyłączną namiętnością najprostszych instynktów chciwości, które mogą zatopić całą głąb idei humanitarnej i społecznej, jaka się w tej rewolucji iści. Niezwykle też doniosłym w skutkach, a fatalnym dla sprawy koalicji – może się stać zamiar rządu bolszewickiego ogłoszenia wszystkich tajnych traktatów wojennych.

27 listopada, rok 1917, wtorek
Rano, przy ostrym przymrozku, który pokrył całą ziemię siwym szronem – piękna pogoda. Wschód słoneczny. Wkrótce jednak zerwał się gwałtowny wiatr wschodni. Niebo pokryło się białymi posępnymi chmurami, zwiastującymi rychły śnieg. Wiatr był tak gwałtowny, przenikliwy i mroźny, tak się wciskał wszystkimi szparami do mieszkań, że w lokalu sądu, zwykle ciepłym, trudno było usiedzieć: pomimo napalenia w piecach, zimno było tak, że ręce kostniały, a nogi były lodowate. Wreszcie o zmroku sypnął śnieg, który przy wichrze przeszedł w zawieję. Ale lepsze jest to od zgniłej mglistej wilgoci jesiennej. W białą w pełni księżyca zawieję umyślnie się przeszedłem na rynek po sprawunki. W mroźny czas, po suchym skostniałym gruncie szedłem raźnie, smagany wichrem i śniegiem. Było wesoło i ochoczo. Jest coś ożywczego w suchym ostrym mrozie po szarudze jesiennej. Na wieczór mróz jakby zelżał i śnieg zaczął się lepić do szyb, ścian i płotów, zapowiadając zbliżającą się odwilż.
W sądzie znowu martwa pustka. Nie wniesiono żadnej sprawy. Ten zastój trwa już od tygodnia i z dnia na dzień coraz puściej i martwiej. Czy to jest jakiś czas przejściowy, po którym się znów sypnie więcej spraw? Nuda w sądzie, nie ma co robić.
Rano przywiózł mi Goldberg z Łomży pakę, przysłaną dla mnie z Wilna przez Maryńkę. Maryńka przysłała ją koleją do Łomży na imię prokuratora Urbanowicza, skąd przez okazję sprowadziłem ją do Łomży. Paka zawiera dwa olbrzymie tomy rosyjskiego Zbioru Prawa („Свода Законов") oraz sporo bielizny, kołdrę moją czerwoną i jakiś rodzaj munduru, nie wiadomo skąd przez Maryńkę nabyty lub otrzymany, który mi przysyła do noszenia na codzień. Z bielizny są tylko chustki do nosa, ręczniki i prześcieradła w wielkiej ilości. Koszul, kalsonów i skarpetek, które są najpotrzebniejsze, nie ma, bo się już mój zasób tych rzeczy wyczerpał. Ale wszelka bielizna jest teraz pożądana, a prześcieradła są teraz niezmiernie drogim artykułem, prawdziwym skarbem; szczególnie takie piękne prześcieradła, z cienkiego płótna, jak nasze. Każde takie prześcieradło – to dziś do 50 marek i więcej jest warte. W ostateczności można z prześcieradła i koszulę uszyć. Najwięcej się jednak cieszę z mojej kochanej ciepłej kołdry na wacie. Witam ją jak starą przyjaciółkę. Nie tylko to, że będę miał już ciepło w łóżku, ale i to, ze jest ona dla mnie pamiątką. Mam ogromne przewiązanie do rzeczy, które przywykłem używać. Znam każdą i lubię jak przyjaciela. Każda z nich jest dla mnie jakby żywa, ma swoją indywidualność i swoje dzieje oraz się łączy nierozerwalnie z różnymi elementami własnego mego życia i wspomnień.
Z wypadków w Rosji nic bardzo nowego dzień dzisiejszy nie przyniósł. Wszyscy z wielkim naprężeniem uwagi oczekują ich dalszego rozwoju. Tęsknota do pokoju jest tak wielka i powszechna, że wszyscy jak zbawienia wypatrują gałązki oliwnej z rewolucyjnej Rosji. Powiało wreszcie pewne tchnienie nadziei, pewna perspektywa czegoś, co już się ma ku schyłkowi wojny. Wprawdzie pokój ten świta w perspektywach wielkich, a może jeszcze jaskrawszych komplikacji natury zarówno społecznej, jak międzynarodowej, ale przecież jest już jakiś ton nowy, coś, co łamie nieskończoną monotonność dotychczasowej sytuacji wojennej. Ewentualny pokój z Rosją, jeżeli się nawet da jakoś w stosunku do mocarstw centralnych osiągnąć, nie będzie jeszcze pokojem powszechnym. Anglia, Ameryka, Francja, Włochy są dalekie

od rezygnacji i może tym wścieklej szukać będą odwetu za „zdradę" jednego ze swych sprzymierzonych. Może być, że to rozpali jeszcze zaciętszą walkę, ale w każdym razie będzie to dla koalicji ciosem i w każdym razie wpłynie to na jakieś inne i nowe ukształtowanie kombinacji politycznych. Dla naszych zaś ziem będzie to wytchnieniem przynajmniej od bezpośrednich działań wojennych tutaj i zarazem otworzy granicę rosyjską i połączy rozerwane rodziny, da możność powrotu wygnańcom itd. Chociaż jeszcze nie łudźmy się, że to są rzeczy tak łatwe do uskutecznienia i tak bliskie. Są możliwości i komplikacje nie dające się jeszcze obliczyć. Jedną z bardzo ciekawych rzeczy – jest ewentualność ogłoszenia przez rewolucyjny rząd rosyjski tajnych traktatów wojennych, zawartych przez poprzednie rządy rosyjskie z państwami koalicji. Bolszewicy zapowiadają ich ogłoszenie jako obowiązek demokracji i jako atut na rzecz swych haseł pokojowych. Koalicja jest z tego powodu zaniepokojona. Istotnie – byłby to dla niej cios niesłychanie dotkliwy. Przede wszystkim wykazałoby to w świetle faktów fałsz legendy o tym, że to rzekomo Niemcy są stroną zaczepną, koalicja zaś tylko się broni. Rozwiałoby jak dym obłudę o rzekomej idei koalicyjnej – obrony małych narodów. Wykazałoby, że wojnę tę gotowała Anglia od dawna w celach imperialistycznych, snując sieć ogromnej intrygi międzynarodowej. Co do bezpośrednich celów wojny, ujawniłoby aneksyjne aspiracje Francji, której Rosja poza Alzacją i Lotaryngią gwarantuje zabór niemieckich terytoriów nad Saarą. Największym wszakże skandalem byłby ten, gdyby się potwierdziło istnienie traktatu franko-rosyjskiego o odszkodowanie Belgii kosztem neutralnej Holandii. To by dopiero było koroną gwałtu międzynarodowego koalicji.

28 listopada, rok 1917, środa
Rano odwilż. Wiatr z deszczem stopił resztki wczorajszego śniegu. Pod wieczór znów mróz. Na noc – odwilż. W sądzie – dzień sesji. Spraw wyznaczonych – siedem. Ławnicy: Stachelski i Remba. Pośród spraw – jedna karna z prywatnego oskarżenia o pobicie, sześć – cywilnych, w tej liczbie jedna – zbadanie świadków na zlecenie sądu w Stawiskach. Ze spraw dzisiejszych dwie zostały odroczone, jedna – umorzona, reszta – zasądzona wyrokami. Sesja trwała od godz. 10 do 4 po południu, bez przerwy obiadowej. Wrażenie sesji – dodatnie.
Z niecierpliwością czekam dalszego rozwoju wypadków w Rosji. Dotąd w drodze urzędowej propozycja bolszewików o zawieszeniu broni jeszcze do mocarstw w centralnych nie przyszła. Trockij rozpoczął w Petersburgu ogłaszanie tajnych wojennych dokumentów dyplomatycznych. Bardzo ciekaw jestem, co z tego wszystkiego wyniknie. W rewolucji rosyjskiej w jej obecnym stadium bolszewickim jest jedna niezwykle szlachetna w polityce i rzadka rzecz: bezwzględna szczerość w prostych konsekwencjach zasad. W szczególności to się uwydatnia w uznaniu bez zastrzeżeń prawa każdego ludu i narodu dowolnego do niepodległego bytu i do wystąpienia ze związku państwowego z Rosją. Żadne państwo dotychczas na taki prosty postulat sprawiedliwości się nie zdobyło. Każde, choćby najbardziej „wolnościowe" i demokratyczne, choćby najgłośniej proklamujące zasady rzekomej wolności, zawsze w wewnętrznych sprawach swoich kierowało się ideą imperializmu. Stało się to tak powszechnym, że nawet małe i niewolne narody, pozbawione bytu państwowego i dopiero marzące o państwie własnym lub przynajmniej o autonomii, wnosiły do swojej idei państwowej pierwiastek imperialistyczny. Oto spójrzmy w najbliższe otoczenie. Oto powstająca Polska myśli już nie o rdzennych narodowych dzielnicach swoich, jak Galicja, Poznańskie lub Śląsk, lecz wyciąga chciwą dłoń na wschód, po ziemie białoruskie i litewskie, po historyczne skrawki Ukrainy, jak Galicja Wschodnia, Wołyń. Do tych pożądań swoich dorabia argumenty bądź racji stanu, bądź

konieczności gospodarczych, bądź wreszcie praw historycznych, usiłuje uzasadnić swoje pretensje to względami dostępu do morza, to logiką granic naturalnych lub strategicznych, to względami kultury i jakiejś szczególnej misji dziejowej, to wreszcie naciąganą statystyką narodowego „stanu posiadania" na ziemiach spornych. Ale co mówić o Polsce, kiedy malutka Litwa właściwie robi to samo, zachowują tylko proporcje odpowiednio do skali swojej. Oto proklamuje ona *à priori* pewne terytorium za należące do Litwy „etnograficznej", wcielając doń rozległe „skrawki", zaludnione przez Białorusinów lub prze ludność polsko-białoruską i ani chce słyszeć o tym, żeby ludność tego terytorium lub przynajmniej tych „skrawków" miała sama decydować w drodze plebiscytu o swej przynależności państwowej. Dane terytorium ogłoszone zostaje za niewzruszalną jednolitą całość, teza ta zostaje proklamowana za święte tabu i wara komukolwiek ogłaszać jakieś zastrzeżenia lub kwestionować słuszność narodowo-państwowego pewnika, bo to byłoby „zdradą". A jakież są tego istotne względy? Względy panowania, racji stanu, zaboru, siły – imperializmu. Każda poczwarka państwowa swój imperializm wytwarza i ogłasza *urbi et orbi*.

29 listopada, rok 1917, czwartek
Znowu typowy błotnisty jesienny dzień, pochmurny, ciemny, z kropiącym od czasu do czasu nędznym deszczykiem. W sądzie – martwa cisza. Pomimo czwartku, a więc dnia targowego, kiedy więcej ludzi się zjeżdża do miasta z okolicy, nie wnoszono żadnych spraw. Jedna tylko jakaś kobiecina z Zabiala zgłosiła drobne powództwo o 45 marek tytułem wynagrodzenia szkód i strat za spalone przez nieostrożność sąsiada siano. Więcej nic. Inaczej było przed 2-3 tygodniami, gdy dziennie wpływało spraw nowych przynajmniej po dwie, a nieraz i po trzy, cztery, nawet pięć. Sąd jest znowu w fazie zastoju, jak za czasów kopania kartofli w pierwszej połowie października. Teraz to chyba niepogoda jesienna na to wpływa. Zresztą i targ był dziś zupełnie martwy. Wracając do tematu, o którym wczoraj w dzienniku pisałem, dodam, żeby nie być źle zrozumianym, gdyby ktoś miał kiedyś mój dziennik czytać, że mimo iż dostrzegam nawet u Litwy koncepcję imperialistyczną, nie myślę przez to bynajmniej stawać w opozycji do jej obecnych usiłowań państwowych. Daleki też jestem od lekceważenia tych usiłowań lub pogardliwego ich traktowania. Że mówiąc o jej „imperializmie" użyłem wyrazu „poczwarka", to nie znaczy, żebym ją chciał tym poniżać. Dla mnie ta „poczwarka" jest najdroższą kochaną Ojczyzną, której wolność i szczęście cenię nade wszystko. Stwierdzam tylko fakt głębokiego przeniknięcia idei imperialistycznej do współczesnych pojęć państwowych i narodowych, która nawet w tak demokratycznym społeczeństwie, jak narodowo-litewskie, znalazła swój mocny wyraz w usiłowaniach budownictwa państwowego. Ja osobiście witam serdecznie kiełkowanie prądów państwowych litewskich oraz tym bradziej wszelkie ich początki realizowania się, choćby nawet był w nich imperializmu kąkol. Wiem, że ten ostatni jest naleciałością współczesnego kierunku powszechnej myśli państwowej, mającego wpływ także na umysłowość litewską. Tym prądom gotów jestem współdziałać, bo wiem, że w rdzeniu są one wolnościowe i ludowe, płynące ze źródeł czystych i skierowane istotnie do szczęścia Ojczyzny. Kąkol, jeżeli w nich jest, nie stanowi ich istoty. Wcześniej czy później albo się przetrawi, albo się z nich wypleni przy pogłębieniu ludowo-demokratycznych form bytowania tak społecznego, jak międzynarodowego, a rdzenny skutek usiłowań, ich właściwy cel – wolność i samodzielność Litwy, jej prawo we wspólnym bycie Narodów na Kuli Ziemskiej, jej wolne „miejsce w słońcu", jak mówią Niemcy – zostanie osiągnięty. W nim jest istota rzeczy i jego witam z gorącym zapałem i głęboką wiarą prawdy i sprawiedliwości. Mała Litwa, dochodząca praw swoich wśród szalonej gry w walce największych potęg świata, wśród kataklizmu dziejowego, który

pożogą zalewa świat, musi się automatycznie dostosować do pojęć i koncepcji bieżących, musi się także tych środków budowy państwowej imać, co inni – i stąd jej imperializmu geneza. Drobniutki to i skromny imperializm, dopasowany do jej skali i do potrzeb jej państwowej budowy. Ale – imperializm. I oto ona sama, protestując gorąco ze wszystkich sił przeciwko imperializmowi Polski, której do niej zaborcze macki wyciąga, posługuje się nim przecie także. Zaprzeczyć temu ze stanowiska obiektywizmu dziejowego niepodobna, choć Litwini z jak największym przyjęciem przeczą i zarzut imperializmu odpierają z oburzeniem i „pogardą".
Z bolszewickiej Rosji błyska wszakże obecnie nowy promień wolnościowej i ludowej idei państwowej, który bez pardonu zmiata imperializmu nasienie. Płynie stamtąd potężne hasło prawa, prawa woli swobodnej, ujętej w plebiscytu ludowego formułę. Dla Litwy przynosi ono perspektywę radosną – szybszego i pełniejszego ziszczenia jej prawa także. Przy ewentualnym bowiem pokoju bolszewickiej Rosji z Niemcami i Austrią losy krajów, oderwanych faktycznie od Rosji i zajętych okupacją niemiecko-austriacką, muszą znaleźć rozwiązanie dla tychże krajów jak najwolniejsze. Jeżeli nawet bolszewicy w swym dążeniu do pokoju ludowego i „proletariackiego" zrezygnują ze stosowania do Niemiec i Austrii zasady plebiscytu poszczególnych krajów i ludów tychże państw oraz ich ewentualnego wyboru przynależności i formy państwowej, do którego to zrezygnowania będą zapewne zmuszeni, toć chyba co najmniej, stosując tę zasadę z całą szczerością do Rosji, będą musieli zastrzec ją bezwzględnie w stosunku do terytoriów, okupowanych przez mocarstwa centralne, a należących poprzednio do Rosji. Nie będą się mogli zgodzić na ich aneksję do Niemiec w jakiejkolwiek formie przymusowej ani też rewindykować je na rzecz mocarstwowych praw Rosji. Jedyną formą wyjścia będzie urządzenie państwowe tych ziem na podstawie ich plebiscytu ludowego. W tym się iścić będzie spełnienie Niepodległości tak Polski, jak Litwy i Kurlandii. Niemcy, którym na pokoju z Rosją tych zależeć będzie, zgodzić się na to będą musieli. W równoległej perspektywie, poza terenami okupowanymi, suponować można wyłonienie się państwowe z masy mocarstwowej rosyjskiej Finlandii, Ukrainy, Łotwy, Estonii, Kaukazu, może Białej Rusi i na wschodzie – Syberii. Bliską jest może chwila, gdy faktem się stanie samodzielna niepodległa Rzeczpospolita Litewska. Dałby to Bóg. Warunkiem do tego, jednym z najmocniejszych, jest utrwalenie się władzy bolszewickiej w Rosji. Ale gdy kamieniem węgielnym realizowanego prawa narodów będzie wola ludów w formie plebiscytu, to i Litwa zrezygnować będzie musiała ze swej niewzruszalnej imperialistycznej koncepcji „Litwy etnograficznej" w jej formie obecnej. Jeżeli plebiscyt ten zastosowany będzie istotnie ludowo, musi on tym na korzyść Białorusinów w poprawkach do litewskiej koncepcji wypaść.

30 listopada, rok 1917, piątek
Dzień sesji. Na wokandzie siedem spraw. Ławnicy: Remba, Kocik. Sesja przeszła dość szybko i była udatna. Zaczęliśmy o godz. 10, a skończyliśmy coś zaraz po drugiej. Bylibyśmy jeszcze wcześniej skończyli, gdyby nie to, że w jednej z ostatnich spraw, względnie prostszej, bo opartej na akcie rejentalnym, bez świadków, wynikło pewne marudztwo z powodu zawiłych zeznań, zastrzeżeń i żądań stron, które, jak to zwykle chłopi, o ile stają same bez adwokata, nie umieją formułować ściśle swoich żądań i tak się plączą w chaosie sytuacji, że gdybym nie brał je w opiekę jak małe dzieci i nie wyciągał je z labiryntu ich własnych twierdzeń, byłyby się w nim zabłąkały bezradnie jak owce bez pasterza. Zawsze wychodzi na to dużo czasu.
Sesja była dosyć ciekawa. Pierwsza szła sprawa karna trzech chłopaków z młodzieży wiejskiej, oskarżonych przez czwartego o pobicie. Typowa obyczajowa sprawa ze stosunków młodzieży chłopskiej. Wieczorem przy zabawie i zalotach, którymi sobie

młodzież skraca długie noce jesienne, wynikła sprzeczka między dwiema grupami rywali męskich, w której skutku było pobicie następnie jednego przez dwóch innych. Bili wszakże nie tylko rękami, ale pałkami i to nawet jeden pałką żelazną. Takie zabawy i bójki młodzieży męskiej, będące skutkiem nie tylko temperamentu młodości, ale i próżniactwa, rozwydrzenia i ciemnoty – zasługują na porządne skarcenie, tym bardziej, że takie byczki, grasujące po wsi, są plagą dla całej spokojnej ludności, która się uskarża na nich. Toteż wymierzyliśmy im karę względnie surową, największą, jaką wymierzaliśmy dotychczas za czasów mego urzędowania, skazując dwóch na areszt po miesiącu. Trzeciego uniewinniliśmy. Cóż z tego, kiedy oskarżyciel, ten ich czwarty kolega, pobity, takiż widocznie ptaszek jak oni, zaraz po sprawie się z nimi pojednał, wziął „odkup" i po ukończonej sesji zgłosił się do sądu, meldując, że im darowuje karę. Prawo darowywania kary przez oskarżyciela prywatnego służy nieraz dla tychże oskarżycieli źródłem nieusprawiedliwionych zysków. Im większą sąd wyznaczy karę, tym większy to tylko atut zysku dla oskarżyciela, który droższą sobie policzy od skazanego zapłatę za darowanie mu kary. Zaiste nie może to odpowiadać celowi prawa, żeby przez srogość kary sąd licytował zyski na rzecz kieszeni oskarżyciela.
Wśród sądzonych spraw cywilnych, z których dwie zostały zasądzone wyrokiem, trzy – odroczone i jedna – usunięta z wokandy, chcę kilka słów nadmienić z okazji jednej sprawy. Ujawnił się bowiem z okazji tej sprawy mały rąbek ohydnej afery wyzyskiwania ludu przez tzw. „pokątną adwokaturę", prawdziwą plagę publiczną, spekulującą na głupocie chłopa. Sam jestem w Kolnie niedawno, toteż nie znam jeszcze wszystkich ludzi ani wszystkich tajników stosunków miejscowych. Wiem głównie to, co dochodzi do mojej wiadomości z opowiadań ludzi miejscowych, z którymi się stykam. Od dawna słyszałem, że niejaki Dominik Roszkowski, obecnie nauczyciel we wsi Czerwone gminy Czerwone, dawniej ekonom i rządca, pijak, uprawia proceder pokątnej adwokatury, udzielając ludności „porad prawnych" i ewentualnie pisząc skargi i podania. Jest z tego znany od dawna. Do pomocy sobie ma naganiaczy w samym Kolnie i okolicy, którzy mu klienteli chłopskiej dostarczają. Jednym z takich naganiaczy jest znany i sławny w Kolnie Zawistowski, właściciel traktierni, pieniacz i denuncjator, figura, o której potworne się opowiadają rzeczy. Ponieważ jednak w sądzie moim Roszkowski nigdy za czasów mojego urzędowania nie stawał i nie dostrzegłem też poprzednio, żeby do sądu mego wpłynęła jakaś skarga przez niego pisana, sądziłem więc, że może obecnie, będąc nauczycielem, procederu tego zaniechał. Toteż na skierowane do mnie w ubiegłym tygodniu pisemne zapytania podprokuratora z Łomży o adwokatach pokątnych w okręgu mojego sądu dałem odpowiedź, że takich nie dostrzegłem. Aż oto na dzisiejszej sesji wylazło szydło z worka. Wśród spraw była sprawa z powództwa niejakiego Bolesława Staniszewskiego, gospodarza ze wsi Leman gminy Turośl o 603 mk. z tytułu wynagrodzenia szkód i utrat za przebodzoną krowę. Sprawa ta na razie została odroczona, ale prawdopodobnie się okaże, że jest ona zgłoszona do niewłaściwego pozwanego, wskutek czego zapewne powództwo zostanie oddalone. I oto okazuje się, że skargę powodową pisał dla niepiśmiennego Staniszewskiego nauczyciel Dominik Roszkowski i wziął od Staniszewskiego za jej napisanie 60 rubli (wyraźnie sześćdziesiąt rubli!). 60 rubli – to znaczy 130 marek, a jak tu jeszcze chłopi liczą – nawet 150 marek, podczas gdy podług najwyższego wymiaru taksy dla adwokatów przysięgłych za przeprowadzenie całej sprawy w dwóch instancjach (nie zaś za samo napisanie skargi) należałoby się adwokatowi marek 60! – nie licząc już tego, że przez wadliwe wytoczenie sprawy powód Staniszewski poniesie stratę uiszczonych kosztów sądowych oraz ewentualnego zwrotu kosztów sądowych – także wynagrodzenia za prowadzenie sprawy – na rzecz pozwanego. Fakt ten potwierdza dalsze uprawienie procedury przez Roszkowskiego, który, jak widać, robi to

w sposób iście bandycki. Ale bo też głupi są chłopi. Boją się Goldberga, bo to „Żyd”, a dają się z tego tytułu naciągać w najwyuzdańszy sposób przez „chrześcijanina”, „swojego”. Dobrze im tak!

1 grudnia, rok 1917, sobota
Dzisiaj ruch spraw w sądzie był wyjątkowo większy. Zgłosił się jeden interesant i wniósł dwa powództwa ustne. Potem przyszedł p. Litwiński i złożył skargę natury karnej na księdza z Zalasa o potwarz. Potem znów przyszła panna Maria Chodnicka i przyniosła skargę powodową od matki o komorne i eksmisję lokatorki z mieszkania. Wreszcie Goldberg przniósł dwie skargi powodowe i jedną karną od klientów swoich oraz skargę karną własną o obrazę przeciwko niejakiemu Masłowskiemu, który na sesji sądowej w dniu 16.XI. w sprawie swojej przeciwko Olendrowi pozwolił sobie obrazić Goldberga, stającego ze strony Olendra, co na żądanie Goldberga zostało przez sąd zaprotokołowane. W ten sposób uciułało się w jednym dniu dzisiejszym pięć nowych spraw cywilnych i trzy karne, czyli razem osiem spraw w jednym dniu. Jak na jeden dzień – to bardzo dużo, zwłaszcza wobec poprzedniego zastoju. Sprawy te były mi potrzebne dla zapełnienia dwóch ostatnich sesji grudniowych, wyznaczonych na 19 i 21 grudnia, które świeciły pustką, a które już najwyższy czas było zapełnić, żeby zdążyć rozesłać na czas wezwania stronom i otrzymać w terminie zwrotne egzemplarze tychże. Sprawy dzisiejsze są dość ciekawe i oryginalne, wyłamujące się z szablonu tak ze względu na treść swoją, jak ze względu na osoby, biorące w nich udział. A zawsze w sprawach ciekawsza jest rozmaitość sytuacji i osób, niż szablon monotonnych, podobnych do siebie jak dwie krople wody, najliczniejszych powszednich spraw chłopskich. Sąd jest poniekąd teatrem. Sędzia jest w jednej osobie czynnikiem działającym w procesie i zarazem widzem toczącej się akcji. Bieg zaś toczącej się sprawy jest interesującym nie tylko ze względu na treść, ale i na charaktery uczestniczących w niej osób oraz jej tło społeczne i obyczajowe. To przesuwanie się przed sądem akcji w sprawie, jej rysy indywidualne osób i tła życiowego, widowisko stosunków ludzkich, z których się spory sądowe wyłaniają – to rzecz w działalności sędziego jedna z najciekawszych. Zwłaszcza w głuchym Kolnie jest to rozrywka, dająca mi styczność bezpośrednią z życiem. Bez tego siedziałoby się tu jak w pleśni.

2 grudnia, rok 1917, niedziela
Podług porządku, który wprowadziłem w moim sądzie od trzech tygodni, w niedzielę wyznaczam sprawy, które się w ciągu tygodnia uzbierały. Wyznaczałem je więc i dzisiaj. Dla upadku ruchu spraw w dwóch ostatnich tygodniach wskażę, że gdy pozaprzeszłej niedzieli miałem do wyznaczenia dwadzieścia kilka spraw, które wpłynęły w ciągu tygodnia, przeszłej niedzieli miałem już tylko kilkanaście, dzisiaj zaś do wyznaczenia nowych spraw z ubiegłego tygodnia było – 11, i to gdyby nie wczorajszych osiem z jednego dnia, to byłoby ich tylko trzy, w tej liczbie dwie cywilne z powództwa i jedna – incydentalna z prośby o rozłożenie zasądzonej sumy na raty. Ponieważ w końcu października i pierwszej połowie listopada spraw nowych napływało do sądu bardzo dużo, tak że się wytwarzała znaczna przewyżka spraw wpływających nad zasądzonymi, więc na grudzień wyznaczyłem więcej sesji, niż poprzednio. Zamiast sześciu sesji miesięcznie, jak było w październiku i listopadzie, wyznaczyłem na grudzień osiem sesji, a chcąc mieć święta wolne, zgęściłem sesje grudniowe w pierwszej połowie miesiąca do tego stopnia, że w pierwszych dwóch tygodniach grudnia będę miał po trzy sesje tygodniowo. Tymczasem koniec listopada zaznaczył się takim zastojem w ruchu wpływających spraw, że się obawiałem, iż na dwie ostatnie sesje grudniowe, na 19 i 21 grudnia, nie wystarczy mi spraw. Wczorajszy dzień nieco

polepszył sytuację, ale jeszcze sesji 21 grudnia nie mam zapełnionej i będę ją mógł zapełnić tylko o tyle, o ile do tego czasu wpłynie mi dość spraw z samego Kolna, bo już na sprawy, w których wezwania muszą być wysyłane przez gminy, termin 21 grudnia będzie za wczesny. W każdym razie, w najbliższym czasie będę miał gęsto sesje w sądzie. Tym lepiej dla mnie, bo nie będzie czasu na nudy.
Są dzisiaj wieści ciekawe ze świata. Gazet wczoraj i dzisiaj nie miałem, ale słyszałem o nowinach od tych, co czytali gazety niemieckie. Otóż okazuje się, że rząd bolszewicki w Rosji zwrócił się już istotnie do wszystkich państw wojujących z urzędową propozycją rokowań pokojowych. Rząd niemiecki propozycję tę również otrzymał i, jak wynika z mowy nowego kanclerza niemieckiego Hertlinga, dał odpowiedź przychylną. Przypuszczam, że na froncie wschodnim zawieszenie broni nastąpi już w najbliższych dniach. Jak się zachowa wobec tego koalicja – nie wiadomo. Ja przypuszczam, że nie da za wygraną, aczkolwiek Niemcy, jak to wiem z rozmowy z doktorem, który mię dziś rewizytował, liczą na to, że i koalicja zmuszona będzie wobec tego do ustąpienia ze swego nieprzejednanego stanowiska wojennego. To zobaczymy. Pozostaje jeszcze ewentualna kwestia Japonii, która by się mogła, jak to pewne domysły i pogróżki szerzą, rzucić na Rosję z tyłu, mszcząc jej z ramienia koalicji za „zdradę" wspólnej sprawy, ale wydaje mi się wątpliwym, aby Japonia się kwapiła do roli mścicielki cudzych „krzywd". Prędzej się ona szykować będzie, co też zapewne już robi po cichu, do krwawego porachunku z Ameryką.
I jeszcze jest jedna ciekawa wiadomość, acz nie niespodzianka bynajmniej: Ukraina rosyjska ogłosiła swoją niepodległość państwową, oświadczając się wszakże za związkiem z Rosją. Nowe państwo ukraińskie ogarniać ma całą olbrzymią połeć południowej Rosji, od granic Galicji aż pod Kaukaz ze stolicą w Kijowie, z Odessą, z całym wybrzeżem Morza Czarnego i z Krymem włącznie. Kto zaiste na tej wojnie zrobił kolosalny interes i postęp w zdobyciu praw – to Ukraina. Że zdobyła niepodległość Polska, Finlandia, że ją ewentualnie zdobędzie Litwa i może Łotwa, a na wschodzie Kaukaz i Armenia – to nic osobliwego. Polska i Finlandia, choćby nawet nie zdobyły niepodległości i choćby nie było wojny i nic się nie było zmieniło, nie zostałyby przez Rosję zasymilowane i wcześniej czy później swój byt by odzyskały. To ewentualnie można powiedzieć o małych Litwie i Łotwie, których indywidualność narodowa jest zupełnie określona. Ale Ukraina! Była ona tak zasymilowana, tak się nieznacznie różniąca od powszechności rosyjskiej. Ukrainizm był w Rosji raczej prowincjonalizmem, niż odrębną sprawą narodową. Poza małą garstką patriotów-separatystów – zdawało się, że Ukraińców w znaczeniu narodowym w Rosji nie ma i że w każdym razie masa ludowa Ukrainy jest zupełnie na hasła ukraińskie obojętna. Tymczasem w ostatnim roku, już po marcowym przewrocie państwowym w Rosji, sprawa ukraińska wybuchła z taką siłą i tak wielkimi krokami dążyć zaczęła do własnego bytu państwowego, że było to po prostu zdumiewające. Okazało się, że jednak ukrainizm musiał mieć jakieś w masie oparcie, skoro zdołał tak szybko do takiej urosnąć potęgi. Dziś oto Ukraina staje się już państwem i to państwem o wielkich wymiarach, z którym się trzeba będzie liczyć. Szczęść Boże, piękna Ukraino! Czy też obudzi się wreszcie za innymi i biedna, znękana, spóźniona Białoruś? Taka zawsze senna, bierna, a słodka!

3 grudnia, rok 1917, poniedziałek
Ruch w sądzie był dziś znowu duży. Powództwo na razie wpłynęło wprawdzie tylko jedno, ale poza nim było kilka innych, które chwilowo jeszcze formalnie zgłoszone nie zostały dla różnych przyczyn incydentalnych, lecz zapewne w najbliższych dniach zgłoszone już będą. Poza tym, przesunął się przez sąd szereg poszczególnych

interesantów detalicznych i zgłoszony został dla apelacji jeden obstalunek wyroku w formie ostatecznej. Będzie to już trzecia apelacja w moim sądzie. Przez pierwsze dwa miesiące nie było ani jednej apelacji, teraz w ciągu 2-3 tygodni – już trzecia będzie apelacja. Lubię, gdy jest większy ruch spraw w sądzie.
Otrzymałem dziś list od Józefa Wadonia, mojego b. kolegi z I pułku piechoty Legionów Polskich, jednego z najsympatyczniejszych chłopców naszej b. kompanii. Ucieszyłem się serdecznie, bo przecież da mi to możność utrzymania nadal stosunków z tymi zacnymi chłopcami. Wadoń, jak cały niemal I pułk piechoty Legionów, podczas kryzysu, który w końcu lata i na jesieni miał miejsce w Legionach w Przemyślu, zgłosił się do c. i k. armii austriackiej. Obecnie wraz z kolegami z pułku jest już w wojsku austriackim i bierze udział w walkach na froncie włoskim, skąd też pisze do mnie. List pisany jest 18.X. Z listu jego biorę następujące wieści o kolegach naszych legionistach, które są dla mnie nowinami. Okazuje się więc, że jednak nie wszyscy żołnierze z I pp. przeszli do wojska austriackiego, czyli „do Jańciów", jak się u nas w pułku popularnie Austriaków nazywało. Z naszej I kompanii pozostali w Legionach Grzyb, Obłąk, Picheta, Kwaśnicki i jeszcze kilku, których Wadoń nie wymienia. Że został Obłąk, to mię zdziwiło, bo był to jeden z najsolidarniejszych kolegów, piłsudczyk wierny z przekonań, człowiek bardzo dzielny i zacny, którego szczerze szanuję. Z tego, że on został, wnoszę, że jednak decyzja o przejściu z Legionów do Austriaków nie była w naszym pułku wyrazem bardzo wielkiej siły i stanowczości przekonania, jak to miało miejsce poprzednio w sprawie przysięgi Królewiaków. Widocznie aresztowanie Piłsudskiego, internowanie Królewiaków w Szczypiornie i świadomość tego, że ruch reprezentowany przez Piłsudskiego okazał się bezpłodnym, zachwiała pierwotną jednolitość wytycznych w przekonaniu żołnierzy. Że tak być musiało i że w dalszym ciągu czynniki te działają, wnoszę z tego, że Wadoń też myśli o powrocie do Legionów, i nie on jeden. Nie dziwię się biedakom. Muszą się czuć wykolejeni w wojsku austriackim po trzyletniej służbie ideowej w Legionach. Austriacy nie przeszkadzają im w powrocie do Legionów; przeciwnie – wydany został rozkaz, pozwalający każdemu wrócić do Legionów, na co udzielono termin do 1 grudnia. Cały nasz dawny I pułk i b. I baon V pułku są razem w kupie. Komendantem dywizji, do której oni należą, jest Puchalski, b. komendant Legionów. Wszyscy nasi dawni oficerowie z I p.p. zostali, jak pisze Wadoń, po przejściu do austriackiego wojska pozbawieni szarż oficerskich i przyjęci za sierżantów (feldfebli); oddzielono ich od naszych żołnierzy i zostawiono na tyłach. Widocznie mniej im ufano, niż żołnierzom. W liście Wodonia jest wzmianka i o porażce włoskiej: pisze, że Włosi ponieśli olbrzymie straty i że trudno po prostu wyobrazić sobie, jak olbrzymie zostawili w ręku zwycięzców zapasy wszystkiego, magazyny, działa, amunicję itd. Powiada, że drogi i pola były zasłane pozostawioną zdobyczą.
Nade wszystko się dziś ucieszyłem z tego, co znalazłem w gazetach. Gazety przyszły z trzech dni. Była w nich cała mowa kanclerza Hertlinga w parlamencie niemieckim. To, że bolszewicka Rosja zwróciła się już urzędowo z propozycją zawieszenia broni i nawiązania rokowań pokojowych – o tym już wiedziałem. Ale w mowie kanclerza jest jeszcze inna rzecz, niezmiernie dla nas doniosła. Kanclerz oświadcza uroczyście w związku z propozycją rosyjską, że Polska, Litwa i Kurlandia będę mogły same o swoim przyszłym losie postanowić. Jak wiadomo – propozycja rosyjska wypływa z zasad czystej wolności i prawa każdego kraju i narodu do wolnego postanowienia o swoim losie. Niemcy, którym niezwykle zależy na pokoju z Rosją i którzy teraz Rosję tak kokietują jak piękną dziewczyną, będą zmuszone dotrzymać tej zasady przynajmniej do ziem, zabranych na wschodzie od Rosji, żeby za tę cenę mieć upragniony pokój. Wyrazem tej świadomości jest oświadczenie kanclerza. Jest to oparcie mocniejsze, niż

ufność w jakąś szlachetność Niemców. A że postanowienie tak Polski, jak Litwy wypadnie na rzecz ich niepodległości państwowej – to więcej niż pewne.

4 grudnia, rok 1917, wtorek
Sesja sądowa. Ławnicy: Stachelski i Jerozolimski. Spraw na wokandzie: siedem. Sesja trwała do godz. 2 po południu. Jedna sprawa spadła z wokandy za niestawieniem się stron, trzy sprawy zostały odroczone i trzy – zasądzone wyrokami. Wśród tych trzech zasądzonych znalazła się i sprawa Kajmanów, dwukrotnie już odkładana. Wyrokiem zasądziłem na rzecz młodej Zełdy Kajmanowej żądane od starych Kajmanów alimenty, nakazując jednocześnie warunkowo, po zapłaceniu zasądzonych alimentów, eksmisję tejże Zełdy z mieszkania w domu pozwanych w myśl żądań ich powództwa wzajemnego. Wyrok więc wypadł kompromisowy, ale mimo to zadowolił on tylko Zełdę i nie zadowolił pozwanych. Starzy Kajmanowie, a właściwie żona starego, Chana, zamierza wnosić apelację: obstalowała już wyrok w formie ostatecznej. Niepokoi ją głównie to, że zasądzona suma 500 marek alimentów za jedno półrocze jest aktem stwierdzenia przez sąd zamożności starych Kajmanów. Zamożność tę chciałaby ukryć od świata, by móc w cieniu cichaczem skubać majątek męża na własną swoją i dzieci swoich korzyść ze szkodą i krzywdą dzieci męża z poprzedniego małżeństwa. Tu jest cały klucz oporu tej kobiety przeciwko żądaniom młodej Zełdy. Sprawę tę prowadziłem z przyjemnością i rad byłem, że ją mogłem doprowadzić do tego rezultatu, dodatniego dla młodej Zełdy Kajman. Kierowałem się zupełną bezstronnością i miałem doskonały materiał na rzecz wyroku w zeznaniach świadków, zbadanych 16. XI. Ale w sprawie tej byłem pod wielkim urokiem młodej Zełdy, kobiety pełnej powabu. Naturalnie, że daleki byłem od tego, abym powabowi temu, który wywierał urok czysto osobisty na mnie, pozwalał wpływać na bieg sprawy z ujmą dla sprawiedliwości lub wymagań prawa. W tym wypadku urok powabu osobistego tej kobiety kojarzył się ze względami przedmiotowej sprawiedliwości, które wołały wprost o wynagrodzenie jej krzywdy. Urok Zełdy, którego działanie na sobie czułem, polegał nie na jej pięknie szczególnym ani nawet zbytniej młodości. Jest niebrzydka, ale nie piękna wcale. Młodości też jest nie pierwszej, bo najstarsze jej dziecko ma już lat 14, czyli że sama musi mieć już przeszło lat 30 i jest kobietą dojrzałą. Ale jej ciemne wyraziste oczy w twarzy szczupłej i wymizerowanej, jej głos gardlany i siła charakteru, wyglądająca z jej rzucanych czasem w kierunku starej teściowej-macochy krótkich replik, charakteryzowały ją w stylu tych kobiet, nie ognistych bynajmniej temperamentem gwałtownym i krótkopalnym, ale silnych głęboką ukrytą namiętnością uczuć, które mi się zawsze podobały. Czułem w niej jedną z tych kobiet, które łączą chłód i bierność pozorną z mocą trwałych i wyrazistych uczuć – coś jak kobiety Skandynawki i Łotewki. Kobiety takie umieją być miękkie w miłości i twarde w nienawiści, są jak metal, który się topi i jest płynny, to znów się krystalizuje i jest zimny i sztywny. Od miękkiego blasku uśmiechu do stalowego błysku twardego uczucia – chwila przelotna, bo w kobietach tych przeciwieństwu współżyją stale. Taką jest młoda Zełda Kajman, której powab działał na mnie na sądzie. Gdyby nie to, że wiedziałem, iż ma dziecko 14-letnie, myślałbym, ze jest o wiele młodsza.

5 grudnia, rok 1917, środa
Znowu sesja. Była to pierwsza próbna czysto żydowska sesja w sądzie. Obaj ławnicy – Żydzi, Remba i Jerozolimski, i sprawy na wokandzie wyłącznie żydowskie. Spraw było niedużo zresztą – tylko sześć, bo się więcej na czas nie uzbierało. Z tych sześciu spraw dwie usunięte z wokandy za niestawieniem się stron, jedna, incydentalna, umorzona na skutek niepopierania prośby przez petenta, i trzy – sądzone, z których jedna, karna,

zasądzona wyrokiem zaocznym, jedna odroczona i jedna zasądzona. Sesja trwała trzy godziny; byłaby trwała jeszcze krócej, gdyby się nie przeciągnęła szczególnie długo jedna ze spraw – Krelensztejna przeciwko młynarzowi Rubinsztejnowi o zwrot wartości niezwróconej mąki, która ostatecznie została odroczona. Głowa mię dziś mocno bolała, tak że się o byle co irytowałem na sesji. Sesję żydowską powtórzę jeszcze w styczniu i może ją na stałe utrzymam.

Gazety przyniosły dziś wiadomość o tym, że zawieszenie broni na froncie wschodnim staje się już faktem. Dyscyplina militarna w wojsku rosyjskim jest tak rozluźniona, a niechęć do dalszej wojny tak wielka, że poszczególne części wojsk rosyjskich i poszczególne odcinki, nie czekając na rozkaz ogólny, same na własną rękę zaczęły dokonywać już z Niemcami zawieszenie broni. Na całym odcinku frontu od Prypeci na południe aż do Lipy zawieszenie broni już nastąpiło. Niektóre inne poszczególne komendy rosyjskie także broń zawiesiły. Jednocześnie rozpoczęły się już urzędowe rokowania o generalne zawieszenie broni między naczelnym dowództwem rosyjskim a komendą księcia Leopolda Bawarskiego. Szybki postęp kroków pokojowych, wyrażający się w zawieszeniu broni, sprawia wielką sensację. Żydzi, którzy są zwykle najwrażliwszym barometrem koniunktur polityczno-gospodarczych, zapowiadają, że pokój nastąpi. Przypuszczam, że węch ich nie myli. Załamanie się Rosji w sprawie wojny może być nie tylko odrębnym pokojem na wschodzie, ale i początkiem końca całej wojny. Zawieszenie broni jest bądź co bądź faktem bardzo jaskrawym. Nie przypuszczam, żeby rewolucyjni żołnierze rosyjscy pozwolili jakiemukolwiek rządowi w Rosji pchnąć siebie znowu do wojny. Nie brak tu jeszcze ukrytych u nas moskalofilów, którzy po cichu tęsknią do mocarstwowej Rosji i wbrew faktom pokładają w niej nadzieję, pragnąc, żeby ona Niemców wędzidłem ściągnęła. Mocarstwowa Rosja przestała w tej wojnie istnieć. Próżne są po niej tęsknoty. Siłą oręża Rosja już Niemców nie poskromi. Ci moskalofile *in partibus infidelium* nie tracą nadziei, że przecież władza bolszewików jest w Rosji nie stała, że wszystko się w rewolucji chwieje i że jeszcze wypłynąć może jakiś rząd czy to Kierenskiego, czy Milukowa, czy Kaledina, czy innego jakiegoś męża, który wbrew dzisiejszej inicjatywie bolszewików spoi znów Rosję z koalicją przeciwko Niemcom. Jałowe to nadzieje. Moskalofile ci są większymi patriotami mocarstwowej Rosji, niż sami Rosjanie. Lud rosyjski, do którego należy i rosyjski żołnierz, wojny nie chce, a gdy raz zawieszenie broni stanie się faktem, nie da się, nawet przy ewentualnych zmianach rządu, nakłonić do wznowienia stanu rzezi. W Rosji jest rewolucja; rewolucja ta budzi popularne zagadnienie w sferze aspiracji społecznych i ekonomicznych; zagadnienia te o wiele więcej poruszają masy, nie wyłączając żołnierzy, niż sprawy polityki międzynarodowej i spekulacji bandycko-państwowej, której służy wojna. Gdy wojna ustanie choćby tylko przez zawieszenie broni, lud rosyjski łącznie z masą żołnierską jeszcze dalej odbiegnie od zagadnień wojny i jeszcze się bardziej pochłonie aktualnymi sprawami rewolucji. Powrotu wstecz, do wojny mocarstwowej, w Rosji już chyba teraz być nie może. Jeżeli zaś chodzi o wędzidło na Niemców, to ono już jest od dawna: na to nie potrzeba nawet ich porażki militarnej. Bolszewicy przez ofertę pokoju skuteczniej wymogą na Niemcach mnogie ustępstwa na rzecz swych wolnościowych haseł, przynajmniej do ziem spornych na wschodzie, niż wojowanie mocarstwowej Rosji. Przede wszystkim nawet najbardziej mocarstwowa Rosja nie odniosłaby obecną swoją armią zwycięstwa, a po drugie, gdyby zwycięstwo miało należeć do „mocarstwowej" Rosji – to byłoby klęską wszelkiej wolności. Załamanie się Rosji w wojnie może mieć wpływ kruszący na cały zespół koalicyjny. Pierwsza za nią załamie się zapewne Rumunia, dalej mogą się zachwiać z kolei Włochy, w samej Anglii i Francji znajdą bodźce rewizyjne i pacyfistyczne prądy, a na tle zachwiania ogólnego uwydatnią się antagonizmy i

egoizmy poszczególne dalekich członków koalicji w rodzaju Stanów Zjednoczonych, Japonii itd. *Vivat Pax! Vivat Libertas et Fraternitas Humanitatis! Vivat Justitia Populorum et Jus Populi!*

6 grudnia, rok 1917, czwartek
Po kilku dniach niewielkiego suchego mrozu śnieg przyprószył ziemię. Ziemia jest pokryta bielą, ale warstwa śniegu – cienka. W sądzie ruch jest niemały, ale powództwa nowe zgłaszają się leniwie. Interesanci przychodzą po tytuły wykonawcze, wnoszą do spraw będących w toku prośby dodatkowe, biorą kopie, zasięgają „rady", macają grunt do ewentualnych przyszłych powództw, ale istotny napływ spraw – niewielki. W dnie sesji ustne skargi powodowe do protokołów się nie przyjmują, bo skargi takie przyjmuję i protokołuję tylko ja sam osobiście, w dnie zaś sesji jestem zajęty i robić tego nie mogę; w tygodniu bieżącym były dotąd tylko dwa dni bez sesji, w poniedziałek i w piątek, i w każdym z tych dni przyjąłem tylko po jednej skardze powodowej – ilość znikomo mała.
Gazety przynoszą wieść, że i Rumunia także wyraża chęć przyłączenia się do propozycji rosyjskiej o zawieszeniu broni. Kto jak kto, ale Rumunia zrobiła najgorszy chyba interes na tej wojnie. Była neutralną, kwitnącą i robiła świetne interesy na szalejącej dokoła wojnie; rosła w bogactwo, tuczyła się złotem; licho ją skusiło do wojny; większa część kraju została zalana inwazją nieprzyjacielską, kraj zdewastowany, ludność zubożona, państwo u kresu ruiny. Teraz ma Rumunia z jednej strony groźną linię wojsk nieprzyjacielskich, gotowych lada chwila zająć resztkę jej terytorium państwowego, z drugiej – rewolucję rosyjską, która tchnieniem rewolucyjnym zagraża jej budowie społecznej i politycznej i zarazem układa się z wrogiem, rzucając ją na pastwę własnego losu. Niewesoło się musi czuć król Ferdynand Rumuński w Jassach, któremu z zachodu grożą bagnety niemieckie, ze wschodu zaś podważa jego tron zawierucha rewolucyjna, której fale szaleją wewnątrz samej Rumunii w postaci komitetów i rad żołnierskich wśród wojska rosyjskiego na rumuńskim froncie. Tak król, jak magnaci rumuńscy na Multanach, którzy przywykli do władzy w Rumunii, muszą dziś cienko śpiewać, zachwiani w samych podstawach zarówno bytu państwowego, jak ustroju, który im władzę zapewniał. Ci się zaiste doigrali. Nic też dziwnego, że *volens nolens*, pokrywając układnym uśmiechem gorycz swego zawodu, śpieszą się dziś uczepić rokowań, by wybrnąć z otchłani, w jaką popadli i jaka się w straszniejszej jeszcze katastrofie dla nich otwiera, gdy Rosja pokój zawrze. Ewentualne przystąpienie Rumunii do układów będzie takim samym aktem bandyckiej spekulacji, jakim było poprzednio jej chwycenie za broń. Wtedy Rumunia spekulowała na grze na silniejszej stronie, dziś ratuje się furtką układów w czas, póki jeszcze nie za późno. Rosja bolszewicka wyciąga rękę do pokoju w imię ideałów szlachetnych wolności i braterstwa demokratycznego, nie popełniając żadnego odstępstwa, bo hasła bandytyzmu mocarstwowego, które kiedyś ją do tej wojny wciągnęły, sama podeptała i odrzuciła precz, nie uznając ich za swoje. Rumunia, bez żadnych haseł i ideałów, staje do pokoju z musu, upokorzona i zhańbiona. Rosja wyjdzie z katastrofy nie zwycięska w znaczeniu militarno-mocarstwowym, ale czysta i uszlachetniona, Rumunia wyjdzie brudna i okpiona jak bandyta, któremu się rabunek nie udał i który, schwytany za rękę, prosi pardonu. Hańba jej, ale wstydu w swym sumieniu bandyckim nie poczuje, szczęśliwa, że choć za cenę straty Dobrudży wykpi się z gorszych opałów. Bo chyba z częścią Dobrudży, zrabowaną w r. 1913 na Bułgarii, będzie się musiała pożegnać.
W związku z następującym zawieszeniem broni i świtającym pokojem z Rosją zaczynają nagle spadać ceny na różne artykuły. Notowany jest gwałtowny upadek cen na cygara, pieprz, herbatę i na szereg innych jeszcze artykułów. Ceny, wyśrubowane do

nieprawdopodobnych wyżyn przez spekulantów, zachwiały się pod wpływem pokojowych prądów. Spekulanci, którzy nagromadzili ogromne ukryte zapasy w oczekiwaniu coraz większej zwyżki cen, zaczynają, węsząc otwarcie granicy, wypuszczać artykuły ze składów, zwiększając podaż i obniżając przez konkurencję zaofiarowania ceny. To tylko początek na samo świtanie pokoju, a cóż dopiero będą za orgie skoków cen, spadków, zwyżek, ruin i konwulsyjnego szamotania się spekulacji, gdy pokój już naprawdę na dobre robić się będzie.

7 grudnia, rok 1917, piątek
Dzień sesji. Ławnicy: Kocik i Jerozolimski. Spraw na wokandzie osiem, same cywilne, które na ogół wolę od karnych. Sesja ciekawa i żywa. Żadna ze spraw nie spadła z wokandy, wszystkie były rozważane. Sesja trwała do godz. 4 po południu. W dwóch sprawach chodziło tylko o decyzje incydentalne, bez rozważania sprawy *in merito*, jedna po przeprowadzeniu wyczerpującego przewodu sądowego z badaniem świadków została odroczona, jedna zakończona układem pojednawczym i cztery – zasądzone wyrokami, z których jeden – zaoczny. Najciekawsza i największa była sprawa Szewczyka przeciwko Piotrowi Pikulińskiemu, ta sama, która ostatecznie została odroczona. Sprawa ta zajęła najwięcej czasu, ale też była bardzo ciekawa, tak że nie szkoda było na nią czasu. Płynęła ona wśród ogólnego naprężenia uwagi na sali, bo poruszała jeden z najbardziej interesujących sądzącą się ludność i zarazem najtrudniejszych zwykle do osądzenia tematów i w toku badania świadków przechodziła przez fazy zmienne, to wypływając jaskrawie na korzyść żądań powodowych, to znów załamując się gwałtownie i topiąc, zdawało się, powoda, a wynosząc na mocny grunt interes pozwanego. Te zmienne fazy w biegu sprawy utrzymywały uwagę nie tylko stron i sędziów, ale i całego audytorium w czujnym nerwowym podnieceniu. Taka sprawa – to jak żywa akcja teatru. Cała publiczność współżyła ze sprawą, cała się wchłaniała w jej bieg. Chodziło o rozwiązanie umowy sprzedaży konia z tytułu wady ukrytej. Powód Szewczyk kupił u pozwanego Piotra Pikulińskiego konia, który okazał się chorym na parchy. Przy sprzedaży na szyi konia były już znaczne liszaje; chodziło o to, czy z liszai tych można było poznać, że to jest początek parchów i czy przeto wada konia była ukryta czy nie. Pozwany przy sprzedaży mówił kupującemu, że liszaje te są bagatelą i że pochodzą tylko z nędzy konia lub od much i że przy posmarowaniu naftą zginą. Koń następnie u nabywcy Szewczyka rozchorował się tak, że parchy się rozlazły po całej skórze, chory koń całkowicie wyliniał i osłabł tak, że nie może sam bez pomocy wstawać. Od konia zaraziła się krowa Szewczyka, dostał parchów na rękach on sam, pokryły się parszywymi liszajami sąsiedzi Szewczyka, których on wzywał do pomocy przy podnoszeniu konia. Pozwany Piotr Pikuliński usiłował się bronić tym, że koń się zaraził parchą w chlewie Szewczyka, który rzekomo miał poprzednio parchowatego konia, czemu jednak świadkowie sąsiedzi Szewczyka zaprzeczyli. Powoływał się także pozwany na to, że przy samej sprzedaży uchylił od siebie rękojmię, uprzedzając nabywcę, że odpowiadać za nic nie będzie i że nabywca kupuje konia na własne ryzyko. Pierwsi dwaj świadkowie, sąsiedzi Szewczyka, którzy wszakże przy samym kupnie nie byli, zeznali na jego korzyść: o chorobie konia, o tym, że natychmiast po sprzedaży nie można było z liszajów poznać, że to są parchy, o ile się nie znało specjalnie na tej chorobie, o tym, że u Szewczyka w stajni nigdy tej choroby nie było i że zresztą stary chlew jego się spalił, że Szewczyk kilkakrotnie odprowadzał chorego konia do sprzedawcy, żądając zwrotu ceny. Sprawa stała mocno dla Szewczyka. Aż oto wszedł trzeci świadek, Lejba Kornecki, jeden z największych macherów handlu końskiego w Kolnie, korzystający z opinii opryszka; ten był przy tej sprzedaży, sam w niej pośredniczył nawet. I ten zeznał

fatalnie dla Szewczyka: stwierdził kategorycznie, że sprzedawca uprzedził Szewczyka przy sprzedaży jak najkategoryczniej, iż Szewczyk nabywa konia na własne ryzyko. Zdawało się, że sprawa jest przegrana, mimo sympatii ogólnej dla Szewczyka i niewiary w sumienność świadka. Zdawało się, że chyba Szewczykowi zostanie jedyne bardzo trudne i wątpliwe wyjście – zaskarżyć świadka Korneckiego o krzywoprzysięstwo i udowodniwszy je, co jest rzeczą mało prawdopodobną, dopiero zarządzić rewizję zasądzonego w tej sprawie przeciwko niemu wyroku. Tu wdał się w tok badania świadka Korneckiego ławnik Jerozolimski i wbrew opinii, że Żyd Żyda bezwzględnie popiera i osłania, zręcznym pytaniem zdyskredytował wewnętrzny walor jego zeznania i zdemaskował jego złą wiarę, mogącą być w następstwach groźną dla niego, a w tej sprawie podkopującą zaufanie do jego świadectwa. Wyciągnął ze świadka i zestawił dwa fakty: twierdzenie Korneckiego, że przy sprzedaży choroba parchów była u konia widoczna i nie mogła być uważam za wadę ukrytą, i to, że Kornecki natychmiast po sprzedaży wpuścił konia do swego chlewa, czego oczywiście nie byłby zrobił, gdyby wiedział o parchach, ponieważ to by zapaskudziło jego stajnię czy chlew. Zaprotokółowaliśmy to zestawienie, stanowiące ewentualną poszlakę fałszu w zeznaniu świadka. Na sali pułapka Jerozolimskiego zrobiła sensację. Niemniej pozostał fakt twierdzenia świadka o uchyleniu przez pozwanego rękojmi. Przyszedł ostatni świadek, Żyd Ankul Trzcinka, ciemny prosty uczciwy Żyd z puszczy, nietknięty demoralizacją spekulantów i żydowskich handlarzy końskich miejskich. Ten także był przy sprzedaży, kupiwszy poprzednio od Szewczyka jego konia. I ten nam sprostował istotny sens rzekomego uchylenia rękojmi przez sprzedawcę. Sprostował to bezwiednie, z całą naiwną szczerością. W świetle jego zeznania ujawniło się, że sprzedawca, domyślając się choroby konia i bojąc się, by nabywca później się nie cofnął, gdy mu ludzie wskażą wadę, nalegał na zapłacenie całej ceny gotówką i nie zgadzał się na zakredytowanie części, mówiąc, że gdy nabywca wszystko zapłaci, to przynajmniej sprzedaż będzie ostateczna i dokonana. To więc nie było umowne zastrzeżenie uchylenia rękojmi. I Szewczyk byłby zaraz sprawę wygrał, gdyby nie dowcip Goldberga, stojącego w charakterze adwokata pozwanego Piotra Pikulińskiego. Zręcznym manewrem, budzącym znowuż wrażenie na sali, zgłosił ewentualne powództwo wzajemne o zasądzenie od powodu, na wypadek uwzględnienia powództwa głównego, zwrotu dochodów, które powód miał z użytkowania konia, ponieważ uprawiał nim swoje pole ozime i zarobkował zwózką drzewa. Na dowód powołał się Goldberg na świadków. Powództwo wzajemne, jako w założeniu uzasadnione, musiało być przyjęte, przez co sprawa się odwlekła; pozwany zyskał na czasie, ale sąd w rezolucji incydentalnej, odraczającej sprawy, stwierdził udowodnienie żądań powództwa głównego, stwarzając prejudycjalną przesłankę dla gwarancji praw Szewczyka.

8 grudnia, rok 1917, sobota
Okazało się, że dzisiaj święto i normalnych zajęć w sądzie nie ma. Dwa dni świąt z kolei w Kolnie – to wściekła nuda. Plon nowych spraw z całego ubiegłego tygodnia wynosi – dwa powództwa cywilne i jedna sprawa o zbadanie świadków na rekwizycję sądu pokoju w Szczuczynie. Poza tym – kilka odroczonych spraw z ubiegłych sesji w tygodniu. Liczyłem, że dzień dzisiejszy przyniesie kilka nowych spraw, ale wypadło święto. Brak mi już spraw do wypełnienia ostatniej grudniowej sesji na dzień 21 grudnia, a na sesje styczniowe mam już tylko sprawy poodraczane, a żadnych nowych. W nadchodzących tygodniach oczekuję przyjazdu do Kolna na rewizję, czyli tzw. wizytację mojego sądu prezesa sądu okręgowego z Łomży, p. Filochowskiego. Przepisy przechodnie o organizacji sądownictwa polskiego nakazują takie wizytacje wszystkich sądów pokoju przez prezesa lub w jego zastępstwie sędziego okręgowego dwa razy do

roku. Prezes już zapowiedział listownie swój przyjazd na wizytację w tym miesiącu, zapytując, czy znajdzie się w Kolnie nocleg na dwie osoby i czy można będzie stąd dostać furmankę do Myszyńca. Na kiedy przyjedzie – tego nie pisze, bo wizytacja podług ustawy powinna być niespodziewana. Nie wiem dokładnie, na czym taka wizytacja polega; przypuszczam, że dotyczy tylko rewizji kasy i biurowości i że nie wchodzi zupełnie w sferę merytoryczną czynności sędziowskich. Będzie pewien kłopot, bo trzeba będzie przyjąć prezesa jakimś obiadkiem, zaimprowizowanym u mnie. Byle nie przyjechał w dniu sesji sądowej.
Dzień dzisiejszy, pomimo święta, spędziłem prawie cały w sądzie. Tylko na obiedzie byłem u Chodnickiej, u której się stale stołuję i wieczorem byłem na herbatce u Goldberga. W sądzie pisałem dziennik, list do Herbaczewskiego, wyrok w formie ostatecznej w sprawie Kubrak-Kamieński, w której pozwany wnosi apelację, wreszcie wystudiowałem sprawy na nadchodzącą sesję środową. Poczty dziś nie było, bo Niemcy korzystają ze święta katolickiego w kraju, aby też świętować. Przez dwa dni będziemy bez gazet.
Pozawczoraj miałem list od Jana Vileišisa z Wilna, bardzo serdeczny i miły. Wzywa mię do powrotu do kraju, zastrzegając się, że robi to tylko we własnym imieniu, widocznie abym nie pomyślał, że to jest jakieś zaangażowanie mię urzędowe z ramienia Litwinów. Wskazuje, że teraz jest czas, kiedy kraj szczególnie potrzebuje skupienia wszystkich sił dla pracy nad jego przyszłością i dobrem. Rozumiem to bardzo dobrze i chętnie bym do Litwy wrócił, gdyby po pierwsze Niemcy mię puścili i po drugie gdybym miał jakiekolwiek widoki utrzymania się w Wilnie. Nie jestem pewny, czy mój udział w wypadkach krajowych w Litwie jest już potrzebny i znajdzie zaraz zastosowanie; mając wszakże jakiś punkt oparcia się i nie będąc zmuszonym do chwytania się byle czego, rozejrzałbym się tam i oczywiście w stosownym momencie przydał. Marzę o tym, żeby się doczekać chwili organizowania się sądownictwa litewskiego i zająć odpowiednie stanowisko sędziego w Wilnie. Wtedy bym mógł i w stosunkach politycznych krajowych znaleźć zastosowanie dla siebie.
Co do Polski, to mój pobyt w niej jest zupełnie zbyteczny. Jestem w Polsce tylko sędzią pokoju w Kolnie i niczym więcej. Niczym też więcej tu być nie chcę. Cała uwaga moja i cała chęć ewentualnego działania skierowuje się u mnie tylko i wyłącznie do Litwy. Czekam tej chwili, kiedy będę mógł skierować tam istotnie mój czyn. Gotuję się do tego w sumieniu i woli mojej. Ale kiedy to przyjdzie!

9 grudnia, rok 1917, niedziela
Przyjemną mam dziś rzecz do zanotowania. Mogę się spodziewać przyjazdu Maryńki do Kolna. Gdym koło południa wstąpił do sądu, zastałem tam naszego kolneńskiego doktora niemieckiego, p. Rau, który przyszedł mię szukać. Dowiedziałem się od niego, że do władz powiatowych przyszło zapytanie w sprawie podania Maryńki o pozwolenie na przyjazd do Kolna i że w tej sprawie doktor zgłosił się do mnie, by mię zbadać, ponieważ Maryńka powołała się w swej prośbie na moją chorobę. Doktor był tak uprzejmy, że się sam pofatygował do mnie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafił akurat na chwilę, kiedy właśnie szybko wbiegłem po schodach do sądu i byłem trochę zdyszany. W takich chwilach mam zawsze gwałtowne bicie serca, a przecie właśnie na moją chorobę serca powołała się Maryńka.
Gdyby doktor mię zastał w mieszkaniu lub nawet w sądzie, ale w chwili, gdy siedzę spokojnie, nie byłby zapewne mógł stwierdzić jakiejś wybitniejszej wady w sercu, ponieważ na ogół w tych czasach czuję się nieźle i serce funkcjonuje, zdaje się, dobrze. Ale akurat doktor trafił w porę. Z radością poczułem, że serce bije mocno, jak na obstalunek. Doktor przyniósł ze sobą nawet słuchawkę. Natychmiast obnażyłem pierś i

doktor wysłuchał bicia mego serca, zbadał puls, który oczywiście także wyprawiał hece i stwierdził, że rzeczywiście jestem chory. Z czystym sumieniem, bez blagi powiedziałem doktorowi, że czekam przyjazdu Maryńki po prostu dla odwiedzin, nie specjalnie dla serca, ale że choroba serca daje dobrą przyczynę dla przyjazdu. Doktor zapewnił, że opinię wyda przychylną na rzecz pozwolenia przyjazdu i że przyjazd dojdzie do skutku. Co do choroby serca, to ją stwierdzi w swej opinii, bo się zresztą o niej rzeczywiście przekonał. Widocznie moje biedne serce zaprezentowało się jemu rzeczywiście marnie, bo mię jeszcze spytał, czy nie doświadczam brzęknięcia nóg. Zapewniłem go, że nie. Za bardzo już doktor wini moje serce! Nie jest ono w istocie jeszcze tak złe. Tego by jeszcze brakowało, żeby mi już nogi puchły w wieku lat 37. Wierzę teraz, że Maryńka przyjedzie. Cieszę się z tego bardzo. Spędzimy z nią mile w tym odludziu kolneńskim zacisznie jakichś parę tygodni. Będzie nam dobrze w mojej małej gospodareczce. Napiszę zaraz do Maryńki, uprzedzając ją o dobrej nowinie. Gdy będzie przyjeżdżać, pojadę na jej spotkanie do Łomży. Przyjazd jej wypadnie prawdopodobnie gdzieś koło samych świąt. Miałem na święta wybrać się do Warszawy, ale chętnie tego zaniecham dla jej przyjazdu. Co mi tam po Warszawie! Przynajmniej oszczędzę kosztu, a te pieniądze wyjdą mi lepiej na jej przyjęcie. Wolę, żeby Maryńka nie śpieszyła zbytnio i przyjechała najlepiej w czasie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem i tak, żeby jeszcze jakiś czas po Nowym Roku zabawiła. W okolicach Bożego Narodzenia będę miał czas zupełnie wolny, a chciałbym, żeby po Nowym Roku Maryńka i na paru moich sesjach sądowych była i widziała mię w pełnieniu czynności sędziowskich.
Całe długie poobiedzie przez kilka godzin zajęty byłem w sądzie pisaniem wyroku w ostatecznej formie w sprawie Kajmanów dla apelacji, którą wnosi stara Kajmanowa. Była to duża praca, ale ciekawa. W ogóle lubię pisanie wyroków w formie ostatecznej. Jest to robota ściśle umysłowa, głęboka, a w tej sprawie przyjemna także przez to, że mi miłą Zełdę Kajman w pamięci żywo odświeżała.

10 grudnia, rok 1917, poniedziałek
Przeraźliwie nudny dzień. W sądzie przez cały dzień martwo i taka pusta cisza, że każdy szelest zdaje się hałasem. Wszystko takie samo i niemrawe, jak w wymierającej instytucji. Przesunęło się nawet kilku interesantów przez kancelarię, ale to jakoś tak głucho, że ani śladu było życia. Żadna nowa sprawa nie wpłynęła, mimo że poprzednio były dwa dni świąt, a przedtem dzień sesji, w którym skarg się nie przyjmuje. Jedyne, co dziś wpłynęło, to prośba niejakiego Baranowicza o rozłożenie na raty wypłaty zasądzonej sumy. Nie wiem, co to jest, że ruch spraw w sądzie jest tak mały i że nie tylko się nie podnosi zimą, ale zdaje się coraz bardziej padać. Słota ustała, błota nie ma, cienka warstewka śniegu łagodzi grudę, drogi są gładkie jak szkło, mrozik niewielki, zdawałoby się więc, że trudności wielkich do przybycia do Kolna, gdyby ktoś miał sprawę do wniesienia, nie ma. Widocznie jednak nikt nic nie ma. Świadczy to o wielkim zastoju gospodarczym, a zresztą ze stanowiska społecznego współżycia brak spraw w sądzie jest objawem dodatnim zaniku pieniactwa. Ale dla mnie osobiście czas by o wiele milej upływał, gdybym miał więcej pracy i większy ruch. Jestem taki, że kocham się w życiu i w jego wartkim prądzie. W sądzie to życie płynie przede mną w sprawach i w ich ruchu poję się nim. To jest moja przyjemność, która jest zresztą większa, niż przyjemność tylko widza, bo jednocześnie mam władzę interweniowania w to życie i kierowania nim jako sędzia.
Z poczty dziś także nic nie było. Gazety warszawskie nie przyszły wcale.
W wypadkach rosyjskich jesteśmy, zdaje się, w przededniu ich wykrystalizowania się. Dnia bowiem 11 grudnia, nie wiem tylko, starego czy nowego stylu, ma się zebrać

Konstytuanta rosyjska. Ona to nada dopiero stateczność rządom bolszewickim i zarazem sprawie rokowań pokojowych. To, co Lenin z Trockim robią przed Konstytuantą, ma z natury rzeczy charakter prowizoryczny. Lenin jednak i Trocki, będąc widocznie pewni Konstytuanty, działają kategorycznie, po linii wytkniętej, nie krępując się tworzeniem faktów dokonanych i precedensów, od których trudno się będzie nawet Konstytuancie cofnąć. Takim było ogłoszenie tajnych dyplomatycznych dokumentów wojennych, dalej – wezwanie do pokoju powszechnego i zawieszenia broni w drodze bezpośredniego porozumienia z wrogiem, wreszcie – rozkaz o konfiskacie prywatnej ziemiańskiej („помещичьей") własności ziemskiej. Akty te, jak zwłaszcza zawieszenie broni i konfiskata ziemi, są takie, od których cofnięcie się jest prawie niepodobne, bo tak odpowiadają one popularnym pragnieniom mas ludowych rosyjskich, że te pod żadnym już pretekstem, gdyby nawet miał się zmienić polityczny charakter rządu, nie ustąpią z placówek pokoju i ziemi, danych im przez bolszewików. Zresztą, jak można wnosić z gazet, w Konstytuancie większość będzie bolszewicka, czyli maksymalistyczna, przy dość znacznej ilości kadetów, powołanych z miast.
Zastanawiająca jest postawa Ameryki. Gdy mocarstwa koalicyjne Europy – Anglia, Francja i Włochy – protestują przeciwko pokojowym krokom Rosji i zdają się z nią zrywać, poseł amerykański Stanów Zjednoczonych w Rosji robi gesty, tchnące uznaniem rządu bolszewickiego i utrzymaniem stosunków z Rosją nawet bolszewicką. Czy nie jest to pułapka na Rosję, aby z bliska czuwać nad biegiem kombinacji pokojowych i móc intrygą i insynuacją w stosownej chwili je zniweczyć, podszywając się pod demokratyczne hasła?
Co to będzie z tą niesłychaną reformą agrarną w Rosji? Bolesna ona jest dla tych, których wywłaszcza i bardzo trudna do realizacji, prawie niewykonalna, zwłaszcza w chaosie i niskim poziomie kultury technicznej i społecznej w Rosji, ale nie pozbawiona głębokiej idei sprawiedliwości społecznej oraz w tej formie, w jakiej została ogłoszona, – logiki konstrukcyjnej. W trwałość jej jednak nie wierzę. Przypuszczam, że dokona ona tylko przewrotu własności i wydziedziczając obecnych ziemian da genezę nowym klasowym stosunkom własności.

11 grudnia, rok 1917, wtorek
Wpłynęły trzy nowe sprawy cywilne z powództw. Jak na te czasy – to dużo. Przekroczyliśmy dziś setkę spraw cywilnych, wytoczonych przed sąd pokoju w Kolnie od dnia przejścia sądownictwa w ręce polskie. Ostatnie numery przed setnym wpływały niezmiernie ociężale. Zdawało się, że sprawy ociągają się przekroczyć próg setki. Do numeru 90 – wpływały sprawy równym tempem; sprawa nr 90 wpłynęła 23.XI; była to sprawa Ignacego Szewczyka przeciwko Piotrowi Pikulińskiemu, którą zreferowałem w dzienniku przed kilku dniami i która szczególnie prędko dostała się na wokandę. Po dziewięćdziesiątce sprawy zaczęły się ociągać leniwie, płynąc zaiste żółwim krokiem. Ostatni numer przed setką, nr 99, wpłynął 6 grudnia. I dopływ jakby ustał. Numer 100 nie wpływał. Aż wreszcie dziś się przez setkę przewaliło. Ciekawy jest jednak objaw ten, że sprawy, które obecnie wpływają, są jedynie i wyłącznie z samego miasta Kolna. Wieś już od dwóch tygodni nie dała ani jednej sprawy. Nie wiem, czemu przypisać ten objaw. Czy to Adwent tak działa na chłopków, że pod wpływem religijnego nastroju zaniechali wszelkich sporów? Jeżeli to ma być wyrazem prądu moralnego, to i owszem, lepsze to, niż pieniactwo.
Co do rewolucji rosyjskiej, jak z gazet wnosić można, biegnie ona już stanowczo za szybko i zachodzi za daleko. Pęd jej staje się po prostu katastrofalny ze stanowiska pojęć o organizacji społecznej i państwowej. Coraz to nowych dokonywa ona „reform", burzących cały ład ludzki, znany dotychczas we wszelkich nastrojach. A więc: a) w

Rosji zniesiono wszelkie sądy i zawieszono moc ustaw procedury i istniejącego prawa; działają tylko sądy *ad hoc*, złożone z jednego robotnika, jednego chłopa i jednego żołnierza; „sądy” te nie są ograniczone żadnym przepisem prawa materialnego ani procedury, a jedyną normą postępowania i jurysprudencji jest sumienie sędziów; b) wszystkim urzędnikom państwowym, bez względu na stanowisko i rodzaj pracy, wyznaczono jedną pensję, wysoką – po 500 rubli miesięcznie; c) Rosja ogłosiła nieważność wszelkich pożyczek zagranicznych, zaciągniętych przez poprzednie rządy i zaprzestała płacenia od nich procentów, co się równa bankructwu, wiadomo zaś, że suma tych pożyczek wynosi monstrualną kwotę kilkudziesięciu – pono do 70 – miliardów rubli czy franków; d) w ogłoszonej reformie agrarnej czyli „dekrecie o ziemi”, nie tylko skonfiskowano natychmiast bez wykupu wszelką prywatną własność rolną ziemiańską (dworską) wraz z całością zabudowań, wszelkiego inwentarza i plonów oraz zapasów, ale także ustanowiono tzw. normę roboczą („трудовая норма”) posiadania ziemskiego na przyszłość, to znaczy, że wyłączne bezwzględne stosowanie pracy najemnej w stosunku do ziemi i posiadanie indywidualne dopuszczono wyłącznie w ramach osobistej i bezpośredniej uprawy ziemi. Taka jest osnowa głównych aktów, już dokonanych w reformie młodej rewolucji rosyjskiej. Tak przynajmniej podają gazety. Nie wiem, czy można temu wszystkiemu bez zastrzeżeń wierzyć i czy się nie okaże w tych wieściach przesady. Takie rzeczy, jak zniesienie sądów i wymówienie pożyczek zewnętrznych, byłyby czymś prawie nieprawdopodobnym we współżyciu tak wewnętrznym rosyjskim, jak międzynarodowym, nie mówiąc o ryzykownej i prawie że bajecznej co do trudności wykonania wielkiej reformie agrarnej. Ale rewolucja ma to do siebie, że rozpoczęta – o ile jej bieg jakąś siłą wyższą z zewnątrz wstrzymany nie zostanie – musi dobiec konsekwentnie aż do ostatecznych swoich konkluzji, nie znając hamulców wewnętrznych ani opamiętania. Sama się w pół drogi nie wstrzyma nigdy. Biegnie ona po linii prostej, a im dalej i im rozpęd jej jest większy, tym linia prostsza. Nie przypuszczam możliwości, żeby jakikolwiek rząd zdołał dziś odwrócić Rosję od ostatecznych celów jej rewolucji, cofnąć wstecz reformę agrarną, uśmierzyć rozpętaną namiętność ziemi i tym bardziej nawrócić ją do wojny mocarstwowej u boku koalicji. Wprawdzie są znów wieści, że Konstytuanta ma się w większości składać z umiarkowańszych odłamów prawicy socjalistycznej, ale już rozpęd, nadany biegowi rewolucji przez rządy bolszewickie Lenina, odwołać się nie da. Rosja odwróci się i cofnie wstecz, ale dopiero wtedy, gdy dobiegłszy do ostatnich konsekwencji rewolucji, sparzy się na nich i zamiast raju, przez czyściec zakosztuje piekła. Wtedy w drodze reakcji cofnie się wstecz i wróci do form ustroju, na jaki ją w jej kulturze i dojrzałości społeczno-gospodarczej stać, ale to nastąpi nieprędko zapewne i w każdym razie jeszcze nie dziś i nie jutro. Dopiero wtedy, gdy się dobrze i mocno sparzy. Znajdzie się ktoś sprytny i silny, kto wyczeka tej chwili i wtedy ją jak owoc dojrzały zgarnie do swego jarzma, biorąc cugle mocnej władzy w ręce. Jeżeli nie pęknie Rosja w katastrofie zewnętrznej, znajdzie swego Napoleona, jeżeli nie na drodze wojennej, to na drodze cywilnej. Ale wpierw jeszcze – *vivat* Rewolucja! Ona dziś włada Rosją.

12 grudnia, rok 1917, środa
Była dzis sesja, ale prawie że jej nie było. Z sześciu wyznaczonych na wokandę spraw – pięć wcale merytorycznie rozpatrywanych nie było. W trzech sprawach strony się nie stawiły, wskutek czego sprawy te spadły z wokandy, w jednej stawił się tylko pozwany i prosił o umorzenie sprawy oraz zasądzenie mu wynagrodzenia strat, jedna została odroczona, ponieważ wskazane pierwotnie miejsce zamieszkania pozwanego okazalo się mylnym, co dopiero na sesji zostało przez powoda sprostowane, i wreszcie jedna tylko sprawa, ostatnia, uległa sądzeniu *in merito* i została zasądzona wyrokiem

zaocznym, na który zapewne zostanie założona opozycja. Sprawa ta zapowiadała się bardzo ciekawie i może być pełną komplikacji. Zdaje się, że jeszcze wypłynie. Nudna i głucha była sesja dzisiejsza. Cała publiczność składała się coś z trzech czy czterech osób, które bardzo prędko się ulotniły. Ławnicy zasiadali: Stachelski i Remba. Strasznie mi samotnie w Kolnie, a zwłaszcza, że za mało roboty. Niczym innym, jak tą robotą, nie żyję. Poza nią życie mam puste i niczym nie zapełnione. Żadnych rozrywek, żadnych namiętności, żadnej głębszej treści. W długie wieczory, gdy chwilami nic nie robię, jak również rano, gdy o świtającym dniu się budzę i czas jakiś jeszcze leżę, odwlekając chwilę wstawania w chłodzie mojego pokoju, myśl moja ulata we wspomnienia lat dawnych i różnych życia mego i stosunków okoliczności. Rano treść tych wspomnień raźniejsza, barwy weselsze, przeszłość odtwarza się w epizodach przedmiotowych, a zasób energii żywotnej nie pozwala zapominać o przyszłości. Ale wieczorem jest gorzej. Wspomnienia z najsubtelniejszą dokładnością czepiają się kochanych osób zmarłych, rzeźbią obrazki stosunków i epizodów ubiegłych życia, zabarwiają je głębokim uczuciem smutku, kolorytem tęsknoty i żalu, które sprawiają ból niemal fizycznie dotkliwy i taki ciągły, taki ściskający za serce, że by się wyć i wołać chciało powrotu tego, co już nie jest i już nigdy nie będzie. Tak mi nieraz we wspomnieniach przychodzi Mama, taka kochająca, taka swoja, taka ofiarna i oddana, jedyna, jaką tylko moja Mama była! I czuję się jej dzieckiem a Ona nade mną wielka, kochająca, żyjąca we mnie i wypełniająca moje życie – Matka. Mama moja, która już nie była sobą, która już przestała być jednostką indywidualnie odrębną i w sobie dla siebie żyjącą, a stała się cała Matką, w nas i nami żywą! Rwie się i płacze głucho w piersi serce na tę myśl szaloną, że Mama umarła. Gdy człowiek dochodzi do wieku, w którym młodość ma już za sobą, przeszłość jest dla niego bodaj aktualniejszą i prawdziwszą od teraźniejszości. Jakież piękno i ileż głębi, ile bogactwa przeżyłem! Nie jestem stary, ale życie prześliczne i przebarwne mam za sobą. A gdy znów myślą do córki mej, Cesi, biegnę, córki, której osobiście nie znam i która jest tylko legendą mej świadomości, z żalem myślę, jak dla niej ta kochana Mama moja będzie tylko z imienia babką, obcą, nic jej sercu nie mówiącą, jak tysiące przodków, których się nie znało. To czucie żywej Mamy, tej mojej jedynej, nie będzie Cesi znane, jeżeli nawet w najlepszym razie kiedyś tę córkę moją poznam i zespolę się z nią w stosunku ojcowskim. Największy ból jest wspomnień tych, których żywi uczestnicy – ludzie umarli. Nie mówię już o tym największym ze wszystkich dla mnie, tym, którego sama myśl, bez wymienienia imienia, rani. Gdy myślę o żywych, tęskno mi do nich i smutno, że o nich nie wiem, ale przecież bólu nie czuję. Do nich należą Kotuńka i Elwira. Często o nich myślę, z niepokojem kombinuję los, jaki teraz mieć muszą, dramat, jaki się w ich sercach i całym życiu dokonywa, gdy im rewolucja rosyjska wydziera Bielcz lub Wiązowiec. Zwłaszcza Bielcz dla Pruszanowskich. Ciężko im być musi. Kto wie, przez jakie koleje wypadków przechodzą, gdzie są i co je czeka. Tu, pomimo ciężkich warunków, życie płynie nam równo i jakoś się z dnia na dzień ciągnie i żyje. Ale co tam, jakie tam osobiste katastrofy i tragedie życia!

13 grudnia, rok 1917, czwartek
Gazety przyniosły wybitny wypadek wojny: Anglicy zdobyli Jerozolimę. W egzotycznych krajach azjatyckiej Turcji, na tym ponętnym Wschodzie, który ma taki dziwny mistyczny urok dla każdego Europejczyka, Anglikom powodzi się dobrze. Tam sobie wetują to, czego w Europie dokonać nie są w stanie. Arabia, Mezopotamia, bajeczny Bagdad, wreszcie Palestyna – są we władzy Anglików. Obecnie upadek Jerozolimy zrobi duże wrażenie w całym świecie, zarówno chrześcijańskim, jak żydowskim. Sukces moralny tej zdobyczy jest niewątpliwy.

W Kolnie u mnie dzień martwy. Wieczorem wypadł lekki śnieg, który złagodził straszną ślizgawicę, jaką mieliśmy od dni kilku. Czekam tej chwili, kiedy przyjedzie Maryńka, a przynajmniej jej odpowiedzi na mój list, zawiadamiający ją o przychylnej decyzji władz kolneńskich na jej prośbę. Będę się cieszył, kiedy już będę miał konkretną zapowiedź jej przyjazdu i będę mógł czekać przyjemnego terminu.
W Kolnie prowadzę żywot zupełnego pustelnika. Moim jedynym ogrodem na pustyni jest sąd. Zresztą i on się mało od pustyni różni.
Tutaj się w tej samotności dopiero czuje, jakim ciężkim brakiem jest dla człowieka brak towarzyszki życia. Nie mówię już o wielkim i jedynym szczęściu posiadania kochanej i kochającej żony, takiej wspólniczki, jakąm miał w Anince. Tego się dwa razy w życiu mieć nie może i żaden związek tamtemu nie dorówna nigdy. Ale żeby mieć choć jakąś kobietę, jakąś dziewczynę swoją, serdeczną, z którą pożycie byłoby zadzierzgnięte przynajmniej węzłem jakiegoś uczucia! Niestety – i to jest już mało prawdopodobnym. Związek mężczyzny z kobietą może albo być całkowitym, albo nie jest żadnym związkiem. Formy płatnego najemnictwa kobiety do „usług" kochanki, zarówno jak formy małżeństwa, które się li tylko na rutynie opierają, związku stanowić nie mogą i zadowolenia dać ani tym bardziej pełni życia – nie są w stanie. Płatne najemnictwo kochanki dobre jest dla przelotnej uciechy w łóżku, gdzie jednak także stanowi tylko blady cień prawdziwej uczty, jaką daje rozkosz obcowania w miłości. Co zaś do małżeństwa formalnego i rutynowego bez miłości, to ono li tylko na istnieniu dzieci ognisko domowe zakładać może. To zaś, co jest najwyższym szczęściem samego związku mężczyzny z kobietą, co jest jedyną i prawdziwą pełnią szczęścia – to tylko w miłości się iści, bez względu na to, czy jest ona w postaci wolnej, czy też związanej urzędowym małżeńskim aktem. Mieć kochankę, mieć kobietę do użytku swego – najemną – to na nic. Albo się w stosunek ten wwiąże uczucie, które scementuje związek, albo też nie będzie nic prócz nędzy pozorów, po których zostaje tylko sekunda złudzenia i następnie – godziny obrzydzenia. A życie tymczasem biegnie i człowiek jest coraz starszy fizycznie, coraz mniej ma tego uroku, wiążącego uczucia kobiece. Dziś już o miłości kobiet nie marzę. Miałem pod tym względem przeszłość bogatą i pełną romantyzmu uczuciowego, gdym był w wielu od lat 20-30. W dzienniku moim, który zacząłem pisać w r. 1911, śladów tego już nie ma. Miałem wtedy do kobiet szczęście. Wszystkie to jednak „szczęście" nie oddałbym za jedną, ostatnią, miłość Aninki.

14 grudnia, rok 1917, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy – Kocik i Remba. Spraw na wokandzie było siedem, prawie wszystkie – o zakłócenie posiadania. Sesja trwała do godz. 4 czy 4 ½ po południu. Sprawy tego rodzaju zwykle się ciągną dość długo i są zawiłe, bo ani strony, ani świadkowie się nie orientują i nie umieją odróżnić kwestii prawnej własności od kwestii faktycznej posiadania, co komplikuje bardzo bieg sprawy. O ile z jednej strony staje adwokat, to sprawa taka względnie idzie łatwiej, ale najgorzej jest, gdy strony zaufają własnym siłom i własnemu dowcipowi. Same na tym nieraz tracą, a trzeba się z nimi na sądzie jak z dziećmi cackać. Dzisiaj zaś w całym szeregu tych spraw tylko w jednej stawał Goldberg i to miał najniewdzięczniejszą ze wszystkich. Gdyby go nie było, sprawa jego klienta-mocodawcy byłaby z całą pewnością przegrana, on zaś ją potrafił w ten sposób wykręcić, że na razie została odroczona, chociaż wątpię, czy zdoła on ją od przegranej uratować. Większość spraw dzisiejszych pochodziła z sesji z d. 14.XI., na której to sesji zostały one odroczone.
Bardzo daleko odbiegłem teraz uwagą moją od wewnętrznych stosunków politycznych polskich. O ile dawniej pilnie analizowałem ewolucję Sprawy Polskiej w związku z wypadkami wojny, konstelacją międzynarodową i wewnętrznymi procesami w łonie

społeczeństwa polskiego, o tyle teraz rzeczy te mię mniej daleko obchodzą. Czytam o nich w gazetach, ale ani szczególnej baczności, ani nadzwyczajnego znaczenia do nich nie przywiązuję. Wyznam, że Sprawa Polska i jej dalsze losy zobojętniały mi w bardzo dużym stopniu. Nie powiem, żeby przyszłość i wolność Polski przestały mię całkowicie obchodzić, nie. Bądź co bądź z kultury i w przeważnym stopniu z tradycji rodzinnej jestem Polakiem. Sprawa Polski, jej wolność, której tyle wspaniałych bohaterskich wysiłków i ofiar poświęcono w w. XIX i która taką aureolę najszlachetniejszego rycerstwa i najszczytniejszego czynnego męczeństwa w dziejach narodów posiadła, nie może być całkiem obca mojemu sercu. Wreszcie już sam ten fakt, że osobiście w Legionach Polskich czynny udział brałem, spokrewnił mię jeszcze bardziej ze Sprawą Polską. Ale o ile o samą Polskę chodzi – wolność jej i niepodległość jest już faktem, który chyba cofnięty być nie może. Z tego też punktu sprawa ta już sama przez się aktualnie wzruszać mię dziś szczególnie nie może. Natomiast, o ile chodzi o wewnętrzną Polski ewolucję społeczną, o jej budownictwo państwowe w ramach zdobywanej niepodległości, układ czynników, jaki się w Polsce ukształcił, nie przemawia mi gorąco do serca; raczej przeciwnie – czuję żal i niesmak: panoszy się w niej Kukowski, u stery Klerykalizm i Możnowładztwo, ubierające się w szaty jakiegoś słodkawego oportunizmu quasi-demokratycznego, hasła imperializmu politycznego i wstecznictwa społecznego panują niepodzielnie, ani jednej nawet gazety demokratycznej nie ma, lud jest niemy, a co jest tęższego, co jaskrawszego i tchnącego rzetelną wolnością – to gdzieś stłumione, ukryte lub umęczone i nikt się o to nawet nie upomni. Przykład: Piłsudski, legioniści w Szczypiornie, sparaliżowanie całego ruchu „lewicowego”, który wprawdzie i sam nie był od zarazka imperialistycznego wolny. Długo o tym by mówić! Klerykalizm i duch szlachecki głęboko się w kulturę i w cały charakter narodu polskiego wżarły. Kocham naród polski, który jest zdolny i wrażliwy, ma rysów dużo pięknych, wydaje z siebie w chwilach osobliwych niespodziewane iskry wielkiego czynu i szlachetnego zapału na tle biernym i gnuśnym bezładu większości. Kocham go, ale tym dokładniej widzę jego braki, tym boleśniej czuję tę niemoc, która masę narodową toczy. Widzę, jakie w narodzie polskim, w jego składzie dominującym są wady nie tylko dla własnej jego ludu wolności, ale i dla wpływu ujemnego na losy krajów i narodów sąsiednich. Jakżebym pragnął widzieć ten naród wielkim i wolnym nie tylko na zewnątrz, ale i wewnętrznie. O głównej wszakże przyczynie mego zobojętnienia na sprawy polskie powiem innym razem. Wiąże się ona z zasadniczymi bodźcami moich sympatii.

15 grudnia, rok 1917, sobota
Dziś była w sądzie sesja do spraw czysto chrześcijańskich, analogiczna do sesji czysto żydowskiej z d. 5.XII. Zasiadali ławnicy Franciszek Stachelski i Józef Kocik. Spraw na wokandzie było siedem, w tej liczbie trzy karne i cztery – cywilne. Oprócz jednej karnej, która została umorzona za niestawieniem się oskarżycielki prywatnej, reszta wszystkie były sądzone. Goldberg nie miał dziś żadnego żniwa, bo w żadnej sprawie nie stawał. Przyszedł biedak na sesję, pokręcił się i wyszedł z kwitkiem, bo żadnego klienta nie znalazł. Żal mi go, biedak jest stropiony takim ubóstwem praktyki. Nic na to poradzić nie mogę, choć i Goldberga mi żal i rozumiem, że samym interesantom w bardzo wielu wypadkach byłoby korzystniej mieć go do pomocy. Kurpie są tak skąpi i zarazem nieufni, że nie biorą adwokata, bo żałują wydatku i jednocześnie posądzają, że adwokat może czy to wejść w zmowę z przeciwnikiem, czy inną jakąś sztuczkę, w której się oni nie orientują, wykręcić na ich szkodę. Straszna jest pod tym względem ciemnota. I sami bardzo często podwójnie na tym tracą. Natomiast z usług rozmaitych pokątnych doradców, złodziei i pijaków, którzy z nich skórę zdzierają, korzystają

nieraz. I co ciekawsze, że takim oszustom i żebrakom, którzy niesumiennie i bez żadnej znajomości prawa po partacku im prośby i skargi piszą, płacą często drożej, niż adwokatowi, który się zna na rzeczy i który jest odpowiedzialny. Ale taki pokątnik ma swoje sidła, ma swoich zaufanych zauszników, którzy umieją podejść ciemnego chłopa, znają na wylot jego psychologię i łapią go w pułapkę. W chłopie bowiem łączy się ciemna i zaciekła nieufność z naiwną łatwowiernością. Trzeba go tylko umieć wziąć. Pokątnik i jego zausznicy przez swoją dostępność, przez poufałość z chłopem łatwiej go nieraz pozyskają, niż adwokat, który w pojęciu chłopa jest już panem i do którego on nie czuje takiego prostego dostępu. Oprócz opisanego w moim dzienniku wypadku z takim pokątnym doradcą Roszkowskim, wypadku w okręgu kolneńskim za mojego urzędowania dotąd jedynym, natrafiłem na liczne ślady działania innego złodzieja tej kategorii w Łomży: wpłynął już za moich czasów cały szereg podań, redagowanych i podpisanych za niepiśmiennych przez tego jegomościa i wszystkie te podania bez wyjątku były nic niewarte i żadnego skutku nie miały, prócz straty tego, co głupi chłop oszustowi zapłacił. W tych samych wypadkach, gdyby się ciż interesanci zwrócili do Goldberga w Kolnie lub do jakiegoś w Łomży adwokata, mieliby sprawę postawioną mocno. Nieraz sam radzę chłopu, którego interes jest skomplikowany i którego sam on nie umie dobrze wyprowadzić, żeby ze względu na własną korzyść udał się do adwokata. Ale gdzież tam! Żałuje pieniędzy i naiwnie oświadcza, że polega na sądzie i zadowoli się tym, jak sam sąd rzecz rozważy. Nie umie sobie wyobrazić, że sąd nie może być jednocześnie obrońcą i doradcą jednej strony przeciwko drugiej i że inicjatywa tylko w drobnej cząstce może zależeć od sądu, który z natury rzeczy musi zachować bierną bezstronność dla zachowania równowagi w sporze i nie może ani sporu rozszerzać w zakresie, ani też nadawać mu kształtu i konkretnych żądań bez wyraźnego żądania samych stron. Nie wiem, czy wszędzie chłop jest pod tym względem tak bezradny i ciemny, jak tu na Kurpiach często bywa. Jaką zaś często bywa nieufność chłopa do adwokata, to świadczy takie np. zdarzenie, że chłop, który zlecił adwokatowi swoją sprawę i w którego imieniu Goldberg już wniósł skargę powodową, przychodzi sam po kryjomu do kancelarii i prosi, aby mu sekretarz Miętkiewicz odczytał wniesioną skargę, by się przekonać, czy czasem adwokat go nie oszukał i czegoś w niej przeciwko niemu nie napisał. A znowuż ta nieufność chłopa ma cechy posądzenia każdego o to, że gotów będzie za jakiś datek sprawę załatwić tak, jak tego dający pragnie. Ileż to razy przynosili i proponowali mi czy to w sądzie, oczywiście nie na sesji, czy nawet w mieszkaniu moim prywatnym – bądź jajka, bądź masło, bądź inne jakieś produkty wiejskie. Najczęściej przynoszą ten datek w koszyczku, ukrytym pod jakąś chustką lub połą, mówią wpierw o swojej sprawie, niby to się radzą, potem oglądają się dobrze, czy aby nikogo nie ma i czy drzwi zamknięte i wtedy głosem przyciszonym a pełnym słodyczy ofiarowują swój datek, wyciągając go spod poły lub spod chustki. Skrzyczę ich za to, zawstydzę, nieraz się uniosę i wygnam z hałasem; zmykają wtedy jak trusie, pokorni i przestraszeni, protestujący przeciwko złym zamiarom. Ale w gruncie nie mogę się poważnie gniewać za to na nich. Niektórzy są zdania, że ten popęd do udzielania datków świadczy o nieuczciwości samych chłopów; że ten, który daje łapówkę i który jest nieufny względem innych, uważając każdego za dającego się przekupić, sam widocznie sumienia nie ma i sam jest taki, bo sądzi innych podług siebie. Ja bym tak srogo chłopa za to nie sądził; przypuszczam raczej, że to wypływa ze smutnego doświadczenia szeregu pokoleń chłopów, którzy jak za czasów pańszczyzny, tak potem za łapowniczych rządów czynowników rosyjskich, tak wreszcie obecnie pod samowolą rządów okupacyjnych, w których, niestety, również kwitnie nadużycie i łapownictwo, bo samowola demoralizuje, tak przywykli do zdzierstwa, którego oni są zawsze ofiarą, że już z góry próbują zawsze dróg utartych, których ich

doświadczenie nauczyło. Nie oni łajdactwo i łapówkę stworzyli. Nauczyli ich tego ci, którzy brali, a brali prawie wszyscy, bo każdy miał nad nimi władzę. To szkoła smutna niewoli.

16 grudnia, rok 1917, niedziela
Byłem zaproszony dziś na godz. 5 przez niemieckiego nadleśnego, p. Hielschera, na herbatkę. Dawno wybierałem się do niego, bo już przed dwoma tygodniami przysyłał on mię prosić, żebym się którego dnia na herbatkę wybrał. Ale się jakoś zwlekało. Wczoraj przysłał on do mnie swoją kancelistkę tłumaczkę z zapytaniem, czy nie życzę sobie kupić u niego zająca za 2 mk. 80 fen. Był tego dnia właśnie z polowania wrócił, na które jeździł z gronem urzędników niemieckich. Ubili sporo zajęcy i kuropatw. Oczywiście dogodną ofertę skwapliwie przyjąłem. Jest to okazja, która się tylko względami uprzejmości dla wybranych znajomych uzasadnia. Dziś zając – za 2 mk. 80 fen. to za bezcen. Akurat mi się ten zając przyda na oczekiwany przyjazd prezesa Filochowskiego. Przy tej sposobności spytałem nadleśnego przez Dywizjonka, który po zająca chodził, czy będę mógł go dziś odwiedzić. W odpowiedzi otrzymałem zaproszenie na godz. 5. Przyjął mię kawą, naturalnie – żywnościową, biskwitami i chlebem z masłem. Był bardzo grzeczny, gawędził, pokazywał mi liczne fotografie rodziny swojej, mówił o swej działalności w leśnictwie tutejszym, o zapoczątkowaniach kultury leśnej, przezeń tu pod zarządem niemieckim stosowanych. Jest tym bardzo przejęty i pragnąłby gorąco przekonać dowodnie o wartości tych prac, o których się w Polsce wie bardzo mało i których się w działalności zarządu niemieckiego nie docenia, bo się w Polsce widzi i mówi tylko o fakcie cięcia i wywozu lasów przez Niemców, przeoczając dodatnie ich kulturalnej twórczej działalności prace. Proponował mi wycieczkę w puszczę na pojutrze, aby mi na miejscu prace wykonane pokazać. Z chęcią się innym razem na wycieczkę taką wybiorę, tym razem wszakże propozycję na wtorek uchyliłem, bo na ten dzień wypaść może właśnie wizyta prezesa. O godz. 7 nadleśny zaprosił mię na kolację do kasyna. Zastałem tam zwykłe towarzystwo kasynowe Niemców; prócz mnie i nadleśnego był naczelnik powiatu v. Cornberg, lekarz powiatowy dr Rau i jeszcze dwóch Niemów, których nazwisk nie wiem. Kolacja, złożona z cielęciny z kartoflami i brukwią, chleba z masłem i serem i herbaty, a potem gawędka przy cygarze i winie reńskim – przeciągnęła się do godz. 11 wieczór. Tym razem, mimo moich braków w języku niemieckim, brałem w rozmowie ciągły i bardzo żywy udział i czas spędziłem w towarzystwie Niemców bardzo przyjemnie. Rozmowa toczyła się na różne tematy, ale najwięcej tyczyła naturalnie tematów politycznych. W szczególności omawialiśmy sprawy Polski i Litwy, polityki niemieckiej względem obu tych krajów, perspektyw ich stosunku do Niemiec, następnie sprawy Legionów Polskich, wreszcie widoków pokojowych i ewentualności, jakie stąd wynikać mogą w ukształtowaniu zagadnień na wschodzie. W toku rozmowy przyszła depesza, donosząca o dokonanym formalnym zawieszeniu broni na całym froncie wschodnim na dni 28. Jest to wypadek pierwszorzędnej wagi. To, co było dotąd, było tylko doraźnym zaniechaniem działań wojennych, którego prowizoryczny termin upływał jutro. Teraz w skutku toczących się w Brześciu Litewskim rokowań formalnych między pełnomocnikami Rosji a pełnomocnikami czterech sprzymierzonych państw (Niemcy, Austro-Węgry, Bułgaria i Turcja) zawarta została właściwa umowa o zawieszeniu broni, czyli rozejmie czterotygodniowym, generalnym na linii frontu rosyjskiego (czy i rumuńskiego?). Po tej umowie preliminarnej należy się już w terminie powyższym spodziewać rozpoczęcia właściwych rokowań pokojowych. Sytuacja więc zmierza w kierunku pokoju. Zresztą innego kierunku dla Rosji chyba że nie ma. Dokonane formalnie zawieszenie broni zdaje się być tym donioślejsze, że w międzyczasie

ostatnich dni, podczas trwania tego prowizorycznego zaniechania działań wojennych, w Rosji zebrała się Konstytuanta. Tak przynajmniej należy przypuszczać, bo miała się zebrać 11-go bm. Jeżeli więc tak jest, to trzeba przyjąć, że Konstytuanta zaaprobowała pokojowy kierunek Lenina. Dążenia pokojowe Rosji, przez bolszewików kategorycznie sformułowane, mogły się dotąd wydawać tylko jakimś prowizorium, mogącym być nie mniej kategorycznie uchylonym przez Konstytuantę, która dopiero będzie miała moc formułowania istotnej woli Rosji. Jeżeli faktem jest, że Konstytuanta istotnie się już zebrała, to dokonane już po jej zebraniu formalne zawieszenie broni jest wiele mówiącym symptomatem. Może być jeszcze kwestią, czy się u steru władzy utrzyma w Rosji Lenin z bolszewikami, ale że Rosja w każdym razie będzie musiała iść do pokoju i że innej drogi nie ma – to zdaje się być coraz bardziej pewnikiem. Niemcy są dobrej myśli i pokój na froncie wschodnim witają nie jako ratunek tylko bynajmniej, ale jako wyraz swego zwycięstwa, które rozrośnie się w konsekwencjach na całą wojnę. Ten nastrój był jaskrawy u moich współbiesiadników. Pokój na froncie wschodnim napełnia ich ogromną pewnością siebie i nawet – butą. Żartują sobie i nic nie robią z tych rzekomych „zastrzeżeń” i „warunków”, które stawia demokratyczna Rosja jak oto ten, że armia niemiecka z frontu wschodniego nie będzie mogła być zużyta przez Niemców na froncie zachodnim. Uważają oni, że Rosja jest w takim stanie i tak zmuszona do pokoju przez zwycięstwo niemieckie i niemoc własną, iż żadnych warunków utrzymać nie będzie mogła wbrew woli Niemców. A zresztą – powiadają – taki warunek formalnie może być zupełnie przyjęty, dając Leninowi i Trockiemu satysfakcję wykonania szlachetnego gestu, że oto Rosja przez zawarcie pokoju nie wsparła Niemiec w ich walce przeciwko aliantwu na zachodzie. Niemców to nic kosztować nie będzie, bo w chwili podpisywania pokoju front wschodni już faktycznie ogołocony będzie z wojska. Topnieje tam wojsko rosyjskie i topnieje również niemieckie, transportowane na zachód. Już przez te dwa tygodnie Niemcy podobno dobre pół miliona wojska przewieźli z frontu wschodniego na zachodni. Niemcy są gospodarni i nie lubią marudzić.

17 grudnia, rok 1917, poniedziałek

Śliczna pogoda: słońce, nieskalany śnieży śnieg. Sanna wyborna. Toteż spodziewałem się przyjazdu prezesa sądu okręgowego z Łomży, którego wyczekiwaliśmy przez dzień cały – n próżno. Dziś był właśnie najdogodniejszy dzień dla jego przyjazdu, bo we środę i piątek mamy sesję w naszym sądzie, o czym prezesa zawiadomiłem. Goldberg, który w zeszłym tygodniu był w Łomży, powiada, że prezes w tygodniu bieżącym wybiera się na wizytację do Kolna. Zdawało się, że dziś był dzień do przyjazdu najdogodniejszy.

Nadspodziewany był dziś przypływ spraw do sądu, jakiego nie mieliśmy dawno. Wpłynęły cztery nowe powództwa cywilne, jedna skarga karna, odesłano starą jedną niezakończoną sprawę b. okupacyjnego sądu gminnego w Kolnie ze Stawisk, dokąd ona była jeszcze z przed moich czasów przesłana dla zbadania zamieszkałych tam świadków, wreszcie przysłano jedną sprawę sądu stawiskiego do nas dla zbadania tu świadków, zamieszkałych w Kolnie. Ogółem więc dzień dzisiejszy dał siedem spraw, w tej liczbie zaś dwa powództwa wniesione zostały przez chłopów ze wsi, czego już od paru tygodni nie było wcale; tylko same Kolno dostarczało nam spraw w 2-3 ostatnich tygodniach; spoza Kolna wszelki dopływ był ustał. Wniesiona dziś sprawa karna należy do cyklu spraw Antonowicz-Olszewski, które są fragmentem skandalu miłosnego w Kolnie. Jan Antonowicz, sekretarz magistratu w Kolnie, niegdyś za czasów rosyjskich urzędnik powiatu, człowiek lat trzydziestu kilku, żywy, o bujnym temperamencie zmysłowym, sam żonaty i mający czworo dzieci, które wraz z jego żoną w Rosji na

uchodźstwie, nawiązał intrygę miłosną z żoną restauratora tutejszego Ludwika Olszewskiego. Osobliwością tej kombinacji jest to, że Olszewska jest już kobietą niemłodą, ma lat przeszło 40. Rodem jest Olszewska, prosta Kurpianka, z gminy Łyse. Z mężem swym Olszewskim przez długie lata nie żyła. Porzuciła go w młodości i wyjechała do Ameryki, gdzie przez lat 18 przebywała. Jakie są dzieje jej życia w Ameryce, o tym mówią różnie. Olszewski, mówiąc o jej obecnym romansie z Antonowiczem i nawiązując do jej przeszłości w Ameryce, powiada, że „czym za młodu naczynie nasiąknie, tym na starość trąci". Przed czterema laty, przed wybuchem wojny, Olszewska wróciła z Ameryki. Wróciła biedna i już niemłoda. Olszewski usłuchał rad ludzkich i połączył się z żoną. Ponieważ dzieci własnych nie mieli, przyjęli Olszewscy chłopca-sierotę na wychowanie i żyli sobie przez lat kilka spokojnie. Antonowicz przychodził się stołować do Olszewskiego, a nieraz też spędzał w jego jadłodajni prywatnej wieczory na libacjach z różnymi grupami towarzyszy. Między nim i Olszewską wywiązało się jakieś ciążenie wzajemne i następnie miłość, która, zdaje się, ze strony Olszewskiej zwłaszcza jest silną, podczas gdy z jego strony – opartą na temperamencie i zmysłach. Z miłości doszło do romansu, do skandali, zatargów i awantur między kochankiem żony a rogatym mężem. Obaj dyszą ku sobie nienawiścią i pałają zemstą. Mściwy Olszewski roznosi po mieście skandal domowy i zarazem szerzy wieści o łapówkach, pobieranych rzekomo przez Antonowicza w magistracie. Denuncjował już go, zdaje się, do prokuratora. Antonowicz natomiast zajęty jest wyrobieniem separacji dla Olszewskiej. Skandal stał się głośny w Kolnie. Epilog jego znajduje wyraz w sądzie moim. A zresztą może to nie epilog, jeno dopiero prolog szeregu dalszych aktów skandalu. Olszewski już w zeszłym tygodniu nosił się z zamiarem zaskarżenia Antonowiczu o pobicie. Przychodził kilka razy do mnie, rozpowiadał całą awanturę, radził się. Uprzedził go jednak Antonowicz: w sobotę wniósł na Olszewskiego do sądu skargę karną o zniesławienie i oprócz tego powództwo cywilne o 45 mk., które mu Olszewski został winien z rachunku stołowania się. Olszewski zdecydowany jest oskarżeniu o zniesławienie przeciwstawić dowód prawdy o łapówkach, pobieranych przez Antonowicza. Zaskarżył dziś poza tym Antonowicza o pobicie. Chciał jeszcze zaskarżyć go o groźby pozbawienia życia, ale sprawy tej nie przyjąłem, bo groźba nie była skierowana bezpośrednio do Olszewskiego. Sprawy te będą sądzone po Nowym Roku. Zapewne wrócę jeszcze do nich w dzienniku. Nie wiadomo, czy się liczba spraw między nimi na tym jeszcze skończy. Przedmioty tych spraw są w istocie fikcją. Są one tylko pozorami. Nie o nie im bowiem chodzi, jeno o kobietę. Ta jest na dnie tych spraw, które są tylko formą porachunku samców. Czy przynajmniej Olszewska, będąc tak niemłodą, jest jednak tak piękną i ponętną, żeby warto było się o nią spierać i tyle na nią zużywać temperamentu, nienawiści wzajemnej, nerwów, szargania czci? Podobno widziałem Olszewską na weselu Dywizjonka. Dobrze jej sobie nie przypominam, bom na nią szczególnie nie uważał, ale we mgle wspomnień trochę mi się ona szkicuje i wcale tak interesującą i, jak się mówi – „wartą grzechu" – nie wydaje. Ale koroną całego skandalu będzie, gdy Olszewski wytoczy przeciwko żonie i Antonowiczowi sprawę o cudzołóstwo. Nosi się on z tym zamiarem, jak mi sam mówił, ale rezerwuje jeszcze ten kwiat na ostatek.
Otrzymałem dziś list od Papy, pisany z Wilna. Przykry list, pełny wymówek, żalów, zarzutów i insynuacji. Nie będę o nim pisać. Dlaczego tak bolesne dzieli mię z Papą wieczyste nieporozumienie i dlaczego Papa, z oddalenia nawet, tak mało znaleźć może dla mnie ciepła, goryczą tylko mię pojąc? Czy warto było Papie w tym celu korzystać z okazji pobytu w Wilnie, by mi taki list przysłać i jeszcze go wysyłać jako polecony!

18 grudnia, rok 1917, wtorek

I dziś także prezes nie przyjechał. Wobec tego postanowiłem sam zjeść jutro na obiad tego zająca, którego szczędziłem na przyjazd prezesa.
W tych dniach jest trochę większy ruch spraw w sądzie. Dziś wpłynęło jedno powództwo cywilne, założona została jedna opozycja na wyrok zaoczny, przysłano z urzędu powiatowego niemieckiego parę protokółów żandarmerii, dotyczących kradzieży. Poza tym dzień upłynął cicho. Od paru dni jestem coś niezdrów wieczorem. Zrobił mi się znowu jakiś bolesny wrzód na prawym ręku w okolicy łokcia; wrzody takie miałem przed kilku miesiącami, w końcu zimy i na wiosnę; tworzyły się one w różnych okolicach ciała, najczęściej w okolicach stawów, i potem same znikały. Potem to ustało, a oto teraz znów się powtórzyło. Z powodu tego wrzodu wczoraj i dziś doznawałem ziębienia wieczorem, toteż położyłem się dziś do łóżka już o godz. 6. Ciepło mi jest teraz w łóżku pod moją poczciwą watowaną kołdrą, doskonale.
Wrócę jeszcze do mojej pozawczorajszej rozmowy z Niemcami na kolacji w kasynie. Dowiedziałem się od nich ciekawej dla mnie nowiny – że niezaprzysiężeni legioniści, internowani w Szczypiornie, zostali przewiezieni ze Szczypiorna do Łomży i osadzeni tam w budynku koszarowym, należącym do grupy koszar, w których w roku zeszłym o tej porze kwaterował pułk I. Zainstalowano ich mianowicie w tym gmachu, w którym za naszych czasów mieścił się szpital weneryczny prostytutek. Szpital usunięto, budynek przygotowano na przyjęcie internowanych, odrutowano naokoło drutem kolczastym. Naczelnik powiatu v. Cornberg powiada, że legionistów już tam przewieziono. Jest to bardzo prawdopodobne, bo jeszcze latem, gdym był w Szczypiornie, mówili żołnierze z niemieckiej załogi obozu jeńców, że obóz w Szczypiornie funkcjonuje tylko latem, na zimę zaś jeńcy są wywożeni, bo w ziemiankach szczypiornieckich jest za zimno. Gdy będę w Łomży, będę musiał dowiedzieć się o tym dokładnie, a może uda mi się nawet zobaczyć kogo z biednych byłych moich towarzyszy niedoli. Spróbuję podejść pod ten gmach. Biedni są oni. Tyle ich się męczy za to, że nie uważali za możliwe złożyć przysięgi, która przecież była co najmniej dziwaczna! Zarzucają im rozpolitykowanie, gdy tymczasem aktem politycznym byłoby właśnie złożenie przysięgi przez wojsko w tych warunkach, w jakich tę przysięgę mu narzucono. Przysięga ta przesądzała sojusze polityczne Polski, które miało wojsko określać, gdy to jest atrybucją władzy państwowej. Odmowa przysięgi, jeżeli odrzucić jakieś inne ewentualne motywy, była zatem prostym odmówieniem przez wojsko przywłaszczania sobie politycznych prerogatyw władzy państwowej. Zdaje się, że to przecież tak proste. Tymczasem germanofile polscy tyle wciąż krzyczą o rozpolitykowaniu Legionów, o warcholstwie politycznym tych, co odmówili przysięgi. Tak krzyczą i powtarzają to samo w kółku, ze szersza opinia rzeczywiście przywyka patrzeć na to pod tym kątem widzenia i zaczyna wierzyć, że tak jest istotnie. Moi współbiesiadnicy Niemcy w kasynie, choć wcale nie są entuzjastami Polski i idei wolności ludów i choć są wszyscy rzetelnymi imperialistami niemieckimi, którzy z natury rzeczy sprzyjają temu, co jest na rękę Niemców, zgodzili się zupełnie ze mną, gdym im to wytłumaczył, że żądanie przysięgi od wojska było w tych warunkach nienormalne i że nie można odmowy przysięgi poczytywać za winę tym, co jej odmówili. Zgodzili się też w zupełności ze mną, że skandalem jest, iż tak męczą i wiążą tych biedaków, którzy w swoim czasie pierwsi stanęli do walki o niepodległość Polski, w warunkach stokroć mniejszej popularności i pewności sprawy, niż te, w jakich ona jest obecnie. Czy dziś w Polsce pamięta się o tych biedakach, którzy już od szeregu miesięcy marnują się i niszczeją w obozie jeńców? Czy tworzące się władze polskie upominają się o nich energicznie? Gdzież tam! Dziś w Polsce od regenta i ministra do najdrobniejszego gryzipiórka każdy – za wyjątkami może tylko – zajęty jest posadą i stanowiskiem dla siebie. Pod obłudnymi napuszonymi frazesami rzeczy publicznej

patriotyzmu i narodowości- kwitnie wielmożnie Prywata! Ta sama Prywata, tylko udekorowana piękniej i sztuczniej, która już Polskę szlachecką ongi zgubiła. Może za ostry jestem nieco w tym sądzie, ale zdaje mi się, że nie dalekim od prawdy.

19 grudnia, rok 1917, środa
Dzień sesji. Ławnicy: Jerozolimski i Kocik; ten ostatni w zastępstwie Stachelskiego. Spraw na wokandzie było osiem. Sesja rozpoczęła się późno, dopiero koło godz. 11 i trwała do godz. 4. Sesja była dość burzliwa i z pewnych względów zostawiła po sobie u mnie wrażenie dość nieprzyjemne. W sprawie karnej niesfornego Masłowskiego, który był sądzony za obrazę Goldberga na sesji sądowej, musiałem dziś znowu na tegoż Masłowskiego na sądzie gniewać się i krzyczeć i wreszcie *extra* władzą dyscyplinarną osztrafować, bo znów zaczął obrażać w obecności sądu Goldberga. Poza tym, była pewna sprawa działowa, pierwsza w mojej praktyce, w której przy powzięciu decyzji nie czułem się na zbyt mocnym gruncie, czego nie lubię. Wreszcie trafiła się sprawa, którą wbrew wewnętrznemu przekonaniu musiałem zasądzić odmownie, i to w warunkach przykrych oraz w znacznym stopniu dzięki głupocie chłopa-powoda. Sprawę tę wniósł Goldberg, ale nieufny i ciemny chłop, ulegając namowie żony, gdy Goldberg stanął do sprawy, wykombinował, że da sobie radę już teraz i sam i oświadczył, że nie upoważnia Goldberga do prowadzenia sprawy. Był moment przykry, gdy Goldberg wobec takiego oświadczenia musiał cofnąć się. Ale też biedny ciemny chłop padł natychmiast sam ofiarą swego skąpstwa i nieufności. Sprawa jego był wytoczona o zwrot płótna wartości 500 mk., danego na przechowanie. W skardze powodowej byli powołani świadkowie, którzy zostali wezwani. Pozwani zaprzeczyli przyjęciu płótna na przechowanie. Gdyby ze strony powoda stawał Goldberg, może by zdołał szeregiem zręcznych pytań, w czym on celuje, wyciągnąć od pozwanego lub jego żony przyznanie jeżeli nie przyjęcia płótna, to przynajmniej poprzedniej umowy o przechowaniu (tzw. składzie), wobec czego dalsze okoliczności, jak sam fakt przyjęcia, może by się dały badaniem świadków ustanowić. Kodeks Cywilny Napoleona nakazuje dla umowy składu dobrowolnego formę aktu na piśmie, wobec czego dowód ze świadków na stwierdzenie istotnie samej umowy jest niedopuszczalny. Oczywiście ciemny niezaradny chłop o tym nie wiedział i nie umiał też wyciągnąć jakimiś pytaniami od pozwanego śladu przyznania. Liczył na świadków, którzy byli wezwani i był pewny swego. Wobec zaprzeczenia pozwanego co do samego istnienia umowy, sąd nie dopuścił wcale do badania świadków i powód natychmiast sprawę swoją, ku swej rozpaczy i zdumieniu, przegrał, padając ofiarą własnej głupoty i skąpstwa. Oto jest jeden z przykładów, jak pomoc zawodowa w postępowaniu sądowym jest dla biednego ludu potrzebna; popiera to moją tezę o tym, że pomoc zawodowa prawna w postępowaniu sądowym powinna być dla ludu zorganizowana w postaci w funkcji publicznej, podobnie jak sam sąd i już jeżeli nie na zasadach powszechności, to przynajmniej na zasadach każdorazowej decyzji sądowej: to znaczy aby sąd był mocen orzekać potrzebę publicznej pomocy prawnej w tych wypadkach, w których to za słuszne uzna. Bez tego bowiem w wielu wypadkach sama funkcja sądowa wymiaru sprawiedliwości staje się życiowo zupełnie martwą. Jest to reforma do urzeczywistnienia trudna, ze względu zwłaszcza na ubóstwo sił zawodowych na wsi, tam, gdzie pomoc taka bywa zazwyczaj najpotrzebniejsza, ale nie jest to rzecz w warunkach normalnych niewykonalna.
Jak często chłopi sami bez pomocy prawnej w postępowaniu sądowym są zupełnie bezradni i narażeni na straty, wobec czego sądowy wymiar sprawiedliwości wyradza się w zupełną fikcję albo, co gorsza, w niesprawiedliwość i krzywdę, przykładów tego mógłbym podać z drobnych parę dziesiątków z mojej własnej krótkiej praktyki

sędziowskiej. Osobiście dla mnie jako dla sędziego i człowieka każdy taki wypadek jest prawdziwie bolesny. Świeży taki przykład jaskrawy miałem oto na ostatniej sesji sądowej w dniu 15.XII. w sprawie Micińskiego z Zapertem. Pierwszy pozwał drugiego o zakłócenie jego posiadania i zobowiązanie go do usunięcia własnym kosztem chałupy, wystawionej przez pozwanego na gruncie powoda. W toku sprawy okazało się, że pozwany Zapert, który jest szwagrem powoda Micińskiego, nie ma w wiosce miejsca na postawienie sobie chałupy. Chciał ją postawić na kawałku ziemi wioskowej, ale wioska mu zabroniła. Na gruncie zaś powoda miał na placu wystawioną jeszcze za życia ojca Micińskiego i zarazem swego teścia stodołę. Toteż w braku innego miejsca postawił sobie chałupę obok tej stodoły. Powód Miciński udowodnił, że plac jest w jego posiadaniu, wobec czego sąd usunięcie chałupy nakazał. Teraz biedny Zapert, ponosząc stratę, jest zarazem w położeniu bez wyjścia, bo nie ma dokąd chałupy przenieść w wiosce. Miałby przecie inną drogę legalną dochodzenia praw swych – drogę procesu o dział, ale sam nie wie o tym, a bez pomocy zawodowej adwokata ma tylko krzywdę.

20 grudnia, rok 1917, czwartek
Z dnia dzisiejszego nic pisać nie będę. Natomiast cofnę się do niedzieli, by streścić jeszcze kilka rysów mojej rozmowy z Niemcami tutejszymi w kasynie. Były tam bowiem przez Niemców wyrażane opinie bardzo charakterystyczne dla ich sposobu myślenia i popularnych w ich kołach dążeń i aspiracji. Niektóre zaś z nich mają być może coś więcej, niż tylko charakter symptomatu usposobień i kto wie, czy nie kryją w sobie rzeczy, bardzo poważnie dojrzewających w praktyce wypadków politycznych. Kto wie, czy nie mieści się w nich rąbek przyszłości, który rychło odsłonią nam w całym realizmie rozpoczynające się już konkretnie rokowania pokojowe z Rosją. Zacznę od rzeczy mniej ważnej, bo określającej tylko spekulacje paru dróg imperialistycznej polityki niemieckiej. Kwestię zaś praktycznie najpoważniejszą, która jest może brzemienna faktem dokonanym na najbliższą metę, zarezerwuję na ostatek albo na inny dzień. Rozmawialiśmy więc o Litwie i Polsce, o perspektywach państwowych dla obu tych krajów, o ich stosunku zarówno wzajemnym, jak względem polityki niemieckiej; ja oczywiście, w myśl moich przekonań, wypowiadałem się za całkowitą, i to wzajemnie całkiem niezależną, niepodległością tak Polski, jak Litwy. Trzeba przyznać, że rozmowę tę, w zupełnie poufnej atmosferze towarzyskiej, prowadziliśmy zupełnie szczerze. Niemcy też byli szczerzy zupełnie i nie obwijali swych dążeń i założeń w bawełnę pozorów i we frazesy uprzejmości międzynarodowej oraz komplementów wzajemnych i wysokich haseł, które się rzuca dla efektu demagogicznego. Dwa się starły zdania niemieckie, dwie metody polityczne, obie z jednego wszakże źródła imperializmu niemieckiego płynące. Dla mnie było to ciekawe, bo w ten sposób słyszeć mogłem, jak Niemcy traktują te sprawy, gdy są „u siebie", całkiem prywatnie, tak, jak myślą istotnie. Jedną opinię reprezentował dr Rau, drugą – naczelnik powiatu v. Cornberg. Opinia v. Cornberga, zdaje się, że bardziej rozpowszechniona w kołach politycznych niemieckich, łatwiejsza też do zrozumienia i posiadająca większą jaskrawość pozornej słuszności (oczywiście staję na razie na stanowisku imperializmu niemieckiego) – wydaje mi się jednak płytsza i bardziej tandetna. Opinia ta uważa, że dla celów panowania i bezpieczeństwa Niemiec mądrość polityczna wymaga istotnie przeciwstawienia Litwy Polsce i tworzenia dwóch odrębnych państewek, które się będą gryzły i osłabiały wzajemnie, przestając być groźne dla Niemiec i nie mogąc się upomnieć o to, co im by się ewentualnie od Niemiec w ich opinii należeć mogło (Poznańskie dla Polski i ewentualnie skrawki Prus Wschodnich dla Litwy). W myśl tej opinii, skoro już się pogodzić trzeba z powstaniem Polski niepodległej, to najlepszym jej zaszachowaniem jest „obudzenie" w sąsiedztwie

narodowości litewskiej, niechętnej Polsce i Polakom i mającej na własnym terytorium sporne porachunki z Polakami. „Obudzenie" tej konkurencyjnej narodowości i oparcie na niej nowego odrębnego państewka będzie paraliżować niebezpieczeństwo polskie dla Niemiec i da jednocześnie Polakom obiekt jątrzącego sporu na północnym wschodzie. Taką jest myśl tej metody. Na poczekaniu zaznaczę, że operuje ona bardzo naiwnie pojęciem „obudzenia" narodowości litewskiej. Niemcy dokonali wprawdzie istotnie „odkrycia" narodowości litewskiej jako zjawiska politycznego, tak jak Kolumb odkrył kiedyś Amerykę, ale dokonali go tylko dla siebie: to znaczy, że była ona „odkryciem" tylko dla nich, bo narodowość litewska istniała już i przed tym „odkryciem", była już „obudzona" z własnego wewnętrznego popędu, i istniała nie tylko jako bierny fakt, ale właśnie, jako „zjawisko" i jako „ruch" polityczny, będący w stanie czynnym. Mniejsza zresztą o to, choć to jest jeden z poważniejszych błędów rachuby. Narodowość litewska jest obudzona i w każdej kombinacji państwowej będzie czynna, zmierzając do swego własnego politycznego celu narodowego i państwowego. I gdyby dążyć konsekwentnie i mądrze ze stanowiska imperialistycznego niemieckiego do osłabienia Polski przez przeciwstawienie jej narodowości litewskiej, to trzeba byłoby postąpić wręcz przeciwnie, niż zaleca powyższa metoda: trzeba byłoby wcielić Litwę etnograficzną do Polski, utworzonej z Królestwa Polskiego, czego pragną zresztą krótkowzroczni imperialiści Polacy, nie rozumiejący czynnika demokracji ludowej we współczesnym rozwoju państw. Wtedy to zaiste w takiej Polsce byłby ciągły ferment litewski, osłabiający ją zarówno wewnątrz, jak na zewnątrz. Wtedy to Litwini w swym dążeniu polityczno-narodowym usiłowaliby wciąż rozsadzić polską sztuczną skorupę państwową, Polska zaś zużytkowałaby lwią część swej energii żywotnej na zwalczenie tego separatyzmu, na spolonizowanie państwowe i bodaj narodowe Litwy; ten nadmiar wysiłku wewnętrznego powodowałby jej słabość zewnętrzną. A że Litwa byłaby w tej kombinacji dla Polski drogą do morza, więc Polska by tym zacieklej siły swe w tym kierunku wytężała. Pochłonięcie energii Polski sprawą litewską odrywałoby ją automatycznie od kwestii Poznańskiego i tym bardziej od niebezpiecznych dla Niemiec aspiracji polskich – dróg morskich na Gdańsk. Gdy tymczasem powstanie równoległe dwóch niepodległych – Polski i Litwy – spełniając aspiracje polityczne litewskie i jednocześnie zamykając z tej strony własny dostęp Polski do morza, powinno sprzyjać, moim zdaniem, złagodzeniu konfliktu polsko-litewskiego i ma większe szanse doprowadzenia tych dwóch krajów i narodów nie tylko do zgodnego sąsiedzkiego współżycia, ale bodaj do ewentualnego ściślejszego sojuszu, który prawdopodobnie stałby się odporny w kierunku na wschód rosyjski i zaczepny w kierunku na zachód niemiecki. Taki bowiem układ terytorialno-państwowy, łagodząc konflikt polsko-litewski, pchnąłby Polskę żywiej do kwestii Poznańskiego i dróg etniczno-wiślanych do morza i jednocześnie obudziłby w Litwie dążenie aktualne do scałkowania się polityczno-narodowego przez pozyskanie Litwy pruskiej. Dalej – do jutra.

21 grudnia, rok 1917, piątek
Otrzymałem list od Maryńki, w którym pisze (list datowany z Wilna 16.XII), że spodziewa się już mieć za dwa dni wiadomość, czy otrzyma pozwolenie na przyjazd do Kolna i że jeżeli otrzyma, to 21 bm., a więc dziś, wybierze się w drogę. List ten pisała Maryńka jeszcze przed otrzymaniem mojego listu z zawiadomieniem, że ze strony władz miejscowych w Kolnie nie ma przeszkód na jej przyjazd. W tymże, jak również w następnym liście wykazywałem jej ewentualne dogodne terminy do przyjazdu, abym mógł ją w Łomży spotkać i kiedy można będzie względnie taniej dostać z Łomży furmankę do Kolna. Poza tym, jedzie w czasie świąt do Wilna nasz kolneński naczelnik powiatu v. Cornberg, który wiezie mój list do Maryńki i prosi, by ona mu pomogła

kupić w Wilnie na pamiątkę trochę ludowych wyrobów litewskich. Z tych względów wyznaczyłem jej terminy przyjazdu najlepiej w czasie między Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem lub po Nowym Roku. Toteż liczę, że wbrew dzisiejszemu listowi – jeszcze zaraz nie przyjedzie. Chciałbym już mieć zupełną pewność, że pozwolenie otrzyma. Kwestia dnia jej przyjazdu ma dla mnie mniejszą wagę, bylebym ją mógł spotkać w Łomży.
Miałem dziś ostatnią przedświąteczną sesję sądową. Sesja była niewielka i upłynęła szybko i przyjemnie. Spraw na wokandzie było tylko sześć, w tej liczbie dwie prośby incydentalne o rozłożenie spłaty zasądzonych sum na raty. Ławnicy zasiadali: Kocik i Jerozolimski. Wśród spraw zasądzonych była jedna karna, w której zapadł wyrok najsroższy, jaki się dotąd zdarzył za mego urzędowania: trzy miesiące aresztu. Skazani zostali Józef i Anna małżonkowie Turscy, Kurpie z puszczy, za pobicie starszego brata Ignacego Turskiego. Skazani są już ludźmi starszymi: Józef Turski ma lat 55. Sprawy o pobicie są rzadkie wśród ludzi tego wieku; najczęściej oskarżeni o pobicie są chłopcy w wieku od 18-25 lat i zwykle bójki te mają miejsce z okazji zazdrości, zalotów do dziewcząt, doraźnych kłótni. Tu okoliczności pobicia były ciężkie, toteż kara wypadła sroga. Oskarżony chce wnosić apelację. Do spraw karnych najsurowszych z moich ławników jest Kocik. Gdy chodzi o pobicie, a w sprawach cywilnych szczególnie o zakłócenie posiadania lub o szkody i straty w polu, Kocik jest zawsze rzecznikiem nieubłaganej srogości. Oskarżeni lub pozwani w tych kategoriach spraw nie znajdują u niego litości. Jest dla nich bez pardonu. Każdy z moich ławników ma swoje „ale”, ma swoje braki i zalety szczególne. Teraz, gdy ich poznałem, umiem już na poszczególne komplety ławników dobierać kategorie spraw, które najbardziej do ich usposobień pasują.
Sesja dzisiejsza skończyła się wcześnie. Wpłynęły jeszcze w dniu dzisiejszym dwa nowe powództwa, co jest rzadkim w dniach sesji. Ostatnie powództwo wniesione zostało przez piękną młodą dziewczynę, niejaką Podlaską z Zabiela, w przedmiocie wszakże bardzo gospodarczym, nie mającym z reguły nic wspólnego ani z młodością, ani z dziewczęcością: sprawa o zwrot kilkudziesięciu marek, niedopłaconych przez Żyda ze zwróconej dziewczynie ceny konia, którego ona od tegoż Żyda kupiła, a następnie po kilku dniach, po przekonaniu się, że koń chory, odprowadziła, żądając rozwiązania sprzedaży. Młoda 20-letnia piękna dziewczyna wiejska, która sama kupuje u Żyda konia, a następnie go zwraca i odbiera cenę i wreszcie udaje się do sądu z samodzielnym powództwem, dochodząc konsekwencji praw swoich, to zgoła osobliwość w naszych stosunkach. Operacje handlowe-gospodarcze tego rodzaju należą zawsze do chłopów lub wdów albo opuszczonych mężatek, których mężowie są na wojnie lub w Ameryce, lecz nigdy – do młodych dziewczyn. Toteż zainteresowałem się, co za jedna. Powiedziała mi, że jest wychowana w Ameryce, dokąd wyjechała z rodzicami, gdy miała rok życia i tam całych lat 16 spędziła. Przed samą wojną rodzice jej wrócili z nią do kraju i tu w Zabielu wojna ich zaskoczyła. Ojciec, robotnik amerykański, nie zna się na gospodarstwie, matka jest chora i młoda dziewczyna sama się musi wszystkim zajmować, bracia zaś są jeszcze mali. Dzielna z niej Amerykanka. Oko z przyjemnością wypoczywa na młodej pięknej dziewczynie w sądzie, gdzie zjawisko takie jest niezwykłe. Sąd bowiem jest sferą mężczyzn lub jeżeli kobiet – to starych.
Nie mam dziś w dzienniku miejsca na kontynuowanie relacji z mojej niedzielnej kasynowej rozmowy z Niemcami. Nawiązując do tego, com pisał wczoraj, jedno chcę tu dziś zaznaczyć. Analogiczna sytuacja w stosunku Polski do zachodu i do wschodu była na początku wojny, jak dziś. Wnioski moje natomiast wówczas i dziś – są różne. I wtedy przeciwstawiały się sobie dwa orientacyjne kierunki: na wschód lub na zachód.

Program moskalofilów zjednoczenia ziem polskich, zwracając się przeciwko Niemcom i opierając się na porozumieniu ze wschodem, miał tendencję ograniczenia albo też wyruszenia się ekspansji polskiej na ziemie litewsko-ruskie („*désintéressement*" w tym kierunku). Natomiast program niepodległościowy, opierając się o sojusz z mocarstwami centralnymi, zwrócony ostrzem przeciw Rosji, podnosił sprawęe Litwy, rezygnując lub nie wysuwając konkretnie sprawy etnograficznych ziem polskich na zachodzie. Sprzyjałem temu ostatniemu i z całą bezwzględnością zwracałem się przeciw pierwszemu do tego stopnia, że sam się do Legionów udałem, w świadomości, że one są najjaskrawszym drugiego programu wyrazem, podczas gdy dziś przeciwny jestem ekspansji polskiej na wschód i na jej odcięciu państwowym od Litwy buduję perspektywy pomyślności tak Litwy, jak Polski oraz zwrot Polski od kierunku Poznańskiego. Dlaczego? Czy jest to zmiana istotna założeń? Nie, pozorna tylko. Wtedy bowiem „*désintéressement*" Polski na wschodzie był paktem jej z zaborczą Rosją caratu, było więc poparciem danym przez Polskę Rosji do zduszenia Litwy. Wolałem choćby za cenę ewentualnej ekspansji Polski widzieć Polskę narzędziem osłabienia Rosji na ziemiach litewskich. Dziś tego już nie ma. Odcięcie państwowe Polski od Litwy oznacza dziś nie triumf Rosji na ziemiach litewskich, lecz realizację własnej wolności i samodzielności Litwy. Dziś na wschodzie chodzi nie o grę między Polską i Rosją o Litwę, lecz o grę wolności stosunku wzajemnego Polski i Litwy.

22 grudnia, rok 1917, sobota
W sądzie miałem sesję rady familijnej w sprawie wyznaczenia opieki nad małoletnią niejaką Charubinówną, której matka, młoda wdowa, wyszła powtórnie za mąż. Sesja rady familijnej, która, zgodnie z żądaniem prawa, składała się w połowie z krewnych linii ojcowskiej dziecka i w połowie – z krewnych linii macierzyńskiej, była burzliwa, bo między braćmi zmarłego Charubina a wdową po nim (obecnie już mężatką *2o voto* Gastorczykową) i jej rodziną jest kłótnia o ziemię ze spadku po zmarłym i stąd nienawiść. Charubinowie chcieli pozbawić matkę opieki nad dzieckiem pod tym pretekstem, że ona ziemię i gospodarkę, należącą do córki z pierwszego małżeństwa, przywłaszczy sobie i mężowi oraz ewentualnemu potomstwu z drugiego małżeństwa. Chcieli więc, żeby opiekę nad dzieckiem oddać jednemu z nich. Przez cały czas sesji były gorące kłótnie i wymyślania wzajemne a dogadywanie sobie Charubinów i Gastorczykowej oraz Kopytków (tak brzmi nazwisko rodziny młodej Gastorczykowej). Nie byłem w stanie rozpalonych namiętności kłócących się uśmierzyć. Przewagą mojego głosu jako przewodniczącego z urzędu na padzie familijnej przeforsowałem decyzję, oddającą opiekę nad dzieckiem matce i mianującą jednego z braci Charubinów opiekunem przydanym, kontrolującym działalność opiekuna głównego. To posiedzenie rady zajęło czas od godz. 11 do obiadu.
Wpłynęło z poczty jedno powództwo, nadesłane z Ostrowia. Tydzień bieżący był obfity w dopływ nowych spraw. Zrównoważył on poniekąd poprzedni zastój grudniowy. Przejdę do dalszej relacji o naszej ciekawej rozmowie z Niemcami z ubiegłej niedzieli. Zreferowałem punkt widzenia naczelnika powiatu v. Cornberga, spekulujący w celach imperialistycznych niemieckich na przeciwstawieniu Litwy Polsce dla osłabienia i unieszkodliwienia tak jednej, jak drugiej. Zdaje się, że to stanowisko jest najpopularniejsze w urzędowej polityce Niemiec. Inne natomiast wręcz stanowisko wyrażał dr Rau, imperialista bodajże jeszcze większy i bezwzględniejszy, a niewątpliwie szczerszy od innych. Inne we wnioskach, nie – w założeniu. Dr Rau jest zasadniczo przeciwny wszelkiej kombinacji niepodległościowej Litwy. W gruncie uważa on, zdaje się, i niepodległość Polski, a więc politykę 5 listopada 1916, za błąd polityczny niemiecki. Jest on usposobiony nieufnie do wszelkich państewek

narodowych, tworzonych na spornych pograniczach mocarstw. We wdzięczność tych ludów, którym mocarstwa ułatwiły byt samodzielny, nie wierzy. Nie wierzy też w ich przyjaźń i w trwałość sojuszów z nimi. Przykłady Serbii, a w tej wojnie Rumunii i Włoch (dodać można: przykład Bułgarii w stosunku do Rosji) uważa za wymowne i charakterystyczne. Takie państewko narodowe jest, jego zdaniem, tylko pasożytem. Do czasu będzie ono potulne i może nawet udawać przyjaźń, dopóki sytuacja zewnętrzna będzie tego wymagać i dopóki albo nie znajdzie sobie innego potężnego sprzymierzeńca i protektora, albo nie spostrzeże, że się noga poprzedniemu potężnemu sprzymierzeńcowi nie powinęła. Po cichu knuć będzie zamiary zdradzieckie, bo nikt dobrowolnie nie chce znosić potężnego sąsiedztwa i każdy myśli o rozroście własnym. Będzie się więc kusić o oderwanie od możnego sąsiada najbliższych jego terytoriów, a to tym bardziej, jeżeli na sąsiednich pogranicznych terytoriach mieszkają jakieś ludy, pokrewne etnicznie małemu państewku. W stosunku do Polski będzie takim przedmiotem pożądliwości Poznańskie, w stosunku do Litwy – jakieś części Prus Wschodnich. Te małe państewka, choćby pozornie zaprzyjaźnione, będą się wzmacniać z myślą ukrytą o napaści. Jest to cieplarniane pielęgnowanie wrogów dokoła siebie. Zdaje się, że najmilszym pragnieniem tego kierunku, reprezentowanego przez dr Raua, byłoby, aby mocarstwowe Niemcy były w bezpośrednim kontakcie sąsiedzkim z mocarstwową Rosją bez pośrednictwa żadnych narodowych międzypaństewek. Chodziłoby tylko o to, aby ten kontakt uzupełnić dogodnymi dla Niemiec granicami. Gdy już jednak ma być Polska, to lepiej jej oddać na pochłonięcie Litwę i zrobić z niej również jednostkę mocarstwową, niż tworzyć z Litwy osobne państewko narodowe, spekulując na przeciwstawieniu jej Polsce i mieć na granicy wschodniej dwa takie małe, ale ambitne twory, które oba będą głodne i chciwe, oba – w stosownej chwili staną się wrogami, marzącymi o urwanie czegoś od potężnego sąsiada. Dr Rau chciałby Polskę nasycić Litwą, dać jej tam teren ekspansji, teren do zbywającej energii. Z taką Polską Niemcom byłoby łatwiej sąsiadować, niż z narodowymi Polską i Litwą. Polska taka nabrałaby sama zmysłu mocarstwowego, co by ją od Poznańskiego odwróciło; byłaby zadowolona i silna. Tak myśli dr Ruú. Niewątpliwie koncepcja tu jest imperialistycznie głębsza od koncepcji przeciwstawienia Litwy narodowej Polsce narodowej. Ale koncepcja ta szans, zdaje się, nie ma.

23 grudnia, rok 1917, niedziela
Nudna przedświąteczna niedziela. Obym się jak najprędzej doczekał Maryńki! Oby nadzieja moja nie była próżna! Gdy długo nie otrzymuję od niej listu ze stanowczym zawiadomieniem o przyjeździe, zaczynam się niepokoić i gotów jestem wątpić. Ale chyba nieprawdopodobne jest, aby Niemcy odmówili jej pozwolenia na ten przyjazd, wobec zarówno tego, że władze kolneńskie dały odpowiedź przychylną, jak wobec szczególnie tego, że przecie jest już zawieszenie broni i rozpoczynają się rokowania pokojowe i że przeto powinny się już stopniowo łagodzić te nadmierne ograniczenia, jakie ludność cywilna znosić musiała z powodu stanu wojennego.
Przejdę do ostatniego tematu naszej rozmowy z Niemcami w kasynie w niedzielę ubiegłą. Temat to najaktualniejszy i najdrastyczniejszy zarazem. Zarezerwowałem go na ostatek. Jakie są kierunki w imperialistycznej polityce niemieckiej w sprawie organizacji państwowej Polski i Litwy – są to rzeczy ciekawe i ważne oczywiście, ale nie decydujące. Natomiast to, o czym wspomnę teraz, ma cechę zamiaru bardzo konkretnego i bardzo kategorycznego. Chodzi o palącą sprawę tzw. strategicznej granicy Narwi. Pragnienie Niemców pozyskania tej granicy było przez cały czas wojny b. silne. Wiadomo jest, że bohater wojenny Niemiec, najpopularniejszy w Niemczech człowiek, Hindenburg, obrońca Prus Wschodnich, jest kategorycznym rzecznikiem

takiej granicy. Niemieckie sfery wojskowe z Hindenburgiem na czele uważają linię Narwi za konieczną strategiczną granicę Prus, bez której bezpieczeństwo i obrona Prus Wschodnich są fikcją. Nauczyło ich tego doświadczenie początków tej wojny. Toteż, zdaniem Niemców, niezależnie od wyrzeczenia się planów aneksyjnych w tej wojnie, osiągnięcie linii Narwi jako granicy strategicznej Prus, jest po prostu koniecznością państwową. Nie utożsamiają oni tego z aneksją, przeciwnie – bardzo mocno podkreślają, że to nie ma związku z aneksją jako zasadą terytorialnych nabytków wojennych; że przyjmują całkowicie powszechne dziś hasło, spopularyzowane przez rewolucję rosyjską „pokój bez aneksji i odszkodowań", ale że to minimum, które jest im państwowo niezbędnym w postaci „uregulowania granicy", jest koniecznością, od której odstąpić nie mogą i która przecie słusznie się im należy z tytułu straszliwych ofiar i wysiłków, poniesionych przez nich w tej wojnie, bo to jedyne, co ich na przyszłość zabezpiecza istotnie. Oczywiście wszakże, że faktycznie to „uregulowanie granicy" inaczej dokonane być nie może, jak w postaci zaanektowania północnej i względnie północno-zachodniej części Królestwa Polskiego. Dla Polski byłby to cios dotkliwy, któryby ją zwrócił nieprzejednanie wrogo przeciwko Niemcom i nie dałby się wyrównać żadnymi „łaskami" 5 listopada. W pierwszych okresach wojny w Niemczech całkiem wyraźnie krzewiły się zakusy aneksyjne na tę linię Narwi; wyczuwały się one i w polityce okupacyjnej Niemców, i w prądach do ewentualnego podziału Polski między Niemcami a Austrią. Gdy następnie zyskała w Niemczech przewagę polityka niepodległościowa w stosunku do Polski, przypisywana osobiście Wilhelmowi oraz b. kanclerzowi Bethmannowi-Hollwegowi, która w następstwie doprowadziła do aktu 5 listopada 1916, zdawało się, że sprawa linii Narwi została pogrzebana. Mocno tkwiła ona jednak w poglądach sfer wojskowych niemieckich z potężnym Hindenburgiem na czele, a niezbyt dawno odżyła w całej pełni w naradach niemiecko-austriackich i w obradach polityków niemieckich, znajdując wyraz w formule „uregulowania granic", stanowiącej kompromis między polityką niepodległościową a polityką aneksyjną na wschodzie. Odżyła nagle i gwałtownie, rozbierając się w pogłoskach i wersjach, które tak zaniepokoiły opinię polską i z taką stanowczością powtarzane były, wbrew zapewnieniom dyplomatycznym, że nic jeszcze ostatecznie przesądzone nie zostało (o pogłoskach tych widać w moim dzienniku pod dniem 9-10.XI. r. b.). Wrócę jeszcze do tego tematu. Kolno jest tu bezpośrednio zainteresowane, bo leży ono w strefie, zagrożonej bezwzględnie. Toteż tu rzecz ta jest traktowana szczególnie nerwowo.

24 grudnia, rok 1917, poniedziałek
Dzień wilii, czyli u nas po litewsku – kucji. Jestem z dala od rodziny, samotny. Dzięki gorące Bogu jeszcze, że nie jestem w obozie jeńców, w niewoli, jak tylu innych moich niedawnych towarzyszy!
Zaproszony byłem na wilię przez p. Litwińskiego. W jego kółku rodzinnym podzieliłem się opłatkiem i zjadłem tradycyjną wieczerzę. Towarzystwo składało się z p. Litwińskiego z żoną i teściową, ich dwojga małych dziatek, aptekarza Gołaczewskiego, u którego Litwińscy wynajmują mieszkanie i który się wzajem u nich stołuje, i ze mnie. Na wieczerzę był winegret z kartofli, buraczków, fasoli i grzybów marynowanych, zastępujących niedostępnego dziś śledzia, dalej kapusta tuszona z grzybami, jakaś dobra ryba smażona z sosem chrzanowym i na ostatek coś w rodzaju naszych ślężyków z makiem, z tą tylko różnicą, że ciasto w ślężykach było inaczej przyrządzone. Do kolacji była znakomita wiśniówka. Skończyło się wreszcie na herbatce i bułce słodkiej, nadziewanej makiem. Stała też w pokoju duża choinka ze świeczkami, której jednak przy mnie nie zapalono. Od pp. Litwińskich poszedłem o godz. 8 ½ do sekretarza hipotecznego Mystowskiego, który mię także na wieczór zaprosił. Jest on moim

bezpośrednim sąsiadem: mieszka w sąsiednim domu Müntzowej. Przed miesiącem przeszło Mystkowski sprowadził sobie żonę z Warszawy. Jest ona rodem Łotewką, młodsza znacznie od niego, bo ma lat koło 40, podczas gdy on ma przeszło 60. Po polsku mówi łamanym językiem, z niemiecka. Mieszkają oni zupełnie samotnie, bez żadnych stosunków z ludźmi i nudzą się w Kolnie, szczególnie ona. Ona była kiedyś widocznie przystojna i zgrabna. Dziś ma już „wdzięki" zwiędłe. Nudna jest, bo głupia niezmiernie i, zdaje się, histeryczna. On natomiast jest człowiekiem wykształconym, może najbardziej i bodaj jedynym, zasługującym w Kolnie na miano inteligenta; ale jest już ze starości niedołężny. I u nich też była choinka, zdobiona przez nią suto starymi ozdobami, z roku na rok na ten cel przechowywanymi. Zapalili choinkę przy mnie, ale tylko czterema świeczkami, bo tyle w Kolnie dostać mogli.
Zachodził dziś rano do mnie jakiś młody chłopak z Łomży, zdaje się – z POW. Zwrócił się do mnie z prośbą, abym zorganizował w Kolnie komitet pomocy dla internowanych legionistów w Łomży, przewiezionych tam ze Szczypiorny. Obiecałem mu, że się tym zajmę po porozumieniu się z takimże komitetem w Łomży, który się już tam zawiązał. Przypuszczam, że najlepiej będzie to zorganizować przy Radzie Opiekuńczej Powiatowej. Wspominałem już dziś o tym p. Litwińskiemu. Biedni ci nasi chłopcy legionowi w Łomży. Rzeczywiście, trzeba się zająć pomocą dla nich. Wiem aż nadto dobrze z doświadczenia, jakim dobrodziejstwem w Szczypiornie była pomoc Komitetu Kaliskiego. Słychać, że w Warszawie młodzież akademicka gorąco manifestowała na rzecz nieszczęśliwych Szczypiorniaków i Beniaminiaków. Cieszy mię to jako objaw, że przecie przynajmniej choć młodzież w Polsce pamięta o nich i czuje ich krzywdę i niedolę. Manifestacje te miały przebieg krwawy. Dziś w gazetach czytałem odezwę do młodzieży, wystosowaną przez Koło Międzypartyjne. Odezwa nawołuje do spokoju, ale jest pisana w duchu gorącego współczucia dla ofiar Szczypiorna i Beniaminowa.

25 grudnia, rok 1917, wtorek
I dzień świąt Bożego Narodzenia. Spędziłem go z myślą o oczekiwanym przyjeździe Maryńki. Byleby mię nie spotkał zawód! Daj Boże, aby Maryńka przyjechała. Jakże bym się cieszył! I jak nam byłoby dobrze przez te parę tygodni razem!
Dzień świąteczny spędziłem ot tak jakoś, byle tylko przeszedł. Przed obiadem pracowałem nawet, bo trudno bezczynnością czas zapełnić, a doprawdy uczciwa robota jest milsza Bogu, niż próżniactwo. Święto jest dla odpoczynku ludzkiego, ale nie dla próżniactwa. Co innego przymus pracy w dniu świątecznym, przeznaczonym dla odpoczynku, a co innego praca, wykonywana dobrowolnie. Toteż skorzystałem z roboty, którą miałem do wykonania i napisałem w sądzie jeden wyrok w formie ostatecznej w sprawie karnej z ubiegłego piątku, obstalowany dla apelacji. Układanie wyroków w formie ostatecznej należy do najprzyjemniejszych dla mnie prac sędziego. Mieści się w tym bowiem odtworzenie całej sprawy, odtworzenie zarazem logiczne całej funkcji sędziowskiej, ciekawe ćwiczenie w prawie i zbudowanie ze sprawy ścisłej konstrukcji logicznej. Po obiedzie zdrzemnąłem się przy ciepłym piecu i o zmroku poszedłem do Mystkowskich. Zagrałem z Mystkowskim dwie partyjki szachów, zjadłem kolacyjkę gorącą, którą mię p. Mystkowska uraczyła i stamtąd na wieczór poszedłem do Goldberga, gdzie znów napiłem się herbatki z miodem. U Goldberga chodziło mi o pożyczenie na jutro burki ciepłej, bo zaproszony jestem przez mego ławnika, wójta gminy Czerwone, Kocika, na chrzestnego ojca do chrztu jego synka i po chrzcie kościelnym mam jechać do Kocików do odległej o 7 wiorst od Kolna wsi Wincenty, położonej nad samą granicą pruską.
Tak mi oto upłynął nudny dzień święta.

26 grudnia, rok 1917, środa
Byłem na chrzcinach u Kocika. Podczas sumy przywieziono do kościoła dziecko. Trzymałem je do chrztu z młodą nauczycielką ludową z Czerwonego, niejaką panną Felicją, 18-letnią dziewczyną, Warszawianką rodem. Chrzcił ksiądz Budrewicz. Dziecku dano na imię Eugeniusz. Po chrzcie pojechaliśmy do Wincenty. Powoził Kocik krępym konikiem żmudzkiego typu. Sanna pyszna; śnieg płytki, droga po szosie gładziutka jak po stole. Pierwszy raz w tym roku jechałem sankami, chociaż sanna jest już od przeszło dwóch tygodni. Mróz zelżał, wiatr mieliśmy za sobą z tyłu. Minęliśmy dużą wieś Czerwone po drodze i rychło przyjechaliśmy do pogranicznej Wincenty, w której mieszka Kocik. Tu była dawniej rosyjska komora celna, której gruzy dziś się ostały. Obecnie jest tu tzw. „wacha" niemiecka, która strzeże przejścia do Prus. Nikomu nie wolno przestąpić dziś granicy. Nawet sąsiedzkie stosunki między pograniczną polską Wincentą a położonym tuż obok Dłutowem pruskim są całkowicie wzbronione. Kocik jest zamożnym gospodarzem w Wincencie i zarazem wójtem gminy Czerwone. Lasy dokoła i rzeka Pissa, która tędy z Prus do Polski wpływa, robią położenie Wincenty ładnym i wesołym. Kocik, b. braciszek zakonny z Jasnej Góry, którego dziwne losy rzuciły w głąb kraiku Kurpiów na pogranicze pruskie, pędząc go tu za dziewczyną, którą przygodnie wśród pielgrzymek pobożnych w Częstochowie poznał i, węsząc zapewne dobry posag, zakochał się, obecnie ławnik Królewsko-Polskiego Sądu Pokoju w Kolnie i wójt gminy Czerwone, siedzi w Wincencie na fartuszku żony. Jest wszakże pełnym gospodarzem, a stanowisko społeczne, które zajmuje, dodaje mu powagi, szacunku ludzkiego i podnosi na stopień wyższy z masy chłopskiej. Kocikowa jest kobietą młodą, znacznie młodszą od męża, niebrzydką, wysoką i szczupłą, ładnie zbudowaną. Jest wszakże prostą chłopką, mało okrzesaną, rzetelną, poczciwą Kurpianką. Ma już z mężem troje dzieci, synków Edwarda i najmłodszego Eugeniusza oraz ładną o dużych oczach rumianą córeczkę Reginkę. Przyjemnie spędziłem dzień w Wincencie. Moja kuma, bardzo miła dziewczyna, pełna wdzięku i młodego życia, o zielonych oczach i bujnych chłopięcych włosach, obciętych i wonną bogatą czupryną zdobiących jej blond głowę, o ustach lekko grymaśnie skrzywionych, w których duże czerwone wargi tchną zmysłowością, grubasek dziewczęcy, pełny pieszczotliwej prostoty i tryskający bezpośrednio młodością, obecnością swoją uprzyjemniała tę gościnę. Rwała się do Czerwonego, gdzie urządziła choinkę dla dzieci ze swej szkółki, ale darmo. Chrzciny zmuszają do powinności obfitego jedzenia i spędzenia dłuższego czasu w gościnie u rodziców chrzestniaka. Najedliśmy się porządnie. Była wpierw herbata z mięsiwem wieprzowym i wędliną na zimno, z bułką wiejską słodką, z maderą i prawdziwym samowarem do herbaty. Potem o zmroku – obiad, złożony z wybornego mocnego rosołu z kury oraz jakiegoś pieczystego z pęsakiem i sosem śmietanowym. Do tego piwo. Po obiedzie Kocik sprowadził feldfebla niemieckiego z wachy i przez parę godzin zabawialiśmy się w domino. Następnie znów herbata i po herbacie o godz. 8 odjechaliśmy z kumą, która została po drodze w Czerwonym, ja zaś odjechałem do domu do Kolna.

27 grudnia, rok 1917, czwartek
Przyszła dziś poczta, ale od Maryńki – nic. Nie rozumiem, dlaczego nie pisze. Nic nie wiem jeszcze, czy dadzą jej pozwolenie na przyjazd do Kolna, czy nie. Niepokoję się trochę o to, ale nie chcę tracić nadziei. Tak mi miło piastować myśl o jej przyjeździe! Dzień upłynął mi bezbarwnie. Wystudiowałem kilka spraw z wokandy na 2 stycznia i więcej nic do roboty nie miałem. U nikogo też nie byłem w gościnie. O godz. 7 już się położyłem do łóżka. Na dworze była mglista ponura odwilż; śnieg topniał; kapało z

dachów. W mieszkaniu moim wypaliłem dwa razy w piecu i miałem przynajmniej ciepło. Chociaż na ogół mieszkanie moje nie daje się nigdy dokładnie ogrzać.
Powrócę jeszcze do tematu pożądanej przez Niemców linii Narwi. Urzędnicy niemieccy w Kolnie, z którymi rozmawiałem o tym w kasynie, są zupełnie pewni, że linia Narwi zostanie granicą niemiecką. Ani na chwilę nie wątpią o tym. Dawali mi do zrozumienia, że mają wiadomości o tym zupełnie ścisłe, których ujawnić nie mogą i że rzecz ta jest ostatecznie przesądzona. Stoczyliśmy z nimi na ten temat dyskusję. Wskazywałem im, wiedząc zresztą z góry, że to do ich przekonania nie trafi i mając zresztą świadomość nieziszczalności tego w obecnych stosunkach, że o wiele mocniej Niemcy by się zagwarantowały od ewentualnych przyszłych niebezpieczeństw na wschodzie, gdyby, zamiast zabierać cząstki Polski po Narew, oddały Polsce Poznańskie. Wówczas liczyć by mogły bezwzględnie na przyjaźń Polski, w której znalazłyby dla siebie oparcie we wszelkich komplikacjach na wschodzie. Byłby to wielki akt wspaniałomyślności, który by wysoko podniósł sztandar moralny Niemiec i dał im wspaniałe atuty w świtającej demokratycznej erze Wolności Ludów. Wiem jednak, że to zupełnie nierealne i że nawet marzyć o tym niepodobna. Stosunki międzynarodowe i moc wzajemna państw opierają się na źródłach nie moralnych, lecz bezpośredniej siły fizycznej, toteż nie można dziś jeszcze spodziewać się, żeby jakieś państwo, nie będąc do tego zmuszone, wyrzekło się jakiejś cząstki swego terytorium i uznało zasadę, proklamowaną przez bolszewików w Rosji o prawie każdego kraju i ludu wewnątrz państwa do oderwania się od terytorium państwowego i ogłoszenia własnej niepodległości. Od przyjęcia tej zasady przez ogół państw jesteśmy jeszcze bardzo daleko, a z pewnością i w samej Rosji zasada ta na stałe się nie utrzyma: minie rewolucja bolszewicka, utrwali się w Rosji jakaś nowa stała forma rządów i państwa i Rosja znów się stanie mocarstwem, akceptującym ogólnie mocarstwowe zasady Europy. Niemcy zwycięskie, zawierające pokój z Rosją, nie myślą o zastosowaniu do siebie tych zasad rewolucyjnych. Zdają one sobie zresztą sprawę z tego, że wcześniej czy później kryzys rewolucyjny przeminie w Rosji i że muszą one zastrzec sobie bezpieczeństwo na wschodzie względem tejże Rosji, a budować to bezpieczeństwo muszą na starych zasadach siły i egoizmu mocarstwowego, nie zaś na hasłach moralnych, dźwigniętych przez rosyjską rewolucję. Dlatego też o zwrocie Poznańskiego Polsce – nie ma co w obecnej chwili marzyć. Przeciwnie – na tym zastrzeganiu sobie bezpieczeństwa na wschodzie fundują Niemcy swój program linii Narwi jako granicy strategicznej. Wrócę jeszcze do tego tematu. Sądzę, że jednak duże są względy, które się przeciwstawiają tej kombinacji zaborczej Niemiec.

28 grudnia, rok 1917, piątek
Poczta ranna przyniosła list od Maryńki. Pisze, że już wie, iż otrzyma pozwolenie na przyjazd do Kolna, bo podanie jej wróciło z Warszawy z decyzją przychylną. Pokazywano je jej w „Pass-Amcie" wileńskim. Ale papiery powędrowały jeszcze do Głównej Kwatery Ob-Ostu (do Brześcia Litewskiego?) dla ostatecznej rezolucji. Toteż upłynie jeszcze trochę czasu, zanim Maryńka pozwolenie do rąk otrzyma. Liczy, że przyjedzie do mnie w połowie stycznia. Mniejsza mi o termin, byle tylko przyjechała. Zmartwiło mię tylko to, że Maryńka zapowiada swój przyjazd na „tydzień" albo na „dni 10". Za krótki to czas. Spodziewam się, że ją zatrzymam najmniej na dwa tygodnie.
Dziś już wreszcie po świętach był normalny dzień zajęć w sądzie. Było trochę interesantów, wpłynęły dwie nowe sprawy.
Dokończę jeszcze o kwestii „linii Narwi" z rozmowy mojej z Niemcami w kasynie. Niemcy nasi są tak pewni, że to nastąpi, jak żeby mieli najściślejsze wiadomości o tym. Że Niemcy tego bardzo pragną – to wiadomo. Być może nawet, że istotnie plan taki jest

ułożony w szczegółach zarówno wśród polityków niemieckich, jak w układach między Niemcami a Austrią w sprawie polskiej. Nie jest nawet wykluczone, że kierownicy państwa rosyjskiego z Leninem na czele są o tym projekcie poinformowani i godzą się nań pod płaszczykiem sprawy „uregulowania granic". Projekt ten zdaje się być kompromisem między polityką aneksyjną a kierunkiem niepodległościowym w stosunku do Polski. Zdaje się on też łączyć z projektem połączenia Królestwa z Galicją pod berłem Habsburgów i w związku z Austrią. Polska, zyskując tą drogą zjednoczenie dwóch narodowych dzielnic i realne oparcie o Austro-Węgry, łatwiej by przebolała lekkie cięcie, zadane jej na północy przez „uregulowanie granicy" na rzecz Niemiec po Narew. Tak kalkulują przynajmniej, jak się zdaje, rzecznicy tego projektu „umiarkowanej" aneksji. Nie wiem, czy linię Narwi należy pojmować w ramach pierwotnych apetytów niemieckich, sięgających wzdłuż prawego brzegu Narwi aż do jej ujścia i stamtąd prawym brzegiem Wisły, to znaczy odcinających od Polski nie tylko północne części b. guberni łomżyńskiej, ale i całe płockie Mazowsze, czy też projekt ten został obecnie zwężony li tylko do Narwi w średnim jej biegu; tak można by go rozumieć ze słów moich rozmówców Niemców; chodziłoby więc przede wszystkim o powiaty szczuczyński, kolneński i ostrołęcki, czyli że jądrem tego zaboru byłby mój kraik Kurpiów, biedny Kopciuszek afery. Nie wiem oczywiście, jak dalece jest ten projekt zaawansowany praktycznie, ale wydaje mi się, że jednak, pomimo faktu, iż Niemcy zawierają z Rosją pokój jako zwycięzcy na wschodzie, nie jest on jednak dla nich łatwy do urzeczywistnienia. Są wielkie trudności, z którymi jednak politycy niemieccy, zawierający pokój, będą się musieli liczyć. Pierwsze – to, że bolszewikom rosyjskim z wielką trudnością się przyjdzie zgodzić na taką zamaskowaną aneksję, która, choć ukryta pod pozorami, jest jednak aneksją i jako taka przeczy jaskrawie ich hasłom i zasadom; rewolucjoniści zaś więcej, niż kto inny, zmuszeni są do konsekwentnego przestrzegania zasad, które stanowią ich główną moc; odstępstwo od zasad kompromitowałoby ich wobec rewolucji i w oczach całego świata i zarazem dałoby przeciwko nim broń do rąk ich licznym wrogom, czyhającym na ich zgubę i nieustającym w knuciu intryg na ich obalenie. Wolno deptać zasady rządom starym i ugruntowanym, ale nie wolno deptać ich tym, którzy sami się na nich wyłącznie fundują. Toteż bolszewicy chyba łatwo się na to zgodzić nie mogą, gdyby nawet po cichu się na to godzili; skandalu sprzeniewierzenia się własnym hasłom i zasadom muszą się bać. A swoją drogą Niemcy, chociaż są formalnie zwycięzcami i wiedzą, że Rosja wojować dłużej nie jest w stanie, są bardzo zainteresowani w tym, aby Rosjan nie drażnić i dojść nie tylko do pokoju, ale do ugody z Rosją. Drugie – to, że najmniejszy zabór Polski, choćby utajony pod formą „regulacji granic", byłby dla samych Niemiec kompromitacją wobec świata i dałby Anglii, Ameryce i Francji znakomity atut na rzecz ich twierdzeń o tym, że Niemcy są w Europie narzędziem gwałtu i przemocy, podczas gdy Koalicja jest rzeczniczką rycerską prawa słabych i małych narodów. Dopóki na Zachodzie wojna nie skończona, Niemcy muszą być ostrożne i nie mogą wrogom przysparzać atutów moralnych. Odpowiada za to bowiem ich własna skóra, która jeszcze bezpieczna nie jest. Wreszcie trzecie, co Niemcy może najmniej doceniają, ale co swoją wagę dla polityka mieć musi – to, że w ten sposób Niemcy od razu zyskaliby w Polsce śmiertelnego wroga. Wrogów mają oni ze wszech stron bez liku i zyskiwać nowych nie leży chyba w ich interesie. Polska krzywdy zaboru nie zapomniałaby nigdy. Nowa sąsiadka Niemiec – Polska – byłaby od samego urodzenia ich wrogiem nieprzejednanym. Łatwiej się Polsce pogodzić i wyperswadować to, że Poznańskiego nie posiądzie, niż pod jakimkolwiek pretekstem zaakceptować fakt nowego krajania jej żywego ciała.

29 grudnia, rok 1917, sobota
Otrzymałem dziś kartkę od Ludwika Abramowicza z Warszawy, z której najwięcej mię zainteresowało to, że Ludwik pisze, iż ma dla mnie kartkę od mojej siostry Kotuni Pruszanowskiej z Mińska. Nie przysyła mi jej pocztą, bo lęka się, żeby tą drogą nie zginęła, a przecie teraz taki list z Mińska, zza frontu wojennego – to skarb. Ciekaw jestem niezmiernie tej kartki. Nie dostanę jej inaczej, jak przez jakąś okazję. Ciekawe zarówno to, co Kotuńka pisze, jak to, jaką drogą kartka ta przyszła. Czy już przez komunikację bezpośrednią, umożliwioną w zasadzie przy istniejącym rozejmie, ale nieregulowaną jeszcze w praktyce, czy też jakimiś drogami okólnymi?
W sądzie był dzień cichy. Kilku zaledwie interesantów zajrzało do kancelarii. Z tych jeden wniósł skargę karną. Od dłuższego już czasu dostarcza sądowi naszemu spraw wyłącznie Kolno. Ze wsi nie ma żadnego dopływu spraw. Z gminy Łyse, najdalszej od sądu, ruch spraw ustał bezwzględnie.
Dzień był do południa słoneczny, śliczny. Lekki suchy mrozik bez wiatru, ulice śliskie, jak po czystym lodzie. W taki pogodny dzień otucha wstępuje w serce i budzi się radość życia, pragnienie młodości, ruchu, szczęścia. Po długiej samotnej jesieni świtać zacznie wkrótce wiosna, a przynajmniej jej tchnienie słoneczne, dzień dłuższy, częstsza i trwalsza pogoda. Ze smutnej melancholii jesiennego zmierzchu serce się budzi do życia. Rozpraszają się posępne myśli, energia krążyć zaczyna po żyłach. Obyż mieć czyn albo głęboką pochłaniającą treść życia! Pustka i samotność męczą mię. Niestety – z piękną wiosną nie ostanie ta ciężka samotność. A im dalej się wchodzi w lata, im młodość dzień po dniu zostaje coraz dalej za nami, w krainie przeszłości, tym samotność ta jest cięższa. Boże, gdzie te piękne lata szczęścia mojego! Wiek dojrzały czuję na sobie w całej pełni. Rychło – a nadejdzie powolna starość. Młodość miałem intensywną, bogatą we wrażenia i w uczucia głębokie a silne, młodość, w której życie kipiało i lało się strugą pieniącą. Uwieńczona ona została w latach wczesnej dojrzałości koroną jedynego szczęścia w miłości i związku z Anną. I to się już urwało i trzeba iść w cień. Ale serce nie chce się z życiem młodości rozstać i instynktem woła powrotu szczęścia. Na próżno, serce moje! Mieć jeszcze możesz surogaty, ale rzeczywistości poprzedniej – nigdy! Próżno szemrze tęsknota. Może się jeszcze znajdzie na drogach życia wielki czyn, zadanie społeczne, zapłodnione nasieniem najlepszych ideałów, z młodości mej ubiegłej wykwitłych, ale szczęście wielkie, rozkwit osobowy – już nigdy. Pod tym względem karmić mi się wolno już tylko surogatami. Czasami pragnie się choćby ich, byle czymś pustkę samotności zapełnić. Szkoda, że nie pisałem ciągłego dziennika, jak obecnie, od lat chłopięcych, przez młodość i – nadal. Miałbym cały ciąg życia streszczony. Byłoby w nim sporo treści epickiej, a zwłaszcza byłaby ta młodość, której nic w życiu nie zastąpi. Dziś mogę ją tylko wspominać, wówczas – byłaby ona zaklęta żywa w dzienniku.

30 grudnia, rok 1917, niedziela
Dziś miałem dzień bogaty we wrażenia i ciekawie spędzony. Niepospolita się trafiła niedziela na stosunki kolneńskie. Treściwie spędzona niedziela – to osobliwość w mojej wegetacji w Kolnie. Jak na jedną kartę dziennika, to nawet nie zmieszczę całego dnia dzisiejszego i będę musiał przenieść część na dzień jutrzejszy. Takie jest monotonne moje życie tutaj, że każdy epizod musi wyrastać w dzienniku do wielkich wymiarów sprawozdania.
Od czego zacząć? Najstosowniej może byłoby od tego, co pod względem wrażeniowym było najjaskrawsze i było w kolei rzeczy ostatnie, wskutek czego utrzymuje mię jeszcze w tej chwili pod bezpośrednią sugestią? Mam na myśli śpiew słynnego kantora

warszawskiego – Siroty – w synagodze na nabożeństwie wieczornym, na którym byłem obecny. Ale pójdę inną drogą i dotknę rzeczy w ich kolei biegu.
Przed południem siedziałem w sądzie i pisałem w pewnej sprawie cywilnej wyrok w formie ostatecznej, obstalowany dla apelacji, bo trzeba wiedzieć, że ostatnimi czasy apelacje posypały się w moim sądzie dość gęsto (ta będzie już piątą apelacją, nie licząc paru spraw, w których wyroki były już także dla apelacji obstalowane, ale apelacja w ostatniej chwili na skutek pogodzenia się stron zaniechana została). Wtem przychodzi do sądu żołnierz niemiecki, przysłany przez naczelnika powiatu von Cornberga, który jeździł świeżo do Wilna, i przynosi mi paczkę z grubym listem od Maryni. Co za radość! Tym bardziej, że list, jako przysłany przez okazję, pisany po polsku. Spodziewałem się tego listu, bo wiedziałem, że p. v. Cornberg jeździł do Wilna i był tak grzeczny zawieźć mój list do Maryńki, a raczej gruby pakiet listowy – zawierał całą kopalnię listów i wiadomości. Oprócz właściwego listu Maryńki oraz listu Stefusia do mnie, były tam dwie fotografie-widoczki z wioski Bohdaniszek – kochane pamiąteczki, dalej sążnisty list Zitki Komorowskiej, pisany do Ewy w listopadzie z Kowaliszek, pełny różnych ciekawych wiadomości zarówno o samych Kowaliszkach, jak o dalszych nowinach i stosunkach nawet zza kordonu wojennego, następnie jakiś list Papy do Maryńki, przysłany mi przez nią na próbkę o usposobieniu Papy i jego nieznośnej gderliwości, rosnącej z biegiem lat, a tak niepohamowanej, że doprawdy nie ma w liście ani jednego ustępu, nie dotykającego boleśnie Maryńki lub jej dzieci; w liście Papy jest jeden jedyny leit-motiv: przeświadczenie o własnej nieskalanej doskonałości i poniżenie wszystkich i wszystkiego, a w pierwszym rzędzie samej tej osoby, do której pisze i wszystkiego, co może być dla niej drogie; podobny list zresztą i ja sam od Papy przed 10 dniami otrzymałem. Wreszcie załącza Maryńka parę listów biednych matek Wilnianek do synów legionistów-Szczypiorniaków, więzionych obecnie w Łomży; te ostatnie listy pisane łzami i sercem. Czy zdołam je w jakiś sposób doręczyć biedakom, umęczonym w Łomży? Niestety – wątpię. Ale będę próbować, gdy będę w Łomży: może się jakieś drogi znajdą.
Gdybym chciał wszystko streszczać, co pisze Maryńka, a tym bardziej jeszcze to, co podaje sążnisty list Zitki do Ewy, nie wystarczyłoby mi i paru kartek w dzienniku. Toteż ograniczę się do tego, że Maryńka zapowiada swój przyjazd na... 25 stycznia. Choć jeszcze do rąk pozwolenia nie otrzymała, ale liczy, że do tego czasu już na pewno otrzyma. Są w liście Maryńki i pewne informacje polityczne o stosunkach w Rosji z opowiadań niejakiego Litwina, który przybył z Rygi i najął u niej pokoik, a który cały pierwszy okres rewolucji przemieszkał w Moskwie, wreszcie jest także ciekawa dla mnie, acz nierozwinięta szerzej, wzmianka o pewnym zarysowującym się rozłamie wśród Litwinów, z których jedni należą do Rady Krajowej i popierają ją, drudzy zaś są do niej w opozycji i zwalczają.
O zapoczątkowanej dziś w Kolnie organizacji pomocy dla internowanych w Łomży Szczypiorniaków i o kantorze Sirocie w synagodze – do jutra!

31 grudnia, rok 1917, poniedziałek
Oto się kończy rok 1917. Upłynął ostatni dzień tego roku. Gdy to piszę, jest godz. 6 ½ wieczorem: dzień skończony; zapadła noc – Sylwestrowa, w której się dokona zmiana roku; gdy dzień nowy wstanie, mieć będziemy rok 1918. Co on nam przyniesie? Ubiegły przyniósł u schyłku swego nadzieję pokoju. Rok wschodzący rodzi się w brzaskach błogosławionej jutrzni pokoju. Czy go nam spełni? Mam nadzieje, że tak, przynajmniej na wschodzie. A może da nam nawet pokój powszechny, utęskniony *Pax Europae et Pax Mundi*. Oby tak było, amen. Jakie też koleje czekają moje życie w nadchodzącym roku? Czy jeszcze mi wypadnie doczekać jego końca w Kolnie, na

niewzruszonej posadzie sędziego pokoju, czy też na pograniczu następnego roku 1919 będę już w Litwie, może jako sędzia w wielkoksiążęco-stołecznym mieście Wilnie!! Rok ubiegły był zmienny i burzliwy w moim życiu, jak prawie wszystkie zresztą. Na początku roku byłem żołnierzem Legionów i wraz z nimi przeszedłem martyrologię czekania owej armii polskiej oraz jałową męczarnię pustych wysiłków ku czemuś wielkiemu; w skutku – dostałem się do obozu jeńców, do kaźni szczypiorniackiej, skąd wypłynąłem szczęśliwie na sędziego pokoju do cichego kraiku Kurpiów. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen! Żegnaj roku stary, przybywaj roku młody i bądź nam błogosławiony a pełny łaski od Boga dla pogrążonej w nieprawościach i dyszącej złem, ale nieszczęśliwej – mój Boże – ludzkości.
Przechodzę do rzeczy bieżących. Do dnia wczorajszego, którego nie dokończyłem w dzienniku. Odbyło się mianowicie z inicjatywy nauczycielek kolneńskich zebrańko w sprawie organizacji pomocy dla internowanych w Łomży Szczypiorniaków. Jak wspominałem w dzienniku, zamierzałem ja się tą sprawą w Kolnie zająć, ale chciałem wpierw porozumieć się z komitetem, który w tym celu powstał w Łomży. Opóźnienie przyjazdu Maryńki wpłynęło na to, że wyjazd mój do Łomży na razie nie doszedł do skutku. Tymczasem ubiegły mię miejscowe nauczycielki, które wybrały drogę inicjatywy w postaci zwrócenia się do dziekana. Nie uważam tę drogę za najlepszą, pomimo wszelkie pozory skuteczności udziału duchowieństwa w oddziaływaniu na „ofiarność" publiczną. Oddanie sprawy w ręce dziekana i kleru od razu nadaje jej ten specyficzny charakter dobroczynny i protekcjonalno-klerykalny, którego zaiste warto byłoby tutaj uniknąć, bo to sprawa nie filantropii i litości nad ubogimi, ale wybitnie społeczna i obywatelska, stanowiąca surowy obowiązek w narodzie i społeczeństwie (nie wykluczając i Żydów, których kuratela filantropijna księży zawsze z góry usuwa; ciekawa jest psychologia Polaków w sprawie Żydów: gniewają się na nich, gdy ci stają na stanowisku odrębnej narodowości i żądają od nich, by politycznie byli Polakami, a tymczasem sami ich na każdym kroku od praw i obowiązków obywatelskich i społecznych odsuwają! Na słowach formalnie mówią o równouprawnieniu, ale w praktyce go nie stosują i sami Żydów poza nawias społeczności obywatelskiej stawiają! Czegoż w istocie więc chcą od nich i czy takie postępowanie nie przypomina trochę kapryśnych dzieci!). Ale mniejsza o tę dywersję w sprawie żydowskiej. Wracam do tematu. Dziekan za pośrednictwem wikarego ks. Budrewicza porozumiał się z kilku tzw. „inteligentami" w Kolnie i na wczoraj na godz. 3 zwołał u siebie zebrańko w tej sprawie. Obecni byli na nim: ks. dziekan Czarnowski, ks. wikary Budrewicz, Franciszek Stachelski, aptekarz Gołaszewski, pisarz hipoteczny Mystkowski, ja i cztery nauczycielki, z których dwie Zielińskie (z Kolna i z Janowa), trzecia panna Timoftiewicz (Polka, z rodu Rusinka) i czwartej nazwiska nie znam. Z dłuższą przemową i z programem organizacji wystąpiłem ja. Skreśliłem stan nędzy i głodu, jaki był w Szczypiornie oraz pomoc, którą tam niesiono, przedstawiłem stan potrzeb, który wymaga nie jednorazowej doraźnej składki, ale ciągłego wysiłku w celu systematycznego zaprowiantowania głodzonych męczenników, przedstawiłem mój projekt nawiązania organizacji tej pomocy do działalności społecznej Rady Opiekuńczej Powiatowej i w szczególności nawiązania jej do jakichś ciągłych potrzeb ludności, zaspakajanych przez Radę Opiekuńczą, jak oto opodatkowanie na ten cel sprzedaży przez radę cukru lub soli, bo tylko tą drogą, nigdy zaś przez datki, składki i ofiary, czyli przez jałmużnę, nie zbierze się tyle, ile potrzeba na ciągłą i systematyczną pomoc, wreszcie silnie i dobitnie podkreśliłem moment społeczny, nie zaś jałmużniczo-filantropijny, tego obowiązku pomocy społeczeństwa dla legionistów, którym Polska zawdzięcza tak wiele i którzy ze swej strony do ostatka spełnili dobrowolnie przyjęty i ofiarny obowiązek czynu o Niepodległość Polski, cierpiąc dziś za tę ofiarę, bo tak jest

w istocie. Zebrani uznali w zupełności moje przesłanki, a p. Stachelski poparł mój projekt konkretny co do nawiązania tego do Rady Opiekuńczej i opodatkowania na ten cel sprzedaży cukru. Zebranie wyłoniło komitet tymczasowy, do którego weszli ks. dziekan, Stachelski, ja i dwie nauczycielki (jedna Zielińska z Janowa i Timoftiewiczówna). Komitetowi temu polecono: a) nawiązanie stosunku z Komitetem Pomocy z Łomży, b) porozumienie się z Radą Opiekuńczą Powiatową dla wykonania mojego projektu i c) natychmiastowe rozpoczęcie gromadzenia doraźnych środków w postaci listy składek, dochodu z przedstawienia amatorskiego itd.

1 stycznia, rok 1918, wtorek
Piąty kalendarzowy rok wojny: 1914, 1915, 1916, 1917 i 1918! Historia zna wojny 30-sto i 100-letnie, ale co do grozy są one głupstwem w stosunku do obecnej wojny czteroletniej.
Nowy Rok spędziłem towarzysko, szczególnie zaś dużo jadłem i piłem. Rano przyszli do mnie z wizytą i życzeniami noworocznymi gremialnie: Stachelski, Miętkiewicz i Goldberg. Mieszkanko moje jest tak ubogie i skąpo umeblowane, że przy wizycie trzech osób naraz nie mogę ich nawet posadzić: mam bowiem tylko dwa krzesełka. Nie ma też oczywiście mowy o tym, abym mógł ich czymś przyjąć, bo gospodarki regularnej w domu nie prowadzę; a tymczasem w Kolnie jest patriarchalny zwyczaj częstowania gości co najmniej herbatką, a najczęściej także mięsiwem i wódką, nie zważając na straszną drożyznę spirytusu. Jak już Maryńka do mnie przyjedzie, to będę musiał sprawić generalne przyjęcie dla moich przyjaciół kolneńskich. Stachelski, widząc mój kłopot, znalazł wyjście, zapraszając mnie i obu swych kamratów do siebie na śniadanko. Było ono obfite: wspaniała tłusta szynka, sztufada wołowa na zimno i do tego butelka litrowa zaprawionego jakimś smakiem przedwojennego spirytusu rosyjskiego. Przy śniadanku czas upłynął do południa. Stamtąd poszedłem z wizytą noworoczną do naczelnika powiatu v. Cornberga, którego zastałem w jego mieszkaniu prywatnym. Opowiadał mi o Wilnie, pokazywał rzeczy, które tam kupił na pamiątkę – piękne ludowe tkaniny litewskie, ozdobny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, różne drobiazgi, opowiadał o Maryńce, u której był parę razy: najwięcej mu utkwiła w pamięci Ewa, która widocznie spodobała mu się. Od Cornberga o godz. 1 poszedłem do Mystkowskich, do których byłem zaproszony na południe na śniadanie. I tu się nie mogłem wykręcić od jedzenia, choć już byłem pełny: uraczyli mię świniną z kaszą jęczmienną (kasza jest rzadkim przysmakiem w obecnych czasach), piwem i kawą. Na obiad mój do Chodnickiej już nie poszedłem wcale. Gdym wrócił do domu, zaledwie wypiłem mleko, przyszedł do mnie z życzeniami noworocznymi „wice-burmistrz” Kolna z nominacji niemieckiej, niejaki Icek Wajnsztajn, figura obskurna, nieuczciwa, którą Niemcy postawili na tym stanowisku bez żadnych kwalifikacji po temu, prócz chciwych rąk. Siedział u mnie długo i nudził mię. Wkrótce po jego wyjściu przyszli z wizytą noworoczną mili goście, zacni moi dwaj ławnicy żydowscy – Remba i Jerozolimski, których bardzo lubię i którzy prawdziwie zasługują na sympatię i szacunek. Mam też i ja u nich wielki szacunek i przyjaźń, jak zresztą u ogółu Żydów w Kolnie. Żydzi nie mają dość słów uznania dla mnie. Cenią oni nade wszystko to, że jestem bezwzględnie sprawiedliwy i nie robię żadnej różnicy między Żydem a chrześcijaninem: na to są Żydzi zawsze bardzo wrażliwi i umieją to ocenić, szczególnie że tyle wyczuwają dokoła i doświadczają antysemityzmu. Nie jestem ani antysemitą, ani filosemitą. Przede wszystkim traktuję Żydów po ludzku; w tym określeniu mieści się wszystko. Znam i widzę wady Żydów, wiem, że w Izraelu jest bardzo dużo nieprawości, może więcej, a nieraz jaskrawiej, niż w jakim innym narodzie; brudu i świństwa jest wśród Żydów bardzo dużo, a handel, którym się prawie wyłącznie

zajmują, szczególnie ich do występków pewnej kategorii usposabia. Ale jest w tym nieszczęśliwym tułaczym ludzie żydowskim dużo wartości, które szanuję. Żyd może jest najbardziej wszechludzkim ze wszystkich ludów. W duszy jego łączą się najszczytniejsze perły ducha ludzkiego z podłością ludzkiej natury. W żydostwie kojarzy się cały człowiek z jego dobrym i złym. Ten naród, pełny nieprawości, jest przecie tym, który najpierwszy albo jeden z najpierwszych w głębokiej starożytności wystawia wielkie przykazanie: „Nie zabijaj!", stosując je nie do Żydów tylko, lecz do każdego człowieka. Ten naród wydał wielkich filozofów i wspaniałe systemy religijne z chrześcijaństwem na czele, na których się oparła cała kultura duchowa ludzkości. Dusza Żyda, pełna wielu nieprawości, ma też dużo motywów szlachetnych. To Człowiek! Są też wśród Żydów ciekawe i piękne typy ludzkie, jak oto ten mój ławnik Remba, prosty Żyd, nie inteligent, uczciwy do szpiku kości, a miłośnik wiedzy, który handlując we dnie w sklepiku łokciowym, spędza długie wieczory z zamiłowania na lekturze dzieł filozoficznych, poezji i historii, dzieł zarówno starożytnych, jak współczesnych, oryginalnych i tłumaczonych – w języku hebrajskim. Umiłowana lektura pochłania go do późnej nocy. Remba i Jerozolimski byli u mnie dziś po raz wtóry; za pierwszym razem przychodzili z wizytą wraz z rabinem, ale mię nie zastali. Wieczorem byłem na kolacji u Goldberga.

2 stycznie, rok 1918, środa
Pierwsza sesja sądowa poświąteczna. Na dworze zawieja śnieżna. Zdaje się, że gdyby nawet były najpilniejsze interesy i gdyby mieć sprawę wyznaczoną w sądzie, to trzeba byłoby się chłopu namyślić, czy warto w taką pogodę jechać gdzieś ze wsi daleko do sądu. Spraw jednak wiejskich było mało, bo teraz zresztą w ogóle wieś się bardzo mało sądzi. Ogółem sesja była dziś cicha. Trwała 1 ½ godziny, od 10 ½ do 12-tej. Z siedmiu spraw, które były na wokandzie, tylko jedna właściwie toczyła się w całej rozciągłości: była to sprawa karna z cyklu spraw Antonowicz-Olszewski, w której Olszewski był oskarżony przez Antonowicza o zniesławienie. Olszewski był wpierw zdecydowany bronić się przez przeciwstawienie dowodu prawdy i powołał na rozprawę cały szereg świadków na utwierdzenie tego, że Antonowicz brał łapówki za wystawiane przezeń świadectwa o koniach i że przeto rozgłaszane przez Olszewskiego okoliczności były prawdziwe i nie stanowią potwarzy. W ostatniej jednak chwili na rozprawie Olszewski, rozumiejąc widocznie, iż faktu łapówek świadkowie nie potwierdzą, bo jeżeli nawet je Antonowiczowi dawali, to się wobec sądu zaprą, aby samym nie odpowiadać za to, stchórzył i zrzekł się twierdzenia o prawdziwości łapówek. Natomiast w obronie swej powołał się na to, że Antonowicz odpłacił mu równie ciężką zniewagą, na której stwierdzenie powołał się na świadka naszego ławnika Jerozolimskiego. Sprawa, po zbadaniu świadków Antonowicza, którzy istotnie potwierdzili fakt rozgłaszania przez Olszewskiego potwarzy o łapówkach, została, wbrew życzeniu Antonowicza, odroczona dla sprawdzenia powołanej przez Olszewskiego wzajemnej zniewagi. Najdrastyczniejszy więc moment tej sprawy – usiłowanie udowodnienia łapówek – odpadł. Nie wypłynął też na scenę drugi drastyczny element sprawy, będący właściwie jej sprężyną – stosunek Antonowicza do żony Olszewskiego. Cała ta sprawa zresztą – to tylko epizod skandalu miłosnego. Z innych spraw, które dziś były na wokandzie, ani jedna nie była rozpoznawana merytorycznie; toteż sesja dzisiejsza odbyła się bez wyroków. Sprawy były albo usunięte z wokandy za niestawieniem się stron, albo umorzone za zrzeczeniem się powództwa, albo odroczone za niedoręczeniem pozwanemu wezwania. Na sesji zasiadali ławnicy: Stachelski i Remba.
Pod wieczór zawieja szalała coraz gwałtowniej. Już o godz. 6, 7-mej i później była tak straszliwą, że można było w Kolnie na rynku zabłądzić. Wiatr ze śniegiem siekł ze

wszystkich stron, zasypywał oczy, nie dawał się w żadnym kierunku zorientować. Niepodobna się było wychylić z mieszkania. Zresztą wszystkie sieni, strychy – były pełne śniegu, który się wciskał wszędzie przez wszystkie szczeliny. W mieszkaniach też było zimno, bo wiatr wywiewał całe zewsząd ciepło. Dachówki się zrywały z dachów, okna trzeszczały, szyby wszystkie były oblepione śniegiem.
Miałbym jeszcze do pisania, ale jest zimno, aż odwagi do robienia czegokolwiek brak.

3 stycznia, rok 1918, czwartek
Po nocy śnieżnej zawiei cudnie dziś wyglądało Kolno: całe miasteczko tonie, spowite w śniegu; wzdłuż płotów, poza domami, gdzieniegdzie przez środek ulicy – biegną fantastyczne pasma zasp śnieżnych, piętrzą się wały i góry śniegu; ściany domów oblepione dziwacznie śniegiem; wszędzie go pełno. Dokoła domów, jak również w podwórzach i nawet wewnątrz, po sieniach, schodach, strychach – wre praca ludzka: wymiatanie i odgrzebywanie śniegu, torowanie przejść i dróg. Rano słońce ubarwiło ten piękny widok śnieżny. Wkrótce się niebo znów zachmurzyło i kilkakrotnie z przerwami znowu padał śnieg, ale już równo – bez zawiei. W sądzie przez cały dzień głucho. Nie było też żadnego targu na rynku, choć to czwartek – dzień targowy: nikomu nie pilno w drogę w takie bezdroże.
Poświęcę teraz kilka słów wielkiej sprawie rokowań pokojowych między Rosją a Niemcami, Austro-Węgrami, Bułgarią i Turcją w Brześciu Litewskim. Jak wiadomo, rokowania te, rozpoczęte około świąt Bożego Narodzenia, zostały po kilku dniach zawieszone do 4 stycznia na żądanie Rosji, aby dać jej czas jeszcze raz zwrócić się do koalicji zachodniej z propozycją przystąpienia do rokowań powszechnych. Tymczasem ogłoszone zostało w pismach sprawozdanie z odbytych pierwszych posiedzeń obrad. Sprawozdanie to wywołuje wielką sensację i jest bardzo żywo omawiane. Budzi ono różne nadzieje, wywołuje liczne komentarze; wszyscy są nim poruszeni. Delegacja rosyjska w Brześciu, jak się należało spodziewać z ogłoszonych przez rewolucję rosyjską zasad, postawiła tezę plebiscytu dla wszystkich ziem okupowanych na froncie wschodnim; ziemie te, a więc konkretnie Polska, Litwa, Kurlandia, cząstki Inflant i Estonii (wyspy bałtyckie), cząstki Białej Rusi i Ukrainy (Wołyń Zachodni), mają same orzec w drodze plebiscytu ludowego, w którym brać mają udział także zbiegowie z tych ziem, przebywający obecnie w Rosji, o przyszłej przynależności państwowej tych ziem, względnie o ich niepodległości. Co ważniejsze – Rosja zażądała, w celu zastrzeżenia wolności plebiscytu, poprzedniego wycofania z tych ziem wszelkich wojsk oraz władz okupacyjnych; do czasu plebiscytu na ziemiach tych może być utworzona tylko milicja krajowa i prowizoryczna organizacja demokratyczna. Delegaci mocarstw centralnych wnosili wprawdzie pewne zastrzeżenia, ale w zasadzie tezę tę przyjęli i na niej zasadniczo stanięto. Oczywiście, że nie było żadnej mowy o jakichś możnościach drobnych zaborów w postaci „regulowanie granic", jak sobie popularna opinia niemiecka życzy, o „linii Narwi" itp. Zasada przyjęta jest bez wyjątków i bez ograniczeń. W Kolnie na tę wieść obudziły się już szeroko nadzieje na rychłe wycofanie się Niemców. Wszyscy zresztą żyją i myślą pod znakiem zlikwidowania okupacji, ustanowienia milicji, wolności i plebiscytu. Wielka prasa niemiecka ostro atakuje szefa delegacji niemieckiej w Brześciu, sekretarza stanu do spraw zagranicznych Kühlmanna, zarzucając mu zbytnią ustępliwość na żądania rosyjskie; nie mniej jest atakowany przez prasę niemiecką austriacki Czernin. Nic to nie pomoże. Kühlmann lepiej od prasy niemieckiej zna i wyczuwa konkretne możliwości Niemiec, tak polityczne, jak gospodarcze i militarne, i jeżeli jest usposobiony do żądań rosyjskich tak ugodowo, to z pewnością dlatego, że to możliwości go do tego zmuszają, a działa oczywiście w porozumieniu z Główną Kwaterą Wojenną, a więc zarówno z kanclerzem i cesarzem

Wilhelmem, jak z Hindenburgiem i Lüdendorfem. Swoją drogą, perspektywy, które się otwierają, są niesłychanie ciekawe. Jeżeli będzie plebiscyt z cofnięciem okupacji, z ustanowieniem milicji i swobód demokratycznych, wolności zebrań, agitacji itd., to stosunki ku reformom i głębokim przemianom wewnętrznym mogą zajść bardzo daleko, nie wyłączając Polski. Może jestem niepoprawnym optymistą, ale wierzę, że może i w Polsce dojść do Konstytuanty, a rządy, szkicujące się obecnie w duchu monarchii dziedzicznej i panowania arystokracji i klerykalizmu, mogą wziąć w łeb na rzecz rządów ludowych. Ciekawy też niezmiernie jest sam ognik ewentualnego plebiscytu. Może on zgotować bardzo liczne i całkiem nieprzewidziane niespodzianki. Nie tylko na Białej Rusi, w Kurlandii i Litwie, ale w samej nawet Polsce głosowanie powszechne o przynależności państwowej może dać niespodziewane kombinacje. Są duże szanse do przypuszczania, że Żydzi w Polsce w dużej masie ciążyć będą jeżeli nie do państwowości, to przynajmniej do związku Polski z Rosją. Skłaniają ich do tego zarówno względy ekonomiczno-handlowe, jak nieufność do antysemityzmu polskiego. Pospolici Żydzi nie kryją się z sympatiami do związku z Rosją. Zależy od tego, jakie im dane będzie hasło przez ich przywódców narodowo-politycznych. Ale też i w chłopskich masach Polski Rosja jest niezmiernie popularna, kto wie – czy nie popularniejsza od niepodległości Polski. Co do Litwy, plebiscyt może zgotować jeszcze więcej niespodzianek w kierunku odśrodkowych ciążeń bądź do Rosji, bądź do Polski (różne części Grodzieńszczyzny, gub. wileńskiej i samego Wilna). Litwinów w ich konstrukcji „Litwy etnograficznej” z Wilnem i „przyległościami” grozi duże niebezpieczeństwo. Czują to oni i już w „Lietuvos Aidas” podnoszą kompanię zdemaskowania wad takiego plebiscytarnego obowiązania sprawy.

4 stycznia, rok 1918, piątek
Dziś była ciekawa sesja sądowa. Sprawy były urozmaicone, treściwe, przeważnie dość skomplikowane i mocno sporne, takie, w których czynność sędziowska wymaga głębszego wysiłku uwagi i myśli. Płynęły one powoli, majestatycznie, z dużym nakładem pracy. Sesja trwała dość długo, bo aż do samego prawie zmroku; wprawdzie też zaczęła się późno. Gdy się sesja rozpoczynała, zdawało się, że z powodu strasznych zasp śnieżnych większość wezwanych zarówno stron, jak świadków – nie stawi się i że sesja będzie równie martwa, jak pierwsza tegoroczna: że wszystkie niemal sprawy za niestawiennictwem stron spadną z wokandy. W ostatnich czasach, na tle rosnącego zastoju w ruchu spraw, takie martwe sesje, w których sprawy jedna za drugą spadają z wokandy, są coraz częstsze. Gdym przyszedł o godz. 9 ½ do sądu, zastałem tam z publiczności, wezwanej do spraw, tylko jednego człowieczka, wezwanego na świadka, który poprzez zaspy śnieżne sumiennie przywędrował z daleka, bo aż z odległości 9 mil, idąc dwa dni i zziębnięty stał przy piecu i grzał się. Widząc taką pustkę, byłem już przygotowany na to, że sesja dzisiejsza będzie znowu jałowa. Minęły te ludne, natłoczone publicznością sesje z pierwszych miesięcy mego urzędowania, jakie były we wrześniu, październiku i jeszcze listopadzie. Zdarzają się teraz sesje – parę było już takich w grudniu – które się toczą wobec 2-3 osób na sali. A pustka na sali, martwa bezludna sesja – jest wielką przykrością dla sędziego, przynajmniej dla mnie. Gdy się ma zapał do pracy, gdy się ochoczo staje do jakiejś roboty, to się chce, żeby ona kipiała w ręku, żeby się materiał do niej nie wyczerpywał. Nic nie ma gorszego i bardziej zniechęcającego dla zapału, jak gdy przedmiot pracy się urywa i chęć czynu natrafia na bezprzedmiotową próżnię. A do tego jeszcze czynność sędziego w sesji publicznej jest tego rodzaju, że ma w sobie pewien element teatralny: jak w grze aktorów, tak w czynności sędziego praca idzie tym raźniej, tym pełniej i płodniej, im audytorium publiczności jest większe. Nie wiem, jak inni sędziowie, ale ja to doświadczam na

sobie. Obecność publiczności, pełna sala, cechy zainteresowania audytorium sprawą wpływają na intensywność mojej pracy. W sędzim wytwarza się pewne mistrzostwo aktora. Leniwie schodziła się dziś rano publiczność. Gdy przyszli ławnicy (był Remba i w zastępstwie Kocika, który się nie stawił – Stachelski) i otworzyliśmy sesję, było zaledwie kilka osób na sali. Zdawało się, że prócz pierwszej sprawy, która szła w pełnym komplecie stron i świadków, do reszty spraw interesantów nie będzie wcale albo prawie nie będzie. Pierwsza sprawa wszakże ciągnęła się długo, a tymczasem do kancelarii gromadziła się dalej publiczność do następnych spraw, przybywająca ze wsi z opóźnieniem z powodu złej drogi. Gdy pierwsza sprawa się skończyła, z kancelarii do sali napłynęło sporo publiczności i sesja przeszła ciekawie. Zresztą większa część spraw została odroczona dla dodatkowych czynności.

5 stycznia, rok 1918, sobota
W sądzie zupełnie nie ma dopływu spraw ani żadnego ruchu interesantów. Przez cały dzień niema po prostu co robić w sądzie. Wysiaduje się godziny urzędowe, od godz. 9 rano do 1-1 ½ po południu i po obiedzie od godz. 2 czy 2 ½ do 3, 3 ½ albo 4-tej, zupełnie bezczynnie, wśród kompletnej pustki. Nawet kancelarii nic do roboty nie ma. Już i tak kolneński okręg jest cichy, a teraz przy tych zaspach śnieżnych, które zamknęły wszelkie drogi komunikacji, sąd stał się zupełnie martwy. Od Nowego Roku mamy tylko jedną jedyną sprawę, która wpłynęła do sądu; i ta zresztą wpłynęła tylko, że tak powiem, przygodnie: jest to powództwo, wniesione wczoraj przez niejakiego Ruszczyka, który sprawę przegrał i szuka tą drogą na przeciwniku odwetu. Gdyby Ruszczyk nie miał wczoraj sprawy i jej nie przegrał, nie wniósłby i tego powództwa. Pogoda była dzisiaj zmienna. To świeciło piękne słońce, to znów padał śnieg gęsty, zarywając nawet chwilami w zawieję. Z poczty także od kilku dni nic nie ma. Zawieja z d. 2 stycznia i sprawione przez nią zaspy śnieżne wstrzymały na razie ruch pociągów i dotąd jeszcze regularność poczty nie została wznowiona. Gazety przychodzą skąpo i spóźnione, listów nie ma. Wieści z gazet będą teraz ciekawe, bo wczoraj wznowione zostały w Brześciu rokowania pokojowe. Na razie są tylko pogłoski. Jedne mówią, że rokowania mają być z Brześcia przeniesione do Wilna. Inne podają, że mocarstwa centralne dopuściły do udziału w rokowaniach premiera polskiego Kucharzewskiego jako urzędowego przedstawiciela Polski, o co Kucharzewski zabiegał. Jeszcze inne pogłoski donoszą, że rzekomo Anglia i Francja zgodziły się także uczestniczyć w rokowaniach pokojowych, nie zawieszając jednak broni na froncie zachodnim. Zresztą nic pewnego w tym nie ma. Co do ostatniej pogłoski, jeżeli ona jest prawdziwą – należy przypuszczać, że uczestnictwo Anglii i Francji jest tylko manewrem, mającym na celu nie rzeczywistą skłonność do układów, jeno chęć zepsucia tego, co się robi. Zawieszenie broni i rokowania pokojowe wpłynęły już znacznie na obniżenie cen całego szeregu artykułów, głównie spożywczych. Staniał chleb, zarówno razowy, sprzedawany bez kartek, jak pytlowy, urzędowo srogo zakazany, staniało masło, które już było podskoczyło w Kolnie za moich czasów od 4 do 8 marek za funt, staniały kartofle, nieco staniały papierosy, gwałtownie spadły w cenie cygara, w Warszawie staniała herbata, kawa, pieprz. Wpływają na to perspektywy ewentualnego dowozu z Rosji i otwarcia handlu na wschodzie. Podobno w Warszawie zniżka cen się znowu wstrzymała, a nawet ceny znów poczęły rosnąć. Zależy to od przeciągania się rokowań. W pierwszych tygodniach zawieszenia broni i rokowań nastrój był taki, że ludzie gotowi już byli liczyć pokój i nawiązanie normalnych stosunków na dnie lub na krótkie tygodnie. Teraz zaczynają się liczyć z ewentualnością dłuższych tygodni lub nawet miesięcy. Zresztą jest ciągłe oczekiwanie z dnia na dzień – możliwe są różne niespodzianki. W każdym razie, nie ma już przynajmniej tego szalonego wzrostu cen,

po prostu karkołomnego – z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, którego kresu nie było.

6 stycznia, rok 1918, niedziela
Nudna, jak wszystkie niedziele w Kolnie. Ledwie się przewegetowało dzień. Na dworze wielka odwilż z wiatrem, który dmucha w śnieg i topi zaspy; drogi będą pewno pełne wybojów.
Gdyby nie Maryńka, której przyjazdu czekam, byłbym się w tych czasach wybrał do Warszawy, a przynajmniej do Łomży, żeby się choć trochę rozerwać, bo trudno już tu usiedzieć. Wybierałem się wpierw do Warszawy na święta, ale żem się spodziewał przyjazdu Maryńki, zaniechałem podróży. Tymczasem Maryńka nie przyjechała, a święta minęły. Teraz byłbym się wybrał do Łomży, zwłaszcza że chciałbym się tam w sprawie Szczypiorniaków skomunikować, ale że Maryńka zapowiada przyjazd na 25 stycznia, więc wycieczkę do Łomży do tego terminu odraczam, bo każdorazowa jazda drogo kosztuje. Byle tylko Maryńka istotnie przyjechała. Zresztą ani się obejrzę, jak przyjdzie 25 stycznia.
Gdyby nie to, że się wciąż czeka tego pokoju i rychłych ewentualnych wielkich zmian, które się zdają wisieć w powietrzu, byłbym się starał o przeniesienie z Kolna gdzieś do większego środowiska, gdzie więcej ruchu i życia. Ale nie chce się teraz rozpoczynać starań o przeniesienie, kiedy się czeka i spodziewa, że się zmieni sytuacja i że wypadnie może wracać na Litwę. Sam jeszcze nie wiem, jakie będzie moje położenie materialne w nowych warunkach, ale w każdym razie będę się starał przenieść do Litwy, gdy tylko to będzie możliwe. Da Bóg, że i tam sądownictwo krajowe się zorganizuje i w nim sobie zajęcie znajdę. W każdym razie, Kolno nie poszło mi na marne. Wprawiłem się tu bardzo w czynnościach sędziowskich, a że sąd kolneński jest cichy, więc w spokoju tym lepiej mogłem się stopniowo w tę pracę wdrożyć i wydoskonalić. Trudniej by mi było, gdybym rozpoczął od razu od dużego miasta i wielkiego ruchu spraw. Za to teraz czuję się już zupełnie mocny, tak że i na urząd sędziego w Warszawie już bym się na siłach poczuł. W Warszawie chcę być w lutym, po wyjeździe Maryńki. Zapewne sytuacja się do tego czasu jakoś przecie wyklaruje. Jeżeli daleko będzie jeszcze do pokoju lub będą się przewidywać długie jeszcze komplikacje, to może i spróbuję w Warszawie porobić starania o ewentualne przeniesienie się z Kolna na posadę gdzie indziej. Pomówię ewentualnie o tym z Makowskim.
Tu dziś rozeszły się pogłoski, że pokój do skutku nie dojdzie. Rzekomo powstały nieporozumienia w Brześciu między delegacją rosyjską a mocarstw centralnych w sprawie wykonania zasad o plebiscycie i o głosowaniu przez kraje okupowane o ich przyszłej przynależności państwowej. Nie ma zgody na warunki, w jakich się to ma odbywać. Niemcy podobno zgłosili zastrzeżenia, na które Rosja się nie godzi. Gazet nie ma, toteż trudno wnioskować, ile w tym prawdy. Wieści te szerzą Żydzi, którzy zazwyczaj co prawda są dobrze poinformowani. Ale w tym wypadku bardzo prawdopodobny jest szwindel pogłoskowy spekulantów, obliczony na akcję przeciwko zniżce cen. Spekulanci, których najwięcej wśród Żydów, chcą drogo wyprzedać swoje artykuły. Szwindel taki jest bardzo możliwy i prawdopodobny. Zniżka cen istotnie się wstrzymała; jest nawet znowu pewna tendencja zwyżkowa.

7 stycznia, rok 1918, poniedziałek
Istotnie w sprawie rokowań pokojowych powstał poważny konflikt niemiecko-rosyjski, który przerwał dalsze rokowania. Czy tylko na czas jakiś? – trudno to jeszcze osądzić. Nie tracę nadziei, że strony zainteresowane znajdą jeszcze jakąś formułę, która umożliwi nawiązanie zerwanych rokowań. Obie strony bowiem są chyba mocno

spragnione tego pokoju, który jest dla nich prawie że koniecznością. Dotąd o konflikcie i jego perspektywach sądzić mogę tylko z gazet oraz z tego, czego się między cenzurowanymi wierszami domyślać można. Poszło o dwie rzeczy: 1) Rosjanie zaproponowali przeniesienie rokowań dalszych z Brześcia, gdzie się one dotąd toczyły, na grunt neutralny, do Sztokholmu, na co się Niemcy nie zgadzają; 2) zasadnicza sprzeczność w kwestii rosyjskiego żądania natychmiastowego opuszczenia przez Niemców terytoriów okupowanych.
W pierwszej kwestii zdawałoby się, że rzecz nie jest zasadnicza i zbyt trudna. Niemcy oponują przeciwko Sztokholmowi na tej podstawie, że Sztokholm przedstawiałby dogodniejszy punkt dla intryg koalicji, zresztą wskazują na względy prostoty i dogodności przy rokowaniach bezpośrednich, bez gościny terytorium neutralnego. Powołują się na to, że oni są zwycięzcami i że nie mogą sobie pozwolić narzucać samowolnie warunków rokowań przez Rosję, która militarnie jest na ich łasce. W tonie niemieckim jest ostra irytacja i gniew. Nuta ta brzmi w prasie niemieckiej, w przemówieniach urzędowych, w obradach Komisji Głównej Parlamentu Rzeszy. Tutaj bowiem chodzi nie tylko o spór o Sztokholm czy jakieś inne miejsce, ale też o to, że Niemcy poczuły się obrażone przez Rosję; ten moment podnieca zapalność konfliktu. Istotnie Rosjanie potraktowali sobie Niemców bardzo lekko. Mianowicie rokowania, jak wiadomo, zostały zawieszone do 4 stycznia. W tym dniu zjechał do Brześcia Czernin i niemiecki sekretarz stanu Kühlmann, Rosjanie natomiast nie stawili się wcale i przysłali telegraficznie żądanie przeniesienia obrad do Sztokholmu. Delegaci mocarstw centralnych poczuli się wystrychnięci na dudków; parweniusze bolszewiccy zakpili z nich, uchybiając formom dyplomatycznym, a nawet poniekąd zobowiązaniu, bo było postanowione zebrać się 4-go. Niemcy nie mogą ścierpieć tego zlekceważenia ich, toteż zawrzało u nich oburzeniem, w którym znać podrażnienie ambicji narodowej. Co sobie myślą Lenin i Trockij i czym się właściwie kierowali w tej taktyce postępowania – nie wiadomo. Czy nie mieli wcale chęci obrażać mocarstwa centralne i szczerze wysunęli żądanie Sztokholmu, czy też kryją się pod tym jakieś inne ukryte sprężyny – trudno jeszcze dociec. Merytorycznie ważniejszą jest wszakże druga sprawa. Rosjanie, jak wiadomo, wystawili na początku rokowań tezę plebiscytu ludowego o przynależności państwowej, względnie niepodległości, dla terytoriów okupowanych, z żądaniem, aby z terytoriów tych zostało całkowicie wycofane obce wojsko i obce władze i natomiast utworzona milicja ludowa i tymczasowy lokalny zarząd demokratyczny, aby plebiscyt mógł się odbyć w warunkach zupełnej wolności. Niemcy i wraz z nimi delegacje sprzymierzeńców (Austro-Węgier, Bułgarii i Turcji), godząc się w zasadzie bez zastrzeżeń na tezę swobodnego określenia przez ludy terytoriów okupowanych o ich przyszłej przynależności państwowej, wniosły jednak konkretne zastrzeżenia, umożliwiające im operowanie nadal tymi terytoriami jako swymi fantami politycznymi: mianowicie zażądały uznania tego, że wola ludów tych terytoriów już się wyraziła legalnie co do ich niechęci powrotu do Rosji; zażądały uznania, że manifestacje ludów Polski, Litwy, Kurlandii itd. w dobie okupacji aż nadto wolę tę przesądziły i że zatem w tym względzie plebiscyt jest już zbyteczny. Chodziło Niemcom oczywiście nade wszystko o to, aby się nie wycofać z tych terytoriów i zatrzymać je faktycznie w swym ręku i w swej władzy przy zawarciu pokoju z Rosją, a potem można by zrobić z nimi, co by nie ludów tych wola, lecz interes Niemiec wymagał. Rosjanie poznali się jednak od razu na farbowanych lisach i stwierdzili, że jednak manifestacje, które mogły mieć miejsce za czasów okupacji, ponieważ ludy terenów okupowanych były bądź co bądź pod presją obcą, nie mogą zastąpić swobodnego ich wypowiedzenia się i stwierdzenia swobodnej woli plebiscytarnej. Konflikt był więc w zalążku jeszcze przed zawieszeniem rokowań. Mogło się wszakże

zdawać, że Niemcy, którym tak zależy przecie na pokoju z Rosją, nie zechcą obstawać do ostateczności na swych zastrzeżeniach i ustąpią, tym bardziej, że w zasadzie na tezę samookreślenia się państwowego terytoriów okupowanych godzili się i że dotąd, choć są zwycięzcami i choć to ciągle podkreślają, faktycznie akceptowali w rokowaniach warunki, dyktowane im przez zwyciężonych, przez bolszewików rosyjskich. Aż oto obie strony na tym punkcie stanęły szturmem. Oczywiście Niemcy chcieliby wziąć rewolucyjnych Rosjan na frazes, a zachować całkowicie fakty swych atutów i fantów politycznych. Widocznie wycofanie się z terenów okupowanych jest dla nich kwestią, której zaakceptować nie chcą, tym bardziej gdy wojna na Zachodzie jeszcze trwa.

8 stycznia, rok 1918, wtorek
Zaiste nowy rok 1918 rozpoczyna się pod horoskopami mało pocieszającymi. To, co rok 1917 na schyłku, tak zdawało się szczęśliwie i optymistycznie nawiązał, następca jego na poczekaniu rwie w strzępy i znów osadza nieszczęsną sprawę pokoju – tęsknotę narodów i ludzkości całej – na tragicznej mieliźnie. Co będzie ze sprawą rokowań pokojowych?! Czyż znowu ma zgasnąć nadzieja! I dokądże tak będzie? Kiedyż i gdzie kres tego? Strasznie doprawdy pomyśleć, że znów otchłań ta sama, bez dna i bez końca, otwiera się i zieje szaleństwem wojny i klęsk. Konflikt rosyjsko-niemiecki jest przecież ciężki i trudny. Zaprzeczyć się to nie da. Niemcy ze stanowiska swej obrony mocarstwowej nie mogą się tak po prostu zgodzić na wszystkie konsekwencje rewolucyjnych tez rosyjskich. Mogłaby to zrobić rewolucja niemiecka, ale jej nie ma. Niemcy takie, jakie są, cesarskie mocarstwowe Niemcy nie mogą się wyzbyć natury swojej i zacząć myśleć i działać kategoriami rewolucyjnymi. Imperializm ma swoją psychikę. Niemcy mogą słowami głosić uznanie zasad rosyjskich, ale w czynie konsekwencji ich stosować nie są w stanie. Mogłyby to może zrobić bezkarnie w tym wypadku, gdyby były na świecie same z Rosją, otoczone [państwami] neutralnymi, ale nie teraz, gdy są z zachodu otoczone i zagrożone wieńcem dybiących na nie imperializmów wrogich – Anglii, Francji itd. Samo to ich zmusza do konsekwentnego wytrwania w swoim imperializmie. Z drugiej strony, rewolucyjna Rosja nie może ustąpić ze swych haseł ludowych wolności i sprawiedliwości, które już ogranicza tylko do terytoriów okupowanych, zrzekając się stosowania ich powszechnego do ziem państwowych niemieckich, austriackich i innych. Gdyby ustąpiła z tych zasad, przestałaby być sobą, przestałaby być rewolucyjną, a wtedy nie miałaby też nic do rokowania z Niemcami i musiałaby się trzymać Koalicji. Zasady te – to nie fantazja Lenina, Trockiego i szefa delegacji pokojowej rosyjskiej Joffego – to mus jej istoty rewolucyjnej, to kość z kości jej natury, a przeto – jej konieczność i prawo. Nie może też ona przystać na takie zastrzeżenia niemieckie, które w istocie unicestwiłyby jej zasadę i zrobiły z niej literę martwą, dając zamiast ludowego prawa wolności sankcję imperialistycznym atutom fantowej polityki niemieckiej. Jakież więc wyjście? Nie widzę go logicznie. Wracam do tej jedynej słusznej tezy, którą stwierdzałem już na początku bolszewickiej rewolucji rosyjskiej i jej prądów pokojowych, gdym kreślił przepaść zasadniczą i nie dającą się wyrównać między pokojem proletariackim czy ludowym bolszewików a pokojem państwowym, mocarstwowym reszty świata wojującego. Jedyne, w czym dostrzegać można nikły wątek nadziei – to mus pokoju, ale mus innej kategorii, mus faktu: że Rosja wojny prowadzić nie jest w stanie, dla Niemców zaś spokój i ewentualny dowóz na Wschodzie, wobec ich gospodarczego wyczerpania i trwania wojny na Zachodzie, jest coraz niezbędniejszy życiowo. Chyba tylko z tych czynników faktu, nie zaś idei – zrodzić się może jeszcze pokój na Wschodzie. Co z tego będzie? Zaczekamy, a zresztą czy mamy co innego, jak mus niewolniczy czekania! Gdyby stosunki faktyczne siły były tego rodzaju, że zerwanie

rokowań pokojowych mogłoby doprowadzić do wypędzenia Niemców przez rewolucyjną Rosję z krajów okupowanych – to byłoby dla nas najlepsze. Dziś bowiem Rosja – to nie przemoc, to okoliczność, która ludom otwiera swobodę. Dziś w Rosji każdy bierze w ręce swoją wolność, kto jej chce, a wolność ta jest prawdziwie ludową. Kraje okupowane – Polska, Litwa, cząstki Łotwy, Białej Rusi, Ukrainy – gdyby nie były w ręku Niemców, miałyby swą wolność zrealizowaną. Przykładem – Finlandia, która już całkowicie się od Rosji oddzieliła, i Ukraina. Za caratu oderwanie od Rosji i okupacja były dla Polski i Litwy atutami międzynarodowymi wolności, za rewolucji okupacja jest dla nich hamulcem wolności, a ostoją tylko dla rodzimej reakcji. Stan faktów jednak jest taki, że niedojście do skutku pokoju między Rosją a Niemcami nie sprawi nigdy wypędzenia Niemców przez Rosjan z Polski, Litwy, Kurlandii, lecz odwrotnie: Niemcy mogą uderzyć na militarnie rozprzężoną Rosję, gdzie i jak zechcą i zająć, co się im spodoba: mogą uderzyć na Rewel i Petersburg, mogą na Odessę. Czyżby ogień zapału rewolucji mógł dokonać cudu technicznego odrodzenia mocy wojennej Rosji! To niepodobna.
Wczoraj i dziś otrzymałem dwie ciekawe kartki. Jedna, wczoraj, od Stefana Kairysa z Wilna, do którego pisałem niedawno. Kairys pisze bardzo serdecznie, wyraża życzenie, bym mógł prędzej wrócić do Litwy. Nie traci nadziei co do lepszej przyszłości Litwy, ale z goryczą notuje, że dotąd mało się zmieniło (mimo powołania przez Niemców Krajowej Rady Litewskiej; dla Niemców ta Rada, której nie dają oni się rozwinąć poza goły symbol samorządności krajowej, była zapewne bardziej potrzebna dla ich własnych celów, by oto móc się teraz w rokowaniach z Rosją powołać na „manifestacje" woli ludów okupowanych do oderwania się od Rosji, by tymi „manifestacjami" ubić plebiscyt i odrzucić żądanie wycofania się z kraju, niż po co innego). W końcu pisze Kairys (w tłumaczeniu z niemieckiego) tak: „Osobiście jestem w „Taryba" (Lit. Rada Krajowa) czynny, ale nie wiem, jak długo to może potrwać. Na ten raz chcę punkt postawić." To znaczy, że ludzie z lewicy litewskiej, ludzie typu Kairysa dostrzegają anomalię sytuacji i wątpią, choć jeszcze trwają. Ciężka musi być sytuacja.
Drugi list, dziś, otrzymałem od swojego kolegi z Legionów, towarzysza doli i niedoli, Szczypiorniaka – Franciszka Mieszkowskiego z Łomży. Jest to pierwszy list od kolegów-Szczypiorniaków, jaki otrzymałem od czasu mego wyjścia ze Szczypiorna. Ucieszył mię serdecznie jako żywy wyraz tych biedaków niewolnych. Krótka, króciutka, pod względem treści uboga, bo innej cenzura nie puściła. Mieszkowski pisze, że jedną moją kartkę otrzymał. Wie, że jestem sędzią pokoju w Kolnie. Będę teraz do nich pisywał, bo już myślałem, że listy nie dochodzą. Mieszkowski prosi, by pisać. Z kartki jego dowiaduję się, że już kilku z naszych kolegów z kompanii zostało uwolnionych: Kaliński, Piekarski, Adam Ostrowski i Dąbek. Jakże to mało! Biedni oni. A jakże są więcej warci od wszystkich polityków i wielkich urzędowych „budowniczych" i „państwowców" polskich!

9 stycznia, rok 1918, środa
Są znowu wieści pogodniejsze w sprawie pokoju. Delegacja rosyjska przybyła do Brześcia, a wraz z nią przybył rosyjski komisarz ludowy do spraw zewnętrznych (to samo, co minister) – Trockij. Rokowania znów nawiązane zostały. Czy „konflikt" był tylko wybrykiem Rosjan? W sferach żydowskich, które po małych miasteczkach są zawsze najczulszym barometrem perspektyw politycznych i które zawsze pierwsze najwcześniej mają najświeższe informacje o wszystkim oraz na wszystko, co zachodzi, mają swoje kombinacje, zapanował co do pokoju znów nastrój optymistyczny. Wieczorem nawet rozeszła się pogłoska, że pokój już został zawarty (to znaczy że układ

stanął). To chyba przedwczesne, ale że się jest na dobrej drodze rokowań – to da Bóg się okaże prawdą.
Dzisiaj był w sądzie niezwykły i uroczysty dzień: przyjazd prezesa Sądu Okręgowego, Filochowskiego, na pierwszą tzw. wizytację, czyli rewizję mojego sądu. Prezes Sądu Okręgowego jako bezpośredni zwierzchnik, do którego należy dozór nad wszystkimi sądami pokoju w okręgu sądowym, obowiązany jest podług przepisów przechodnich dwa razy do roku osobiście albo przez delegowanego sędziego okręgowego wizytować każdy podwładny sąd pokoju. Chodzi zwłaszcza o rewizję kasowości i biurowości, a także o dozór nad przestrzeganiem ustaw w postępowaniu sądowym. W tym stadium przejściowym, w jakim jest młode sądownictwo polskie, jest to funkcja bardzo ważna, szczególnie w zastosowaniu do sądów wiejskich, w których sędziowie nie są prawnikami. Mój sąd, który ma opinię wzorowego w całym Okręgu Łomżyńskim i który słynie z tego, że zarówno sędzia, jak sekretarz są w czynnościach swych bez zarzutu – skojarzenie rzadkie, bo dobry sekretarz jest osobliwością jeszcze większą na prowincji, niż dobry sędzia – rewizja jest bardziej formalna, niż rzeczywista. W zasadzie wizytacja prezesa powinna być niespodziewana i nie może być zapowiadana z góry. Ponieważ jednak prezes wiedział już o moim sądzie, że funkcjonuje wzorowo, więc nie przestrzegał zbytnio tajemnicy i już przed paru dniami uprzedził mię, że ewentualnie w dniu dzisiejszym przyjedzie. Dziś rano prezes zawiadomił mię przez telefon za pośrednictwem magistratu Kolna, że się nieco spóźni. Wiedzieliśmy stąd, że już na pewno przyjedzie. Jakoż przyjechał koło godz. 2, akurat gdy nikogo z nas, prócz Dywizjonka, w sądzie nie było. Zaraz jednak poschodzili się wszyscy: ja, sekretarz Miętkiewicz, pisarz hipoteczny Mystkowski, komornik Użarowski, adwokat Goldberg, rejent Płoński (rejenta mamy od wczoraj – przyjechał do nas na stałe). Wiedząc o przyjeździe prezesa, czekałem go z obiadem. Obiadek ten postanowiłem urządzić wspólny i zaprosiłem nań cały nasz światek sądowniczy kolneński, aby w tym kółku prezesa przyjąć. Kupiłem zawczasu w tym celu koguta, kilka funtów wołowiny, chleba pytlowego i bułki, kawy prawdziwej, butelkę dobrego koniaku francuskiego, butelkę gorzałki monopolowej, dwie butelki wina reńskiego, cztery blaszanki sardynek norweskich, kiełbasy i salcesonu na przekąskę. Przy tej okazji choć raz odpłacę przyjęciem Kolnianom za tyle przyjęć, które od nich miałem. Przy dzisiejszych cenach obiad taki kosztuje jednak słono. Będzie mię kosztował przeszło 100 marek. Uszykowała wszystko i ugotowała obiad Dywizjonkowa, a Dywizjonek wniósł stół obiadowy do mego mieszkania, zasłał obrusem, wystarał się o naczynie i sztućce, krzesła itd. oraz sam do stołu usługiwał. Prezes dokonał wpierw rewizji w hipotece, a następnie udał się z orszakiem na obiad do mnie. Zasiadło nas siedem osób do stołu: prezes Filochowski, ja, ławnik i zarazem mój zastępca Stachelski, Goldberg, Miętkiewicz, Mystkowski i Użarowski. Sam obiad udał się b. dobrze. Dywizjonkowa wykazała wielką umiejętność w sztuce kulinarnej. Rosół z kury był wyborny, pieczeń wołowa i kartofle do niej doskonale przyrządzone. Chleb pytlowy i bułka – wielka osobliwość dla prezesa, przyjezdnego z miasta – były prawdziwą okrasą obiadu.

10 stycznia, rok 1918, czwartek
W dalszym ciągu o wczorajszej wizycie prezesa Filochowskiego. Z obiadu u mnie wszyscy moi drobni sądownicy kolneńscy byli niezmiernie zadowoleni, uważając to sobie za zaszczyt, że zasiedli do stołu z prezesem. Filochowki, który był dawniej po prostu jednym z adwokatów łomżyńskich, urósł teraz przez prezesurę Sądu Okręgowego na wielkiego dygnitarza lokalnego, oczywiście zwłaszcza w świecie sądowniczym, ale zresztą i w ogóle, bo jest on najwyższym faktycznie urzędnikiem polskim w całej Ziemi Łomżyńskiej. Dla takich drobnych podrzędnych rybek, jak

sekretarz sądu pokoju, komornik, pisarz hipoteki powiatowej, obrońca prywatny w miasteczku prowincjonalnym – notabene Żyd, wreszcie najwyższy z nich wszystkich – ławnik w sądzie pokoju – dla nich wszystkich prezes Sądu Okręgowego – to wielki pan, stojący na niedosięgłej wyżynie. Toteż wszyscy siedzieli przy stole jak gdyby połknęli widelec, sztywni, wyprostowani, zwróceni ze słodkawym uśmieszkiem na twarzy do prezesa jak wieniec słoneczników zwróconych do słońca. Rozmowy ogólnej nie było, bo mówił przez cały czas tylko prezes, opowiadając różne epizody ze swej przeszłości; wszyscy go słuchali, nikt nie śmiał przerywać lub wszczynać na własną rękę jakiegoś nowego tematu. Tylko ja sobie pozwalałem na swobodną rozmowę i jeszcze p. Mystkowski, na którym znać bądź co bądź mimo wszystko kulturę i ogładę, dającą mu ton swobody towarzyskiej i niezależnej towarzysko postawy. Inni – zapomnieli języka w ustach. W ludziach jest duży, często bezwiedny może, głęboki instynkt hierarchii społecznej i stopniowania wagi ludzkiej podług stanowisk i dostojeństw formalnych. Pomimo że obecność prezesa widocznie ich krępowała, każdy z nich czuł się przecież zaszczyconym i szczęśliwym, że z nim u stołu siedzi, bo każdy czuł schodzącą na niego cząstkę świetności pana prezesa. Toteż wdzięcznymi byli nadzwyczaj, a najwięcej, zdaje się, Goldberg, który, jako Żyd, wrażliwy na swe upośledzenie społeczne i towarzyskie z tytułu swej rasy, był szczególnie przejęty faktem zaproszenia go na ten obiad. Być może, że Filochowski na razie był nieco zdziwiony tym posadzeniem go do stołu w gromadce pośledniejszych figurek, bo gdym przed obiadem zaprosił przy nim Użarowskiego, wziął mię na stronę i spytał, czy Użarowski jest człowiekiem moralnie pewnym, zaznaczając, że to jest dla takiego komornika duży zaszczyt; zdawało się, że kwestionuje, czy zaszczyt ten nie za duży; ale gdym mu otwarcie powiedział, że zaprosiłem cały nasz światek sądowniczy w Kolnie z okazji przyjazdu prezesa, i spytał, czy może on woli, aby ich na obiedzie nie było, Filochowski oddał się do dyspozycji mojej jako gospodarza bez zastrzeżeń i zdaje się, że w toku obiadu nic do zarzucenia towarzystwu temu nie miał. Zresztą Filochowski, choć nie jest orłem i choć, zdaje się, ma pewną żyłkę biurokratycznej hierarchii, przejmując się swoją wielkością, jest jednak z gruntu człowiekiem bardzo poczciwym i prostym. W pewnej rozmowie ze mną wyrażał się nawet w duchu omal nie rewolucyjnym, z pewnym zacięciem republikańskim i społeczno-reformatorskim, mówiąc o perspektywach wpływów, które rewolucja rosyjska na świat europejski wywrzeć może. Co do mnie co do tego przyjęcia dla Filochowskiego, to uważałem, że zrobiłem dobrze, zapraszając tę gromadkę podrzędnych. Dałem świadectwo zasadzie koleżeńskiego współpracownictwa, które nas tu w Kolnie łączy niezależnie od różnic i funkcji, spełnianych służbowo. Toteż rad byłem z tego obiadku, dlatego właśnie, że był on wspólnym w tym gronie. Po obiedzie poszliśmy do sądu, gdzie prezes dokonał rewizji kasowości, biurowości i formalnego prowadzenia spraw. Rewizja ta była robiona po łebkach, bo w moim sądzie – sam to stwierdzam – ład i układ jest wzorowy. Prezes też stwierdził to w zupełności. Opowiadał przy tym różne ciekawe kawałki, na jakie natrafiał przy rewizji w sądach wiejskich. Nieraz zdarzają się tam rzeczy, jakich zgoła domyślać się trudno, skąd się biorą. Poza tym, prezes musiał wypełnić długi tasiemiec kwestionariusza o funkcjonowaniu sądu, nadesłany z Departamentu (obecnie już Ministerium) Sprawiedliwości. Kwestionariusz ten ma stanowić rodzaj ankiety o działalności i nawet poniekąd jurysprudencji, przynajmniej procesualnej młodego sądownictwa polskiego dla ustalenia następnie jednolitości, a w pewnej mierze być może i dla udzielenia wskazówek do inicjatywy ustawodawczej. Nocował prezes w mieszkaniu Miętkiewicza. Dziś rano prezes pojechał na wizytację do Myszyńca. Proponował mi pojechać także, ale się nie kwapiłem do tego, bo do Myszyńca jest 5-6 mil, a tegoż dnia ma wrócić, czyli że ogółem jednego dnia trzeba odbyć drogę 12 mil, i to w mróz trzaskający

kilkunastostopniowy. Prezes zabrał ze sobą do Myszyńca Miętkiewicza, by ten ustalił tam kasowość i księgowość, bo Miętkiewicz jest doskonałym znawcą w tej gałęzi i może śmiało kwalifikować się na instruktora.

11 stycznia, rok 1918, piątek
Miałem dziś dzień sesji sądowej. Nie mogłem wszakże rozpocząć sesji rano, bo miałem jeszcze gościa – prezesa Filochowskiego, który wczoraj wieczorem, niezrażony mrozem i wiatrem, wrócił wraz z Miętkiewiczem z Myszyńca z wizytacji tamecznego sądu pokoju. Prezes zanocował w Kolnie i dziś koło godz. 11 rano miał, po dokonaniu jeszcze tutaj paru czynności, wyjechać dalej na wizytację następnego z kolei sądu – w Grabowie w powiecie szczuczyńskim. Spotkaliśmy się z prezesem o g. 9 w sądzie. Wyjeżdżając do Myszyńca, prezes prosił mię, bym w jego zastępstwie dokonał rewizji ksiąg komornika Użarowskiego i jemu po powrocie jego z Myszyńca o rezultacie rewizji zreferował. Wykonałem to wczoraj, choć mi to było dość trudne, bo się nic nie znam na biurowości i operacjach pieniężnych komorników. Zreferowałem więc prezesowi rzecz i prezes spisał protokół rewizji. Następnie zaprosiłem jeszcze prezesa do siebie na śniadanko, aby go czymś ciepłym na odjezdnym nakarmić. Śniadanko składało się z wieprzowiny tuszonej z kartoflami i herbaty, do tego smaczny chleb pytlowy. Na śniadanku był także Mystkowski. Bezpośrednio po tym prezes odjechał, ja zaś poszedłem sądzić sprawy. Było już po godz. 11. Sesja była chrześcijańska, ławnicy – Stachelski i Kocik. Spraw na wokandzie było tylko sześć, ale sesja była tłumna, bo uczestników procesów i świadków było dużo. Szły sprawy dość ciekawe. Między innymi była jedna ze spraw Antonowicz-Olszewski, w której Antonowicz był oskarżony o pobicie Olszewskiego. Sprawa ta została odroczona dla zbadania dodatkowo świadków Antonowicza. Szła także sprawa karna księdza Kucharczyka, proboszcza z Zalasu na Puszczy, oskarżonego o zniewagę przez sekretarza Rady Opiekuńczej powiatowej Litwińskiego. Ksiądz ten, upominając się w liście do Litwińskiego o cukier, należny mu z Rady Opiekuńczej, wyraził się w końcowym ustępie listu tak: „Tyje Pan wprawdzie, ale spodziewam się (czy: chciałbym wierzyć) że nie na cukrze, należnym Zalasowi”. Między Litwińskim i księżmi jest ciągła wojna; księża go serdecznie nienawidzą. Źródłem zaś tej nienawiści jest bynajmniej nie jakaś wolnomyślność Litwińskiego, jak to zwykle bywa, jeno to, że Litwiński z obowiązków służbowych Rady Opiekuńczej powiatowej wchodzi im ciągle w drogę. Księża bowiem są przeważnie prezesami tzw. Rad Opiekuńczych miejscowych i na tych stanowiskach rządzą się zupełnie samowolnie, jak na własnych śmieciach, co gorsza – mieszają nieraz sprawę publiczną z prywatą. Nie może się im w głowie pomieścić, żeby ich ktoś kontrolował, żeby żądał od nich sprawozdań, żeby, słowem, ich naginał do najprostszych warunków odpowiedzialnej działalności publicznej. Chcą, żeby się wszystko odbywało na wiarę, podług ich bezkrytycznego widzimisię. A skoro Litwiński z tym nieuspołecznieniem księży walczy, stosując przepisy odpowiedzialności publicznej, co zresztą robić musi z urzędu, księża są na niego wściekli. Powiadają, że Żydzi są solidarni; ale nikt chyba tak nie jest zachłanny w rzeczach publicznych, i to zachłanny kastowo, solidarny i w dodatku mściwy, jak kler. Gdyby mógł, utopiłby Litwińskiego w łyżce wody. Wszyscy oni, za małymi wyjątkami, szczerzą zęby na Litwińskiego i gotują mu zemstę, szukając okazji. I z pewnością wcześniej czy później znajdą nań sposób. Tymczasem gdzie mogą – szkodzą mu i kłują większymi i mniejszymi szpilkami. Oskarżony ksiądz na rozprawę się nie stawił. Zasądziliśmy go zaocznie na 100 marek grzywny. Niespodzianką dla mnie było to, że nasz ławnik Kocik, który był przez czas długi braciszkiem zakonnym w Częstochowie i bynajmniej nie grzeszy duchem wolteriańskim, wbrew memu oczekiwaniu nie tylko nie hołduje

admirowaniu księży, ale serdecznie ich nie lubi: zna on ich zbyt blisko i wie, jakie są zakulisowo ich „cnoty"; jemu samemu dali się we znaki w Częstochowie, toteż ma ich dosyć. Poza tym, była jedna jeszcze sprawa karna o pobicie, w której zapadł wyrok 7 dni aresztu, i trzy sprawy cywilne, z których dwie odroczone i jedna zakończona układem pojednawczym. W tej liczbie była też sprawa mego gospodarza Pikulińskiego o 130 mk. wynagrodzenia szkód i strat od kilku gospodarzy za wypasy. Te sprawy zwykle budzą kłótnię i zaciekły gniew wzajemny powaśnionych stron.

12 stycznia, rok 1918, sobota
Ogromnie zmienna i śnieżna zima. Wciąż to zawieje, to odwilż, to wichry, to mróz, to słonecznie, to śnieży. Zima bardzo kapryśna, ale nade wszystko strasznie śnieżna. Takich śniegów nie pamiętam od szeregu lat. Jedną tylko zimę przypominam sobie jeszcze bardziej śnieżną, niż obecna; była to zima akurat z przed lat 10, z r. 1907 na 1908. Tamta różniła się od obecnej tym, że prócz olbrzymich mas śnieżnych był ciągle mróz, podczas gdy w tym roku wciąż są odwilże i mrozy. Wczoraj i dziś w nocy – znowu zawieja. We dnie silny mróz.
W sądzie cisza. Interesanci wprawdzie zgłaszają się po trochę, ale spraw nowych nie wpływa. Co najwyżej przychodzą „dodać świadków" do spraw będących w toku, wziąć tytuł wykonawczy, dowiedzieć się o jakichś terminach itp. Wobec tego zastoju w lutym wyznaczę już tylko cztery sesje, bo na więcej zresztą nie starczyłoby mi zapewne spraw, o ile dalej ruch w tym tempie pójdzie. A dopóki trwać będzie taka zima, na zwiększenie ruchu liczyć niepodobna. Od 1 stycznia wpłynęło ogółem nowych spraw cywilnych – tylko trzy, karnych – także trzy, opieki (zwołanie rady familijnej) – trzy i tzw. zbiorowa – jedna, czyli ogółem – 10 numerów, z których wszakże tylko siedem należy do kategorii spraw spornych, wyznaczanych na normalne sesje sądowe z ławnikami. Ogół spraw w sądzie pokoju klasyfikuje się na pięć repertoriów: 1) repertorium C – sprawy cywilne, 2) repertorium K – karne, 3) repertorium O – opieki, 4) repertorium A – o nadaniu aktom klauzuli egzekucyjnej i 5) repertorium Z – tzw. zbiorowe, do którego wpisują się wszystkie sprawy, które się nie mieszczą w repertoriach poprzednich (w szczególności zwłaszcza badania świadków z rekwizycji innych sądów, różne postępowania incydentalne itd.). Spraw z repertorium A nie miałem dotąd w moim sądzie ani jednej, co zaś do innych, to w ubiegłych czterech miesiącach (wrzesień-grudzień), odkąd sądownictwo przeszło w ręce polskie, sąd w Kolnie miał: spraw cywilnych – numerów 117, spraw karnych – numerów 92, opieki – numerów 2 i zbiorowych – numerów 5, razem – numerów 156. W tej proporcji wypadłoby rocznie numerów 468 – ilość niezmiernie mała. Natomiast w tych pierwszych dwunastu dniach roku bieżącego, które zapewne nie mogą być uważane za miarodajne, uderzającym objawem jest ogromny upadek spraw cywilnych i wzrost opiek. Stosunek cywilnych do karnych w czterech miesiącach r. 1917 wyrażał się w proporcji około 4:1, cywilnych zaś do opiek – w proporcji 58:1, obecnie zaś stosunek tych trzech kategorii wyraża się w prostej cyfrze 1:1:1. Co zaś do mojego gustu, to najlepiej lubię sprawy cywilne, które są zawsze najciekawsze i tworzą najściślejsze zagadnienia logiczne, najnudniejsze natomiast są opieki (rady familijne). Otóż spraw cywilnych nowych od Nowego Roku mam tylko trzy; z nich jedna jest dość oryginalna, bo wypływa z tytułu zerwanych zaręczyn i zawiera żądanie wynagrodzenia szkód i strat. Lubię sprawy oryginalne, w których wypada mi potrącać o zagadnienia w praktyce mojej nowe lub rzadkie.
Wspominałem o przyjeździe do Kolna na stałe rejenta, niejakiego Płońskiego, Łomżymiaka. Jest to człowiek w wieku lat przeszło 50; wrażenie sprawia miłe, jest bardzo grzeczny i z natury bardzo niegłupi. Inteligencją wrodzoną ten człowiek doszedł

do tego stanowiska, nie mając żadnego wykształcenia formalnego i pochodząc z najniższego stanu. Kariera jego jest niezwykła. W dzieciństwie był... szewcem. Udało mu się jakoś dostać na kancelistę do Sądu Okręgowego, potem dzięki staranności i pracy został księgowym w kasie sądu, następnie przez jakąś protekcję zrobiono go komornikiem, którym był za czasów rosyjskich aż do wojny. Przed przyjściem Niemców nie zdążył uciec do Rosji. Za czasów okupacji, gdy znany adwokat i działacz społeczny łomżyński, obecnie już zmarły Chrystowski objął posadę pisarza hipotecznego w Łomży, Płoński został jego pomocnikiem i zastępcą. Po śmierci Chrystowskiego zostaje pisarzem. Wkrótce na skutek jakiegoś donosu o nadużyciach pieniężnych Płoński zostaje usunięty. Podaje skargę do wyższych władz okupacyjnych w Warszawie. Po odpowiednim dochodzeniu władze te dochodzą do przekonania, że Płoński został niesłusznie usunięty. Tymczasem wszakże posada pisarza hipotecznego już została obsadzona (objął ją Mikułowski, były sędzia okupacyjnego sądu gminnego w Kolnie). Płońskiemu dają stanowisko rejenta w Łomży. Gdy sądownictwo przeszło w ręce polskie, Płoński został pociągnięty do egzaminu na rejenta, którego nie zdał. Jednak na skutek starań i protekcji udało mu się dostać nominację na pośledniejszą rejenturę w Kolnie. Nie będzie jednak Płoński narzekać na to.

13 stycznia, rok 1918, niedziela
Dziwnie cicho i brak wieści o rokowaniach pokojowych w Brześciu Litewskim. Po konflikcie z d. 4 stycznia przyszła wiadomość o przyjeździe do Brześcia delegacji rosyjskiej z Trockim na czele – i odtąd głucho. O ile w pierwszym stadium rokowań pokojowych gazety były pełne wieści z Brześcia i omawiały szeroko perspektywy pokojowe, o tyle teraz milczą dyskretnie. Powściągliwość ta nie zdaje się wróżyć dobrze o ich stanie i perspektywach. I na ogół też w popularnej opinii publicznej daje się dostrzec niewiara do skutków rokowań w Brześciu. Raczej się budzą pewne domysły o rychłym pokoju powszechnym, niż nadzieje na pokój z Rosją, które przed dwoma jeszcze tygodniami były tak wielkie.
Przez cały dzień dzisiejszy mieliśmy mroźną zawieję śnieżną. Wiatr hulał piekielnie, dął i kręcił w różnych kierunkach. Śnieg nie padał zbyt wielki, ale całe powietrze było pełne pyłu śnieżnego, wirującego w opętanym szale. Na ogół jednak nasypało tego dużo.
Do obiadu, ze względu na niedzielę, spędziłem czas w domu. Po obiedzie wyznaczyłem w sądzie na sesje sprawy, które się uzbierały z ubiegłego tygodnia, a następnie o szarej godzinie poszedłem do Mystkowskich na kawę, gdzie się spotkałem z rejentem Płońskim. Chociaż jest to człowiek bez głębszej kultury i bez wykształcenia, co znać na nim w rozmowie, jednak jest życiowo mądry, bardzo pojętny, ma bardzo dużo taktu, jest grzeczny i towarzysko miły, co robi zeń człowieka wcale przyjemnego. Zagrałem z Mystkowskim partyjkę w szachy, a następnie usiedliśmy we czworo (Mystkowski, jego żona, Płoński i ja) do kart i przez 1 ½ godziny graliśmy w tzw. banczka polskiego, jedną z najbezmyślniejszych gier hazardowych, przyjemną przez to, że idzie żywo, jest łatwa i nie zawiera nic, poza czystym hazardem. Chociaż nie uprawiam gry hazardowej i czasem latami całymi w nią nie gram, jednak do banczka mam słabość; może dlatego, że przypomina mi on lata wczesnej młodości, gdyśmy się tej grze oddawali w Petersburgu w gronie kolegów-prawowiedów czasem nocami całymi, zabawiając się przy tym wałęsaniem się i przygodami po różnych dziurach Petersburga i przedmieścia Leśnego. Banczek podobał się Mystkowskim i Płońskiemu. Zresztą stawki były umiarkowane: od 50 fen. do 3-4 mk.. Mystkowscy trochę przegrali, my z Płońskim wygraliśmy.

Choć Kolno liczy się za najpośledniejsze miejsce dla rejenta, do tego stopnia, że prezes Filochowski, mówiąc o nominacji Płońskiego do Kolna, wyrażał się żartobliwie: „сослать в Кольно”, jednak przypuszczam, że Płoński nie będzie miał powodu narzekania na tę mieścinę kurpiowską,. Ledwie przyjechał, już ma praktykę. A że to karnawał – czas, w którym zawierają się małżeństwa i sporządzają się najważniejsze w stosunkach włościańskich akty intercyz ślubnych – złote żniwo dla rejentów, Płońskiemu praktyki nie zabraknie i okres ten tak sowicie zaopatrzy jego kiesę, że starczy mu i na czas późniejszy. Dopiero kilka dni, jak przyjechał i jeszcze wieść się nie zdążyła szeroko o jego przyjeździe rozgłosić, i choć drogi są obecnie wyjątkowo złe, a już przecie klienci dążą do niego, zamawiają go i już parę aktów sporządził. A za akty takie grosz mu płynie. We czwartek miał jeden akt, za który wziął 150 mk., wczoraj miał już trzy akty, z których wziął za jeden 100 mk., za drugi 90 mk. i za trzeci 30 mk., czyli w jednym dniu 220 mk. Nie upłynął jeszcze tydzień, a już zarobił 370 marek. W najbliższych dniach będzie miał z pewnością jeszcze znacznie więcej. W tych warunkach nie będzie nic nadzwyczajnego, gdy w jakimś tygodniu zbierze 1000 i więcej marek i z czasem w jednym dniu może zebrać 500 i 600 mk. Bodaj to być rejentem, nawet w Kolnie! Kpić sobie może z pensji sędziego, która jak u mnie wynosi miesięcznie 650 mk. Poprzednik Płońskiego, rejent Rafalski w Kolnie, zebrał przez lat kilkanaście podobno kilkaset tysięcy rubli. Było to oczywiście w czasach pokoju. Ale i dziś, pomimo słabego ruchu interesów, chłop ma pieniądze; ma gotówkę o wiele grubszą, niż za czasów pokoju. Toteż płacić może.

14 stycznia, rok 1918, poniedziałek
Śliczny słoneczny dzień. Cisza zupełna. Mróż duży: w południe -10° Réaumura, pod wieczór – kilkanaście stopni. Biały świeży śnieg; zachód słońca cudowny; o zmroku – barwy szaro-siwo-sine; śnieg skrzypie pod nogami i wydaje charakterystyczny mroźny chrzęst.
Pomimo mrozu i ciężkiej drogi po wczorajszej zawiei – w sądzie dzięki zapewne pięknej pogodzie, ruch dość znaczny. Zgłoszono dwie apelacje, wniesiono dwa nowe powództwa cywilne, z których jedno aż z gminy Łyse, oraz jedną skargę karną. Ta ostatnia – niezwykła. Wniósł ją Olszewski na Antonowicza i żonę swoją. Przedmiot skargi – sensacyjny: oskarżenie żony i kochanka o cudzołóstwo. Sprawa bardzo drastyczna, która, chociaż sądzona będzie przy drzwiach zamkniętych, to znaczy niepublicznie, stanie się oczywiście głośnym skandalem w Kolnie i będzie szeroko okrzyczana. Jest ona uwieńczeniem cyklu spraw Antonowicz-Olszewski. Z natury rzeczy trudno będzie Olszewskiemu udowodnić winę oskarżonych, bo oczywiście cudzołóstwo, jeżeli miało miejsce, było z reguły dokonywane bez świadków. Olszewski wprawdzie stawia trzech świadków, w tej liczbie naszego Dywizjonka, którzy rzekomo zaskoczyli kochanków w chwili drastycznej, ale czy istotnie zdołają oni stwierdzić bezpośredni fakt spółkowania. Ano – zobaczymy; sprawa taka należy bądź co bądź do rzadkich kazusów praktyki sądowej.
Otrzymałem dziś list od Maryńki z Wilna. Data 25 stycznia, ewentualny przyjazd, zbliża się, a tymczasem dotąd nic nie wiem, czy będzie mogła na wskazany dzień przyjechać, bo nie wiadomo, czy do tej pory otrzyma już pozwolenie. I dzisiejszy list od Maryńki nie wyjaśnił tej wątpliwości: pisze, że spodziewa się przyjechać na pewno, przyśpiesza termin przyjazdu na 24-go, ale... pozwolenia formalnego jeszcze w ręku niema. Listek jej datowany 6.I. Bądź co bądź, w każdym razie 23 stycznia na wieczór albo najpóźniej 24-go rano pojadę do Łomży i będę ją tam czekał.
Przed kilku dniami miałem ciekawy obszerny list, pisany po polsku, od Elizki Komorowskiej z Kowaliszek, wysłany pocztą przez Tylżę, widocznie za pośrednictwem

jakiegoś oficera niemieckiego. Większa część listu kochanej Elizeczki, bardzo serdecznego, sili się na uspokojenie mię co do mojej choroby serca. Ta wieść przesadna o mojej chorobie rozeszła się wśród mej bliższej rodziny z powodu tego, żem sam przesadził o tym umyślnie w celu ułatwienia Maryńce uzyskania pozwolenia na przyjazd do Kolna. Tymczasem tam wzięto to za dobrą monetę; Maryńka, Komorowscy i Papa liczą mię już za kandydata do najbliższej śmierci, a Papa już mię dosłownie opłakuje jako skazańca. List Elizki – wielka osobliwość – przyszedł z Prus do Polski, pisany po polsku i nie cenzurowany wcale, bo Elizka pisze w nim bez żadnych ogródek o gospodarce i kradzieżach niemieckich na Litwie. Drżą tam oni przed ewentualnością aneksji lub choćby protektoratu niemieckiego nad Litwą. Niepodległości Litwy nie obawiają się natomiast, bo wierzą, że z Litwinami do porozumienia dojdą. Stracha mają przed rządami Niemców. Do swego listu Elizeczka załącza kopię obszernego i ciekawego listu swego syna Julka Komorowskiego, pisanego do rodziców w końcu sierpnia r. 1917 z Rygi przed jej ewakuacją przez Rosjan i zostawionego tamże u niejakiej pani Budberg, skąd następnie po wkroczeniu Niemców list ten jakąś tam pocztą pantoflową przywędrował do Kowaliszek. Julek przeszło od roku pracował w intendenturze wojskowej, Hektor zaś wciąż siedział w Moskwie, uchylił się od wojska i robił znakomite interesy na ewakuowanej do Moskwy kowaliskiej fabryce cukierków. Poza tym list Julka pełny różnych wiadomości o rodzinie, przeważnie o Komorowskich. O Kotuni i Elwirze ledwie wspomina w liście. Z listu tego znać, że ci, co zbiegli do Rosji, przynajmniej ze sfer zamożniejszych, wcale dobrze się tam mają i nieraz się urządzili tak, że grubo zarabiają. Ciekaw jestem, jak im tam jest obecnie!

15 stycznia, rok 1918, wtorek
Mam przyjemną wiadomość: gdy Dywizjonek zaszedł dziś w jakimś interesie do powiatu, spytano go tam, czy już moja siostra przyjechała, bo przyszły papiery, dotyczące jej przyjazdu. Wnoszę więc stąd, że Maryńka już pozwolenie musiała otrzymać, ponieważ udzielając jej pozwolenie zawiadomiono widocznie jednocześnie władze powiatowe w Kolnie o udzielonym pozwoleniu. Nabieram się pewności, że doczekam się jej w przyszłym tygodniu w Łomży.
W tegorocznej kapryśnej zimie – co godzina, to nowina. Wczoraj po pogodnym słonecznym mroźnym dniu mróz tak wzrósł do 22° Réaumura. Jest to podobno najniższa temperatura w ciągu ostatnich trzech zim; nawet w zeszłorocznej wyjątkowo mroźnej zimie temperatura nie spadła tutaj tak nisko. Rano wszakże zawiał ostry wiatr wschodni i niebo się zachmurzyło. W mieszkanku moim, gdym wstawał, powietrze było lodowate; palce kostniały i bolały od chłodu. W sądzie, którego okna w sali i w kancelarii wychodzą na wschód, skąd właśnie dął wiatr, trudno było wytrzymać; temperatura była przejmująco zimna, mimo że wszystkie piece były mocno napalone; nogi bolały od zimna; zesztywniałymi palcami musiałem pisać wyrok w formie ostatecznej w jednej ze spraw, w której wczoraj wniesiona została apelacja; była to prawdziwa męka, bo trudno było w fizycznym bólu zimna nawet myśli skupić. Nie było też przez cały dzień żywej duszy w sądzie. Komu to na taki czas ochota załatwiać interesy w sądzie! Było przez cały dzień przy ostrym wietrze zimno, ale pod wpływem chmur zaczęła się temperatura podnosić. Koło południa było już tylko - 9° mrozu, ku wieczorowi zaś wiatr się zmienił ze wschodniego na południowo-zachodni i wreszcie wieczorem nastała – odwilż.
Po obiedzie odbyło się zebranie zarządu Rady Opiekuńczej Powiatowej. Na ostatnim posiedzeniu plenarnym zostałem wybrany na zastępcę członka zarządu. Na zebraniu zarządu obecny był prezes Rady, p. Kazimierz Kisielnicki, ziemianin z Korzenistego, majątku odległego o 7 wiorst od Kolna (jest to jedna z najgrubszych ryb społecznych w

powiecie), członek zarządu p. Franciszek Stachelski, ja i sekretarz Rady, p. Stefan Litwiński. Wnieśliśmy między innymi na porządek dzienny sprawę pomocy dla internowanych Szczypiorniaków w myśl wskazań, ustalonych na zebrańku w tej sprawie z d. 30.XII.19917. Ponieważ sama kwestia udzielania na przyszłość przez władze powiatowe niemieckie cukru Radzie do sprzedaży ulgowej na rzecz uboższej ludności jest w zawieszeniu, więc na razie nie dało się nawiązać tej pomocy regularnej sprzedaży przez Radę cukru. Wyasygnowano tylko na ten cel 500 mk. jednorazowo, jako trzecią część czystego zysku Rady z tej sprzedaży w miesiącu bieżącym. Jak się ustali tę rzecz na przyszłość – to się jeszcze zobaczy.
Na koniec parę słów z innej zupełnie materii. W prasie polskiej bardzo dużo się w ostatnich czasach pisze o generale Konstantym Dowborze-Muśnickim, w związku ze sprawami polskich formacji wojskowych w Rosji. Generał ten stoi na ich czele. Oczywiście jest reakcjonistą i wraz ze starszyzną tych formacji usiłuje przeciwdziałać prądom rewolucyjnym w wojsku polskim, strojąc to w pozory neutralności polskiej wobec walk politycznych rosyjskich. Pomimo to prądy te przenikają do wojsk polskich w Rosji. Między Dowbór-Muśnickim a władzami bolszewickimi na tle jego tendencji reakcyjnych powstały bardzo naturalnie tarcia i konflikt, a bodaj nawet Dowbór-Muśnicki, jako „wróg ludu", został przez bolszewików aresztowany. Bolszewicy opierają się na tym, że swobodna ludowa Rosja nie może dopuścić, aby w niej przez te kadry tworzących się wojsk polskich kuły się przyszłe kajdany na wolność ludu polskiego. Jak tam jest ze szczegółami tej sprawy – trudno z pewnością orzec na podstawie sprzecznych nieraz informacji prasy, ale bądź co bądź wieści o tym konflikcie wciąż się w tej lub innej formie przedostają na łamy gazet polskich w kraju. I oto przy tej okazji bardzo często się czyta artykuły, sławiące „patriotyzm" i obywatelskie cnoty polskie generała Dowbór-Muśnickiego. Śmiech mię porywa, gdy to czytam. Osobiście Dowbór-Muśnickiego nie znam, ale wiem o nim dobrze, boć przecie żonaty on jest z panną Zolą Komorowską, siostrą mego szwagra Zysia Komorowskiego i pani Karoli Pomorskiej, obecnej ministrowej polskiej w Warszawie. Ożenił się z nią niedługo przed wojną jako wdowiec i człowiek starszy, już generał dymisjonowany. On i patriotyzm – to dwie antytezy. Był przez całe życie wiernym służbistą wojskowym rosyjskim, któremu ani w głowie była jakaś idea państwowa polska. Przesłużył gdzieś pono w Turkiestanie, ani śniąc o roli wodza polskiego. Był usposobiony ultralojalnie względem Rosji i caratu. Na starość, otrzymawszy dymisję, osiadł sobie w charakterze rejenta w Warszawie i będąc wdowcem, tu się ożenił. Gdy z wybuchem wojny powołany został do armii czynnej i objął dywizję rosyjską, był czystej krwi moskalofilem i generałem rosyjskim – niczym więcej. Do tego stopnia daleki był od patriotyzmu polskiego, że nawet z Julkiem Komorowskim, siostrzeńcem jego żony, który służył w jego dywizji, rozmawiał przy ludziach po rosyjsku! A teraz robią zeń publicyści „patriotę"! Czy nie mianują go czasem drugim Piłsudskim.

16 stycznia, rok 1918, środa
Odwilż. Chwilami nawet padał deszcz. Wieczorem przy wietrze zachodnim obfity miękki śnieg.
Dzień sesji w sądzie. Ławnicy: Stachelski i Jerozolimski. Spraw na wokandzie było dziewięć. Sesja trwała długo, zaczęła się o godz. 10, skończyła się po 6-tej wieczorem, z przerwą 1 ½ godziny na obiad. Sprawy nie były nawet zbyt zawiłe, ale było w nich bardzo dużo świadków, a jedna szczególnie, drobna, zajęła bardzo dużo czasu. Była to sprawa z powództwa biednego starego pastucha przeciwko całej gromadzie bogatych gospodarzy wsi Tyszki – o wydanie powodowi po jednym garncu żyta od każdego gospodarza, niedodanym mu tytułem umówionych rzekomo zasług. Gospodarze

oponowali, biedny pastuch nie mógł udowodnić zasadności swoich żądań i rzecz już miała być odroczona na przysięgę kościelną pastucha, na co się strony zgodziły, gdy wreszcie w ostatniej chwili gospodarze ustąpili, nie chcąc brać na sumienie przysięgi starca i złożyli mu po 2 marki gotówką, umarzając spór przez pojednanie. Szła też dziś sprawa między Grzechem i Dąbkowskim, jedna z cyklu spraw, które się toczyły między nimi, kilkakrotnie już odraczana i dziś odroczona znowu na zbadanie świadków, którzy się nie stawili. Jak Grzech, tak Dąbkowski sypią w tej sprawie świadkami, którzy w istocie *in merito* sporu nic nie wiedzą i nic nie udowadniają. Dalej zakończona dziś została wyrokiem sprawa cywilna Olszewskiego przeciwko Abkiewiczowi o zwrot wartości szafy i bufetu, które były pożyczone Abkiewiczowi i spaliły się podczas pożaru. Ta sprawa była dosyć ciekawa i trudna, bo kwestia możności uratowania tych mebli podczas pożaru przedstawiała się bardzo niewyraźnie. Świadków w tej sprawie było sporo, zarówno ze strony Olszewskiego, zbadanych jeszcze w grudniu, jak dziś ze strony Abkiewicza. Ja sam sądziłem, że wypadnie powództwo Olszewskiego oddalić, gdy dziś jeden ze świadków Abkiewicza, właściciel składu aptecznego, młody Rubinsztejn, kapitalnie zeznaniem swoim wbrew własnej woli poprawił sprawę Olszewskiego, który w stosunku do szafy wygrał. Dalej rozważaliśmy sprawę działową Bałdygów, pierwszą tej kategorii w mojej praktyce, ale już nie jedyną; sprawy takie o dział, choć właściwie mają charakter raczej ustalenia praw *in concreto*, niż właściwego rozstrzygania sporu, są jednak trudne i budzą wśród zainteresowanych osób wielkie kłótnie i nieporozumienia. Sprawa ta została odroczona. Była też jedyna sprawa karna z prywatnego oskarżenia o obelgi, odroczona dla konfrontacji świadków. Poza tym kilka jeszcze, z których jedna zakończona wyrokiem, oddalającym powództwo na skutek powołanego przedawnienia, jedna wykreślana z wokandy za niestawiennictwem stron, jedna – zakończona układem pojednawczym i jedna – odroczona z powodu niedoręczenia wezwań. Sesja była pracowita, jeno trochę za długa.
Przywieziono mi dziś przez okazję z Warszawy od Ludwika Abramowicza kartkę od Kotuni Pruszanowskiej z Mińska, o której mi już Ludwik poprzednio pisał. Rzuciłem się na kartkę chciwie. Okazało się, że nie została ona obecnie przesłana poprzez front przy okazji zawieszenia broni, jak się spodziewałem. Datowana jest z Mińska 10 (starego stylu) sierpnia 1917. Wysłana stamtąd pocztą do Sztokholmu do miejscowego Komitetu Polskiego, skąd, jak mię informuje Abramowicz, *via* NKN i dalej przez dr Boguszewskiego w Krakowie dostała się do Warszawy do rąk Abramowicza. Kartka Kotuńki, choć gęsto zapisana, jest z konieczności, ze względu na warunki cenzuralno-wojenne, lakoniczna w treści. Ale już sam widok autentycznego pisma kochanej dalekiej siostry weseli mię. Mówi Kotuńka o tęsknocie do nas, o tym, że prosi Papę, by wypłacił mnie i Maryńce należne Kotuńce procenty, pisze o zdrowiu swojej rodziny i Mieczkowskich, parę jeszcze luźnych wiadomości i zleceń od kilku osób. Kotuńka chorowała na wiosnę na zapalenie płuc, Ezechiel – na ischias, Elizce Pruszanowskiej wycięto ślepą kiszkę, ale już wszyscy zdrowi. Gienio zdaje w Moskwie na maturę. Oto i wszystko. W sierpniu było im jeszcze dobrze, ale teraz może ciężko wobec konfiskaty majątków ziemskich w Rosji. Ale niech tam! Wobec tych wielkich i wspaniałych przewrotów moralno-politycznych, których dokonała rewolucja rosyjska, bagatelą jest konfiskata ziem własności ziemiańskiej.

17 stycznia, rok 1918, czwartek
Dziś znowu dzień dziwacznej pogody. Mrozik był z rana bardzo niewielki, ale czas wietrzny. Widocznie w nocy, już po skończonej odwilży, musiał napadać świeży śnieg, bo gdy wiatr wzrósł i przeszedł w wicher, rozszalała się zawieja bez padającego z góry śniegu; wicher wyrywał z ziemi całe masy suchego śniegu, rzucał go gęstym tumanem

w górę, pędził w dzikiej zawierusze; zasypało śniegiem wszystkie ściany domów, okna – nawet na piętrze, dachy; porobiły się zaspy olbrzymie, bo rosnące już na gruncie zasp poprzednich. Maksimum tej zawiei trwało z godzinę. Potem się wypogodzilo i zaświeciło słońce. Wieczorem znowu nastała lekka odwilż. Miałem list od Maryńki, datowany 12 stycznia. Jeszcze nie ma w ręku pozwolenia i nie wiem, czy otrzyma na czas, by na 25 móc przyjechać do Łomży.
Otrzymałem też kartkę z Libawy od Żenni Wolberg, siostry Aninki, co mię bardzo ucieszyło, mam bowiem na sumieniu, że zaniedbałem wspierania tych biednych samotnych kobiet, staruszki matki i głuchej siostry, szwaczki z zawodu, która z pewnością zarobku teraz nie ma. Musi im być bardzo ciężko w Libawie przy drożyźnie obecnej. A moja Aninka tak mię prosiła, bym nie zapominał o nich! Kiedyż zaś bardziej mogą one potrzebować pomocy, jak nie teraz! Na wiosnę r. 1916 posłałem im raz 40 mk., potem zaś sam byłem ciągle bez pieniędzy albo ich miałem mało i nie mogłem posyłać. Tylko przez czas mego pobytu w Warszawie latem r. 1916 – wyrzucam sobie, że dużo namarnowałem pieniędzy, zapominając o nich. Jak tylko dostałem posadę sędziego w Kolnie i mogłem pieniądze odkładać, otworzyłem w mojej skarbnicy rezerwowej rubrykę „dla rodziny Anny". Dziś mam w tej rubryce przeszło 100 mk. i co miesiąc coś odkładam. Ale nie mogłem posyłać, zanim się nie upewniłem, czy mieszkają one pod dawnym adresem. Raz pisałem i nie dostałem odpowiedzi. Napisałem po raz drugi i wreszcie mam odpowiedź. Będę się starał co miesiąc im po trochę posyłać. To do najświętszych należy moich obowiązków.
Sprawa rokowań pokojowych w Brześciu utknęła na martwym punkcie. Winni są niewątpliwie Niemcy. Rosjanie z Trockim na czele stoją mocno i prosto na gruncie swej szlachetnej zasady o wolności narodów. Niemcy natomiast kręcą i starają się wywinąć frazesem, zachowując gwałt i prawo przemocy. Zasada rosyjska, choć rewolucyjna w stosunku do mocarstwowej idei imperializmu, jest bardzo prosta i szlachetna. Zaiste! W całym świecie cywilizowanym zabronione jest przez prawo, przez religię, przez elementarne uczucie ludzkie – niewola człowieka, handel niewolnikiem, własność człowieka nad człowiekiem. Natomiast niewola narodów i krajów, handel nimi, własność państwowa nad nimi w imię przemocy posiadania – są nie tylko tolerowane, ale uprawnione. Zasada rosyjska odrzuca ten dziki gwałt, proklamuje wolność narodów, krajów i ludów do stanowienia o sobie – tzw. prawo samookreślenia państwowego i z całą szczerością, z całą prostotą bez zastrzeżeń stosuje to do ziem i ludów własnej państwowości, żądając tegoż dla ziem okupowanych. Ale tą wolność chce mieć rewolucyjna Rosja nie jako fikcję lub jako frazes obłudny, ale jako rzetelny fakt. Niemcy natomiast chcą się rozrządzić krajami okupowanymi czyli owym łupem i zaborem wojennym po swojemu, dając obłudną pozorną satysfakcję zasadzie rosyjskiej pod pretekstem, że wola ludów i krajów okupowanych już się określiła i że zatem Rosja nic mieć do nich nie powinna, a jej żądanie plebiscytu jest niepotrzebne. Doskonale odpowiada na to Trockij. Jak dalece fałszywe jest to rzekome wypowiedzenie się ludów krajów okupowanych, które Niemcy chcieliby podać za wyraz ich woli – dowodem może być oświadczenie się jakiegoś zjazdu w Rydze na rzecz przynależności do Niemiec. Nikt mniej od ludu Łotwy nie pragnie i nie boi się aneksji niemieckiej.

18 stycznia, rok 1918, piątek
Odwilż. Wieczorem chwilami drobniutki, ledwie wyczuwalny deszczyk. Przez cały dzień pochmurno.
Dzień sesji. Sesja rozpoczęła się późno, coś koło godz. 12, bo czekaliśmy długo na ławnika Kocika, którego ostatecznie nie doczekaliśmy. Ciężka kopka droga po zawiei wczorajszej, jak również zapewne pobór bydła przez Niemców w gminie Czerwone,

który się dziś dokonywa, przeszkodziły mu przyjechać. Musiałem wezwać w jego zastępstwie Stachelskiego. Zasiadał na sesji on i Jerozolimski. Sesja skończyła się koło godz. 9. Na wokandzie było siedem spraw, ale z tych trzy były już z góry przeznaczone do odroczenia z powodu przewidzianego i usprawiedliwionego bezdrożem niestawiennictwa stron. Z czterech pozostałych w jednej chodziło tylko o rozważenie prośby incydentalnej, co załatwiliśmy bez względu na nieobecność stron, dalej dwie, z nich jedna karna, druga – cywilna, były bagatelne i szybko załatwione i tylko czwarta była wielką sprawą sesji. Było to zakończenie rozprawy w wielkiej sprawie Ignacego Szewczyka z Piotrem Pikulińskim, o której referowałem w dzienniku pod datą 7.XII.1917. Chodziło o ustalenie, ile ewentualnie ma być potrącone z należnej Szewczykowi sumy zwrotu ceny konia z tytułu zysków, które Szewczyk mógł z konia tego osiągnąć. Musieliśmy przesłuchać jeszcze szereg świadków. Zasądziliśmy całą sumę żądań powodowych Szewczyka za potrąceniem jeno 30 marek.
Poczty dziś nie było. W miesiącu bieżącym, z powodu częstych zawiei i ogromnych śniegów, poczta jest nam dostarczana bardzo nieregularnie. Często po dwa dni i więcej nie dochodzą wcale pociągi z Prus, a jest to jedyne połączenie Kolna ze światem.
Wieczorem byłem u Mystkowskich, gdzie się znowu spotkałem z Płońskim, bardzo częstym gościem u nich. Graliśmy przez kilka godzin w ramsa, a na ostatek godzinkę, do samej północy, w banczek polski. Tym razem przegrałem koło 10 marek; wygrał najwięcej Płoński oraz nieco Mystkowski. Biedny Mystkowski ma ciężkie życie domowe. Mystkowska, histeryczka, znerwowana jest w najwyższym stopniu nudą i niewygodą w Kolnie i całą wściekłość wetuje na starym Mystkowskim. Nie rozmawia z nim wcale, od kilku dni nawet mu obiadów nie gotuje i robi mu życie nieznośnym w ten charakterystyczny sposób zacięcia się w nieprzejednanym milczeniu lub bezapelacyjnych o byle co wybuchów, który jest właściwy histeryczkom i na który nie ma ani lekarstwa, ani argumentów, bo histeryczka ma siebie za torturowaną ofiarę i jest na wszystko, prócz jedynego argumentu własnych nerwów – ślepą i niedostępną. Skarżyła się przede mną, teraz się uskarża przed rejentem, chodzi do niego, radzi się o... rozwodzie z Mystkowskim itd. Ciekawe są te spazmatyczne sceny małżeństwa i myśl o rozwodzie między małżonkami, z których mąż ma już lat przeszło 60, a i żona już przekroczyła czterdziestkę. Oczywiście, że jak rejent, tak ja zdajemy sobie sprawę z histerycznego stanu Mystkowskiej i staramy się ją uspokoić i zbagatelizować jej skargi.
O naradach w Brześciu – głucho. Nie wróży to dobrze dla rychłego pokoju. Konflikt jest w istocie bardzo zasadniczy, bardzo głęboki, z którego wyjście trudno dostrzec. Właściwie jest tu konflikt nie niemiecko-rosyjski, lecz konflikt dwóch zasad i dwóch żywiołów: zasady mocarstwa (imperializmu) i zasady rewolucji ludowej; żywioły te nie dają się pojednać ani połączyć, jak ogień z wodą. Jeżeli nawet próbują mówić ze sobą wspólnym językiem, to w istocie język ich się różni, bo mówią różnymi kategoriami pojęć. W te same słowa inną kładą treść jedni i inną – drudzy. I jeżeli w konflikcie, który panuje nad obradami w Brześciu, w tej chmurze kłótni, która się maskuje w przemowach i dyskusjach, Trockij nie zrywa rokowań z Niemcami i nie przestaje idei swej pokoju rozwijać, to oczywiście jedynie dlatego, że ponad głowami urzędowych delegatów niemieckich chce tą drogą przemówić do masy ludowej niemieckiej, jak również do ludów i proletariatów całego świata, czekając, rychło li one zechcą wysnuć konsekwencje i w drodze rewolucji uścisnąć braterską pokojową swobodną dłoń rewolucji rosyjskiej. I kto wie, czy jeżeli Niemcy dziś nie dojdą do porozumienia pokojowego z Rosją, a obecnie Niemcy, takie, jakie są, chyba że dojść do tego nie mogą, bo są zanadto dalekie od rewolucyjnej idei rosyjskiej, to kto wie, czy nie będzie wyjściem jedynym dla Niemiec – rewolucja – rewolucja albo katastrofa i klęska. Kto wie, czy Trockij, jak tego z pewnością pragnie i o czym myśli, czy nie toruje istotnie

drogę dla przyszłej rewolucji niemieckiej? Konflikt obecny w rokowaniach pokojowych pogłębia znakomicie tzw. Partia Ojczysta w Niemczech, partia, która chce i dąży nie po prostu do pokoju, lecz do „pokoju niemieckiego". Partia ta – to kwintesencja imperializmu i idei militarnej, a patronują jej duchowo sfery wyższe wojskowe z wielkim Hindenburgiem na czele. Na próżno sekretarz stanu v. Kühlmann wraz z kanclerzem Rzeszy Hertlingiem i może samym Wilhelmem, opierając się na większość parlamentarną, usiłują się nagiąć kompromisowo do koncepcji rosyjskich i znaleźć umiarkowaną formułę „*modus vivendi*" dla układów pokojowych między dwiema przeciwnymi zasadami. Prąd, wytwarzany hałaśliwie i twardo, a prosto i bezwzględnie, przez Partię Ojczystą, prąd, otoczony blaskiem imienia Hindenburga, łamie szyki. Oto w stosunku do Polski ogłasza on ni mniej, ni więcej, jak zabór całej zachodniej, najbogatszej, przemysłowej i węglowej połaci Królestwa z Kaliszem, Będzinem, Częstochową i bodaj Łodzią. Również głosi on inkorporację do Niemiec części Litwy, Kurlandii, ujścia Dźwiny z Rygą i okupowanych wysp bałtyckich. I głosi to oraz żąda tego, odrzucając zarzut aneksji, bo na zachodzie Polski nie aneksją, lecz uregulowaniem granicy i względami racji stanu zabór uzasadnia, a na wybrzeżach bałtyckich w Kurlandii, Rydze i na wyspach – uzasadnia restytucją historycznych praw niemieckich oraz prawem dziejowej niemieckiej kultury tych ziem.

19 stycznia, rok 1918, sobota
Głęboka odwilż. Roztopy.
W sądzie ruchu prawie że nie było; jeno koło obiadu wpłynęły dwa identyczne powództwa cywilne, drobne wprawdzie, ale skomplikowane i ciekawe.
Otrzymałem kartkę od Maryńki. Wreszcie pisze, że już pozwolenie ma. Przyjedzie więc na pewno. Nie wiem tylko na pewno, którego dnia ją w Łomży czekać; sam jestem winien pewnego zamieszania co do ścisłej daty jej przyjazdu. Maryńka z góry od dawna wyznaczyła na przyjazd datę 25 stycznia, ale trzebaż mnie było wyrwać się w jednym z listów z uwagą, że może lepiej przełożyć przyjazd z piątku 25-go na poniedziałek 28-go, bo może w szabas będzie trudniej o furmankę. W paru ostatnich listach pośpieszyłem to odwołać, bo chodzi mi, byle się prędzej Maryńki doczekać, a gdyby nawet była z furmanką trudność, to wszak możemy dzionek i dłużej w samej Łomży z nią spędzić. Ale ten list już zrobił zamieszanie. Maryńka już go otrzymała i pisze, że wyjedzie z Wilna 27-go, a tymczasem potem otrzyma moje ostatnie listy i może wyjazd przyśpieszy, a może i nie. W każdym razie, będę już w Łomży od 23-go lub 24-go. Cieszę się bardzo z jej przyjazdu, a razem już z góry ubolewam, że jej pobyt tak prędko się skończy.
Przyszła dziś poczta, ale gazetę miałem dopiero z poniedziałku. O skutku narad w Brześciu nic konkretnego nie wiadomo. Ciekawe są tylko mowy Trockiego. Te są bardzo piękne i wyraziste. Trockij, broniąc mocno zasad ludowych rewolucji, chłoszcze znakomicie imperializm Niemców. Przyjemność czytać te mowy. W jednej z mów na uwagę Niemców, że Rosja zmuszona jest do pokoju, bo militarnie jest słaba, podczas gdy Niemcy są niewątpliwie zwycięzcami (Niemcy dawali do zrozumienia, że w razie niedojścia pokoju do skutku Rosja się narazi na dalsze klęski wojenne), Trockij stwierdza dobitnie i krótko, że wprawdzie Niemcy jako państwo są w tej chwili istotnie silne, czemu on nie myśli przeczyć, to przecież Rosjanie są syci. Tylko tyle, ale to wystarczy. W innej mowie Trockiego jest znów znakomita aluzja do owej rzekomo już wyrażonej, jak twierdzą Niemcy, woli ludności terenów okupowanych, usuwającej rzekomo potrzebę stosowania do nich dopiero kryterium plebiscytu. Mowa ta była wygłoszona z okazji uznania przez delegacje sprzymierzeńców w Brześciu delegacji ukraińskiej za samodzielną i równoległą do Rosji stronę w rokowaniach. Delegacja

rosyjska z góry bez żadnych zastrzeżeń uznała w myśl swoich ogólnych zasad rewolucyjnych delegację Ludowej Rzeczypospolitej Ukraińskiej za całkowicie samodzielną i uprawnioną do rokowań w swoim własnym imieniu stronę. Gdy po kilku dniach rozwagi delegacje mocarstw sprzymierzonych wygłosiły uroczystą deklarację, uznającą Ukraińców za stronę samodzielną, Trockij zabrał głos i w mowie swej wypowiedział między innymi te słowa (cytuję podług urzędowej niemieckiej Agencji Wolffa): „Wobec tego, że na Ukrainie nie ma wojsk okupacyjnych, że życie polityczne ma tam przebieg zupełnie wolny, że nie ma tam ani średniowiecznych organów stanowych, pragnących reprezentować kraj, ani też mianowanych prawem siły pozornych ministeriów, działających w z góry zakreślonych granicach; biorąc pod uwagę, że na terytorium Ukrainy działają wszędzie powstałe z wolnych wyborów rady robotniczych, żołnierskich i włościańskich deputacji, i że wybory do wszystkich organów samorządu odbywają się na zasadzie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego, wobec tego nie ulega dla nas żadnej wątpliwości, że proces określenia Ukrainy i co do granic etnograficznych, i co do formy państwowej dokona się zgodnie z wolą narodu ukraińskiego. Tym oświadczeniem Trockij dał odprawę roszczeniom do podawania uchwał jakichś zjazdów w Rydze i Kurlandii o ich życzeniu aneksji niemieckiej lub postanowień polskiej Rady Stanu, Rady Regencyjnej i ministerium p. Kucharzewskiego o monarchicznej formie rzędu – za rzekomą wolę odnośnych ludów i krajów oraz podkreślił dobitnie te czynniki, które w krajach okupowanych fałszują istotną demokratyczną wolę i samookreślenie ludów.

20 stycznia, rok 1918, niedziela
Niedziela upłynęła, jak zawsze. Na dworze rano był lekki mróz, koło południa – lekka odwilż, wieczorem prawie że na granicy 0°. Umówione było u nas z rejentem Płońskim i Mystkowskimi, że się wieczorem u tych ostatnich zbierzemy, by znowu trochę w karty pograć. Rejent wystąpił przy tej okazji z kolacyjką, którą jego kosztem przyrządziła p. Mystkowska. Była przepalanka z przekąską, złożoną z kiełbasy gorącej i szprotów norweskich w pomidorach, i na właściwą kolację pieczeń wołowa z kartoflami, ale pomimo to gra w karty (przed kolacją w ramsa i po kolacji w banczek polski) nie szła nam wesoło. P. Mystkowska pojednała się już z mężem i wypogodziła się, ale zaiste nudna to i dość głupia rzecz być świadkiem i powiernikiem żalów wzajemnych więdnącego małżeństwa; gdy w młodym małżeństwie są żale i urazy oraz gra uczuć i nerwów – to jeszcze ujdzie (a czasem nawet rola powiernika może być wdzięczną), ale gdy więdnąca małżonka rozwodzi się nad krzywdami swymi i wytacza skargi do płci męskiej, a wypomina różne winy, sięgając nawet w przeszłość do czasu miłostek i kochanek małżonka-starca, który już ma lat przeszło 60, nie jest to nawet zabawne. W kartach i w hazardzie werwa nam jakoś tym razem nie dopisywała, a Mystkowski czepiał się wciąż do rejenta i kilkakrotnie nawet bardzo niegrzecznie robił mu uwagi co do gry, wyraźnie obraźliwe. Toteż skończyliśmy wieczór z pewnym niesmakiem i wątpię, czy te nasze schadzki karciane utrzymają się na przyszłość. Zresztą ja nigdy karciarzem nie byłem i namiętności do kart nie mam, a gram – raz na pięć lat; zresztą znam tylko kilka bardzo prymitywnych gier i prędko doznaję przesytu w kartach. Ponieważ dziś niedziela, więc oczywiście poczty i gazet nie było. O rokowaniach brzeskich same tylko pogłoski. Jedne z nich twierdzą, że rokowania już zostały zerwane, inne – że się toczą nadal. Jedni nie wierzą zgoła w pokojowy skutek rokowań, inni – nie tracą nadziei. Zresztą – traktuje się te rokowania jak loterię, w której nic z góry przewidzieć niepodobna. Niemcy kręcą się w rokowaniach jak piskorze, Rosjanie – prosto i mocno nastają na swoim. Delegacja niemiecka i austriacka z Kühlmannem i Czerninem są w położeniu dość trudnym: starają się oni zbliżyć do propozycji

rosyjskich, ale są w tym pętani przez jaskrawe imperialistyczne tendencje, które w Niemczech bynajmniej jeszcze sforsowane nie zostały i są żywione z wpływowych sfer wojskowych. Wprawdzie pozornie Niemcy są w stosunku do Rosji zwycięzcami, to jednak sytuacja ich jest taka, że pokój z Rosją – i to na gruncie zasad, ustalanych przez Rosję rewolucyjną, a nie przez nich – jest właściwie dla nich koniecznością. I zaiste gra, którą prowadzą Niemcy w Brześciu, jest niebezpieczna tylko dla nich. Będą głupcami i wariatami, jeżeli dopuszczą do zerwania tych rokowań. Dla Niemiec jest to wspaniała i jedyna okazja stwierdzenia przed światem swej aprobaty na wolnościowe zasady, wytrącenia przez to największej broni przeciwko nim z rąk koalicji zachodniej i zadania kłamu samym podstawom jej rzekomej humanitarnej i demokratycznej krucjaty na pruski system gwałtu i panowania. Już przez to samo, że Niemcy tak kręcą w tych rokowaniach obecnie, dyskredytują się one i pogarszają swą sprawę w obliczu świata. A to nie jest bagatela do zlekceważenia dla tych, którzy mają całą potęgę świata przeciwko sobie i choć sami są jeszcze silni, mają takie jak oni trudności gospodarcze. Samo wrażenie, które w tych rokowaniach pozycja Niemców sprawia, jest dla nich czynnikiem wielce ujemnym. Dla chciwości doraźnej, dla zaspokojenia swych zachłannych na wschodzie pragnień narażają oni na straszliwe ryzyko klęski to, co jest samą osią ich bytu i co jest im ze strony Anglii, Ameryki i Francji zagrożone. Gdyby dopuścili do zerwania rokowań, byłoby to ich porażką polityczną ogromnej doniosłości. Cóż stąd, że mogliby jeszcze odnieść wojenne zwycięstwo nad Rosją i jeszcze szmat terenów ewentualnie nawet okupować. Zwycięstwa takie byłyby już tylko Pyrrhusowymi.

21 stycznia, rok 1918, poniedziałek
Dziś miałem wielką przyjemność. Otrzymałem list od Papy, pisany z Bohdaniszek, króciutki, lecz bardzo serdeczny. List ten wynagrodził mi całkowicie przykrość, wyrządzoną poprzednim listem Papy, pisanym w grudniu z Wilna. Pod wrażeniem tamtego listu czułem żal do Papy za krzywdę, którą mi wyrządza, żal, że po tak długim niewidzeniu się jedyne, co mi ma w liście do powiedzenia, to nie słowa serdeczne miłości, ale cała kolumna zgryźliwych insynuowanych zarzutów. Był nawet taki ustęp w tamtym liście Papy, że wprawdzie tęskni do mnie, ale nie pragnie mię wcale mieć w Bohdaniszkach, bo nie lubi „agitatorów socjalistycznych" i sam jest człowiekiem spokojnym, cichym obywatelem i dobrym „patriotą polskim". Dalej szły różne zarzuty, jak to, że z pewnością wstąpiłem w swoim czasie do Legionów z pobudek socjalistycznych i „wolnościowych", że nie dbałem o to, aby otrzymać błogosławieństwo ojcowskie, z którego kpię sobie zapewne, że okłamałem Papę przy wyjeździe z kraju w r. 1915, twierdząc rzekomo, że wyjeżdżam do Szwajcarii dla współpracy z Komitetem „Narodowym", w którym byli tacy rzetelni „patrioci" Polacy, jak Paderewski i Sienkiewicz, dalej wyrzuty, że nie uczęszczam do spowiedzi itd., wreszcie, w przeciwstawieniu do moich sympatii litewskich, podkreślanie, że Papa był, jest i pozostanie patriotą Polakiem, obywatelem tej ziemi „polsko-litewskiej" (podkreślenie w tekście listu Papy), a nawet w adresie swoim zastrzegł – widocznie, jak sądził, mnie na złość, a w istocie przez dziecinną przekorę: „Polen-Lithauen". Słowem – niestworzone zarzuty, pretensje, żale, ukłucia i posądzenia; trudno się o nie wprawdzie gniewać, znając charakter Papy i jego poglądy, dla których wszystko to, co nie jest ściśle przepisowo tak, jak Papa wierzy i myśli – jest czymś zbrodniczym i bez zastrzeżeń złym. Wiem, że wyrozumiałości nie ma Papa za grosz ani też najmniejszej giętkości do zrozumienia i uszanowania innych, niż swoje poglądy. Zresztą na tej prostocie wiary i przekonań Papy, nie znających żadnych kompromisów i zboczeń, funduje się głównie nieskazitelna Papy uczciwość i ta prawość, która stanowi

kryształowy klejnot jego charakteru. Może to być nieraz w zastosowaniu, a tym bardziej we współżyciu – bardzo przykre, ale niemniej cechy te u Papy szanuję. Wreszcie obrazić się było trudno choćby dlatego, że niektóre pretensje i zarzuty, jak np. przypuszczenie o możliwości mojej współpracy w r. 1915 z Paderewskim itp., były po prostu rozbrajające naiwnością i nie orientowaniem się w prądach polityczno-narodowych. Ale bądź co bądź miałem żal do Papy, że nic serdecznego dla mnie nie znalazł, nic innego, prócz steku goryczy. Ustęp zaś o Bohdaniszkach tak mię poruszył, że byłem już postanowił nigdy do Papy do Bohdaniszek nie pojechać. Tamten list Papy wszakże skrzyżował się z moim listem, który w grudniu stąd do Wilna do Papy wysłałem. List ten był pełny tęsknoty i gorącej serdeczności. Nie zastał on już Papy w Wilnie, ale Marynia przez jakąś okazję go Papie przesłała do Bohdaniszek. I pod wpływem tego listu, który widocznie wzruszył Papę (pisałem w nim i o Mamie naszej nieodżałowanej, i o samotności Papy i mojej, i o tęsknocie, którą czuję względem Papy), napisał mi teraz bardzo serdecznie. W niepamięć poszedł mój żal z poprzedniego listu. Czuję do Papy tylko wdzięczność i miłość. Radbym jego ręce całować. Ale co ciekawsze – że w tym liście Papa w odpowiedzi na mój ustęp o Litwie, o jej – da Bóg – wolności i o tym, że choć Papa Litwinów nie lubi, to przecież zapewne będzie wolał się znaleźć w Litwie niepodległej, niż w Rosji, i że w Litwie, mam nadzieję, zrealizuje się wolność wszystkich jej mieszkańców, Papa odpisuje, że co do niechęci Papy względem Litwinów... mylę się, bo Papa tylko Łotyszów nie lubi. Takie oświadczenie jest przyjemną dla mnie nowiną.

22 stycznia, rok 1918, wtorek
Tak się zasiedziałem w Kolnie, że teraz wobec jutrzejszego wyjazdu do Łomży na spotkanie Maryńki – zaczynam już dziś doświadczać „Reise-Fieber". Ta „gorączka podróżna", pewne uczucie niepokoju wobec oczekiwanego wyjazdu, której nie doświadczałem nigdy, kiedy mię czekała nawet większa podróż, teraz manifestuje się na tak nędzną „podróż", jak jazda końmi do Łomży. Cóż by było dopiero, gdybym miał gdzieś dalej wyjeżdżać koleją! Zaczynam rozumieć Mamuśkę moją, która zawsze doznawała tej „Reise-Fieber" już na kilka dni przed zamierzoną podróżą, a z której myśmy się zawsze śmieli. Może z biegiem czasu, gdy tak spleśnieję przez dłuższy pobyt w martwym Kolnie, upodobnię się do tej klasycznej pani, którą raz Mama w Kałkunach na stacji spotkała: kobietka ta przyjechała skądś ze wsi końmi do Kałkun z odległości kilkudziesięciu wiorst, aby się wybrać koleją do Wilna. Mama spotkała ją już w Kałkunach. Gdy Mama się uskarżała przed nią, że tak długo trzeba w Kałkunach z pociągu na pociąg czekać, ta odrzekła: „Ach, Pani moja, ja tu już przeszło dobę na pociąg czekam", a gdy Mama, zdziwiona, spytała, w jaki to sposób być może, bo przecież w ciągu doby pociąg iść musiał, poczciwa kobieta wyjaśniła, że gdy przyjechawszy wczoraj z odległości kilkudziesięciu wiorst dowiedziała się, że do nadejścia pociągu zostało tylko parę godzin, tak się przeraziła pośpiechu i tego, że już się wybrać nie zdąży, iż postanowiła przeczekać na stacji do następnego pociągu, który szedł nazajutrz, byle się nie potrzebować śpieszyć. (Widocznie się jednak mylę w tej opowieści, bo pani ta musiała jechać nie do Wilna, gdyż w takim razie miałaby więcej niż jeden pociąg na dobę, lecz z Kałkun na Radziwiliszki).
W każdym razie cieszę się bardzo, że przyjazd Maryńki jest już tak bliski.
W sądzie dziś miałem sporo roboty. Gdy nastała lepsza pogoda, w sądzie ruch spraw i interesantów nieco się zwiększył. Wczoraj i dziś wpłynęły po dwa nowe powództwa cywilne. Oprócz tego, dzisiaj miałem sesję rady familijnej dla ustanowienia pewnej opieki oraz badanie oskarżonej i świadka w pewnym śledztwie, którym mię obarczył prokurator z Łomży.

Więcej nic już dzisiaj pisać nie będę. Idę spać, by jutro wstać, odbyć sesję sądową i po obiedzie wyjechać na wieczór do Łomży.

23 stycznia, rok 1918, środa
Po sesji sądowej i po obiedzie wyjechałem koło godz. 4 do Łomży. Jechałem z rejentem Płońskim, a wiózł nas Pikuliński, gospodarz, w którego domu mieszkam. Droga na szosie niezbyt dobra: miejscami są wyboje, choć śnieg rozkopany, miejscami znów trafiają się kawałki gołej ziemi, bez śniegu, przez które trzeba przejść pieszo, bo na jazdę sankami za ciężko. Koń Pikulińskiego słaby, tak że ciągnęliśmy się noga za nogą. Do Łomży przyjechaliśmy na godz. 9 wieczór. Rejent wraca jutro furmanką Pikulińskiego z powrotem do Kolna, ja zaś będę czekać w Łomży na Maryńkę.

24 stycznia, rok 1918, czwartek
Maryńki się dziś nie doczekałem. Dowiedziałem się rano na dworcu kolejowym, że pociąg z Łap przychodzi do Łomży o godz. 4 ½ po południu. Ponieważ Maryńka z Wilna chyba tylko na Łapy jechać może, poszedłem po południu na ten pociąg na jej spotkanie. Miałem nadzieję, że może już dziś z Wilna pociągiem rannym wyjechać, odchodzącym coś o godz. 7 rano i z pewnością mającym połączenie dziś jeszcze z pociągiem Łapy-Łomża. Nadzieja moja jednak zawiodła. Pociąg przyszedł, ale Maryńki nie było.
Rano, gdym się poszedł dowiedzieć na dworcu o pociągu z Łap, poszedłem z dworca szosą dalej, pod koszary, gdzie siedzą moi internowani towarzysze-Szczypiorniacy. Nie bardzo liczyłem na zobaczenie się z nimi, ale chciałem przynajmniej z zewnątrz te dobrze mi znane koszary ujrzeć; myślałem też, że może przez okno zobaczą mię i ucieszą się koledzy, wreszcie chciałem wstąpić do Żydka, mieszkającego w domku naprzeciwko koszar; Żydek ten utrzymywał tam w roku zeszłym herbaciarnię i dobrze był nam znajomy; ma on bardzo ładną córkę. U niego byłbym zasięgnął języka o internowanych. Gdym podchodził do koszar, widziałem snujących po podwórzu koszarowym legionistów, a następnie ujrzałem gromadkę stojących przed koszarami przy drzwiach na wprost szosy i gapiących się na ruch na szosie. Byli oni oddzieleni od szosy dwoma rzędami drutów kolczastych, pomiędzy którymi był pas przestrzeni, tak że od szosy stali w odległości może kilkunastu metrów. Przy moim krótkim wzroku rozpoznać twarzy stojących nie mogłem. Po szosie przechadzał się z karabinem na ramieniu pełniący wartę żołnierz niemiecki. Wtem z gromadki padł okrzyk „Cześć, stryjku!" i jedna ręka uniosła się do czapki, salutując. Za nią jeszcze parę okrzyków i przywitań. Odpowiedziałem „Cześć!", zwracając wzrok ku nim i podchodząc nieco bliżej. Po postawie i figurze poznałem w jednym z nich, który mię przywitał pierwszy, Stępnia; poza tym poznałem jeszcze Sikorskiego, zwanego Zośką; inni byli, zdaje się, nieznajomi. Zamieniłem kilka słów ze Stępniem, ale już wartownik niemiecki szedł ku mnie, a wiem, że rozmowy takie są zabronione. Poszedłem do wartownika i spytałem, czy można otrzymać pozwolenie na widzenie się z nimi. Odrzekł, że to rzecz komendantury, której siedzibę wskazał mi w sąsiednim budynku i kazał odejść. Zawróciłem, by odejść, a w tej chwili na piętrze otworzono lufcik i jakaś głowa wychyliła się stamtąd, wołając parokrotnie gorąco: „Stryjku-u-u! Stryje-e-ek!" i wymachując żywo na powitanie ręką. Nie poznałem głosu; nie wiem, który to z nich tak mię wołał. Odszedłem, wołając im na pożegnanie, że postaram się uzyskać pozwolenie na widzenie się z nimi. To przelotne spotkanie poprzez druty gorąco mię wzruszyło. Wracałem pod silnym wrażeniem. Byłem potem w komitecie pomocy dla internowanych, gdziem złożył pieniądze z Kolna (564 mk. i 5 rb.), znalazłem też okazję, by parę listów, które mam dla internowanych, przemycić. Na uzyskanie

widzenia się jednak nadziei nie ma. W komitecie liczą na bardzo rychłe uwolnienie internowanych. Nie ufam temu.

25 stycznia, rok 1918, piątek
Dzisiaj byłem już prawie pewny, że Maryńka przyjedzie. Przypuszczałem, że Maryńka pod wpływem ostatnich kilku moich listów, w których odwoływałem przełożenie terminu jej przyjazdu z 28-go na 25-ty stycznia, z pewnością przyjedzie dzisiaj. Znów, jak wczoraj, na godz. 4 ½ poszedłem na dworzec kolejowy na jej spotkanie. Przyszedł pociąg z Łap: Maryńki nie było. Nudzi mi się w Łomży strasznie. Dnie wloką się żółwim krokiem i nie wiadomo, czym czas zapełnić. Z Kolna Łomża się wydaje stolicą; ale gdy się w tej „stolicy” znajdzie, widzi się, że to taka sama dziura, jak nasze Kolenko. Wolę już czas spędzać w Kolnie, niż tutaj; tam mam przynajmniej zawsze co robić, a tutaj, w przejeździe – nuda i pustka. Do tego jeszcze pogoda ohydna: słota, mgła, drobny deszczyk, ulice brudne, pełne topniejącego śniegu. Jedyne, czym się tu mogę rozerwać i czym się ten pobyt w Łomży uprzyjemnia w porównaniu do Kolna – to, że mogę sobie na noc zafundować w hotelu dziewczynkę. Toteż obie te noce miałem po dziewczynce, oczywiście po kurewce. Zgłodniały jestem pod tym względem i nienasycony, ale to drogo kosztuje, a przyjemność jest stosunkowo niewielka, w bardzo małej cząstce spełniająca realnie to, czego się w swej tęsknocie męskiej do kobiety szuka i pragnie. Zresztą oba razy trafiłem dość nędznie na kobiety mało interesujące, takie, które mię goręcej poruszyć nie były w stanie. Odwaliłem sporą ilość „sztosów”, ale bez tej subtelnej podniety uczuciowej, nawet bez tej drażniącej rafinowanej zmysłowości, jaką daje dziewczyna, która się przynajmniej podoba. Wczorajszej nocy miałem jakąś Białorusinkę z gub. grodzieńskiej, dzisiejszej nocy – Żydóweczkę, młodą nawet, ale nieciekawą, bardzo pospolitą. Chciałbym kobiety, która by przynajmniej ostro na wyobraźnię moją podziałała. Byłoby to coś, a tak to jest nic, prócz świństwa.

26 stycznia, rok 1918, sobota
O zmroku odbyłem moją codzienną pielgrzymkę na dworzec kolejowy. I znowu spotkał mię zawód: Maryńka nie przyjechała. Z nudów już nie mogę wytrzymać w tej Łomży. Pieniądze też tak lecą jak szalone. A pogoda ciągle nieznośna – najgorsza, jaką tylko sobie wystawić można: mgła ponura, mokro. Zły już jestem trochę na Maryńkę, że nie usłuchała moich nawoływań z ostatnich listów, aby przyśpieszyła przyjazd. Jeszcze więcej wszakże zły jestem na samego siebie: jakie licho mię skusiło poradzić jej w jednym z listów odroczyć termin przyjazdu z 25-go na 28-my stycznia. Widocznie już Maryńka postanowiła trzymać się niewzruszenie tego ostatniego terminu i wyjechać z Wilna, jak mi napisała, 27-go stycznia pociągiem o godz. 6 rano. Nie wiem tylko, czy trafi tegoż dnia jutro na pociąg, odchodzący z Łap do Łomży. Gdyby jeszcze jutro nie przyjechała, byłbym już w rozpaczy. Zaczynam się już niepokoić.
Zatelegrafowałem dziś do Goldberga do Kolna, obstalowując furmankę po mnie do Łomży na poniedziałek.
Znowu dziś na noc sprowadziłem sobie do hotelu dziewczynkę. Tym razem trafiła się rzeczywiście dziewczynka – krew z mlekiem, która mi dała podnietę i subtelną rozkosz zmysłów.

27 stycznia, rok 1918, niedziela
I znowu mi dziś dzień zeszedł na próżno: Maryńka nie przyjechała. A zdawało się, że dziś to już chyba na pewno powinna przyjechać. Jeżeli bowiem nawet zastosowała się bez zmian do mojego niefortunnego pomysłu opóźnienia wyjazdu o parę dni, to, jak mi pisała w ostatniej otrzymanej przeze mnie kartce, wyjechać ma z Wilna dziś rano o

godz. 6. Przypuszczam, że ten pociąg musi się komunikować z odchodzącym popołudniu z Łap do Łomży. Na próżno jednak brnąłem dziś znowu wśród wilgoci po topniejącym śniegu, nieraz po kostki w wodzie, na dworzec kolejowy na spotkanie pociągu łapskiego. Pociąg przyniósł mi znowu rozczarowanie, tym razem jeszcze bardziej przykre, niż dni poprzednich. Nie wiem, co myśleć. Chyba Maryńka nie trafiła na pociąg z Łap i albo nocuje w Łapach, albo się będzie wlokła drogą okólną na Małkinie i Ostrołękę. W każdym razie, jutro ostatni termin jej przyjazdu. Jutro pójdę na jej spotkanie i na pociąg z Małkini, i na pociąg z Łap. Jeżeli jutro nie przyjedzie, wrócę samotny do Kolna, a będzie to powrót smutny po zawiedzionej nadziei. Przecież nie mogę przypuścić, żeby coś aż tak dalece jej przeszkodziło, żeby nie przyjechała wcale. Czepiam się ostatków nadziei, że jeszcze przyjedzie – jutro. Tyle w tę nadzieję jej przyjazdu włożyłem tęsknoty i różowych myśli o jej pobycie!
Wieczór spędziłem dziś bardzo mile u sędziego pokoju Tarnowskiego. Wstąpiłem do niego i zostałem zaproszony na herbatkę. Prócz żony jego, bardzo miłej osoby, zastałem tam także niejaką p. Abłamowiczową, ładną i sympatyczną młodą mężatkę, żonę oficera Legionów z I p. ułanów. Mąż jej jest internowany w Beniaminowie. Pani ta jest córką rejenta z Zakroczymia. Ona, jak również oboje Tarnowscy spędzali lato w Zakroczymiu, gdy w Modlinie stał nasz pułk I piechoty. Toteż są pełni wspomnień i tradycji z tych czasów naszego pułku. To nawiązało od razu żywy łącznik między całym tym gronem a mną jako byłym legionistą tego pułku. Szczególnie sympatyczna p. Abłamowiczowa była rada ze mnie i z ciekawością rozmawiała ze mną o dziejach pułku, walk i późniejszej katastrofy Legionów. Wieczór upłynął bardzo mile. Przyszedł jeszcze sędzia śledczy Szyc. Zabawiliśmy u Tarnowskich do północy.

28 stycznia, rok 1918, poniedziałek
Maryńka przyjechała. Nie spotkałem jej wcale na stacji, bo nie przypuszczając, że przyjedzie pociągiem o godz. 2 we dnie, ostatecznie na pociąg ten nie poszedłem. Miałem znów iść na jej spotkanie o godz. 4 ½. Siedziałem po obiedzie w kawiarni i czytałem gazetkę; następnie w tej myśli, że nuż Maryńka tym popołudniowym pociągiem przyjedzie, wstąpiłem zajrzeć do hotelu, czy jej nie ma. Z korytarza zobaczyłem, że drzwi mojego pokoju są otwarte i domyśliłem się, że jest. Ucieszyliśmy się i uściskaliśmy oboje. Zaprowadziłem Maryńkę zaraz na obiad, potem do cukierni. Stamtąd musiałem jeszcze pójść na kolej po bagaż Maryńki, który przyszedł następnym pociągiem. Maryńka zanocuje jeszcze dziś w Łomży, bo jest zmęczona z drogi (musiała w drodze nocować w Białymstoku). Zresztą droga jest bardzo zła, tak że po ciemku jechać trudno. Wyjedziemy do Kolna jutro ze świtem. Furmanka z Kolna po mnie już przyszła: przyjechał Pomichowski kołami, bo sanna już jest niemożliwa. Zresztą i kołowa droga wcale nie świetna. Ale koń Pomichowskiego – dobry, a droga w towarzystwie Maryńki będzie miła. Dzięki Bogu, że się jej doczekałem.

29 stycznia, rok 1918, wtorek
Wstaliśmy z Maryńką jeszcze przed świtem i o świcie wyjechaliśmy już z Łomży, śpiesząc do Kolna. Droga była zła. W wielu miejscach leżą jeszcze na szosie spore warstwy stwardniałego śniegu, po których kołami jechać bardzo ciężko. Był leciutki mrozik i gęsta mgła, nieznośna, która już od szeregu dni zalega powietrze. Jechaliśmy cztery godziny. Nie nudno było jednak wcale w drodze, bo gawędziliśmy sobie z Maryńką, opowiadając sobie wzajemnie o naszym życiu, stosunkach itp. W Wilnie w tym roku jest trochę lżej, niż było w roku zeszłym. O produkty spożywcze trochę łatwiej, kartofli jest w tym roku w mieście więcej, ceny są względnie niższe. Co do Maryńki, to gospodareczka jej w Wilnie kwitnie: oprócz krowy, kilku świń, ma jeszcze

kilkadziesiąt królików i znowu w tym roku będzie uprawiać z dzierżawy kilka ogrodów, a nawet myśli o kupnie konia. Rokowania pokojowe i zawieszenie broni z Rosją ujawnia się w Wilnie, zbliżonym do frontu, o wiele jaskrawiej, niż w Polsce; przybywają tam już często liczne partie uchodźców, wracających do kraju z Rosji na własną rękę poprzez front; Niemcy jednak ich aresztują. Z Wilna też można już wysyłać listy do Rosji pocztą, nawet po polsku; być może, że lwia część tych listów ginie, ale przecież już jakaś możność komunikacji jest. Z wieści, nadchodzących do Wilna z Rosji przychodzą nieprawdopodobne wprost podania o cenach w Mińsku, gdzie rzekomo cena funta chleba dochodzi czasem do 10 rubli, cena zaś obiadu w restauracji do... 80 rubli! Te ceny bajeczne pochodzą zarówno z niedokładności komunikacyjnych, jak z tego, że w Mińsku zgromadziły się podobno ogromne rzesze uchodźców, skupiających się tu w oczekiwaniu sposobności do powrotu kraju (do terenów okupowanych) poprzez linię frontu. Na linii kwitnie homeryczny handel zamienny między żołnierzami rosyjskimi a niemieckimi.
O godz. 11 przyjechaliśmy z Maryńką do Kolna. Maryńka mieszkanko moje podobała, jeno w nim było n arazie tak zimno, że musiała siedzieć w paltocie. Stopniowo jednak ogrzało się. Na przyjazd Maryńki czekają już liczne przysmaki, które tu są jeszcze dość pospolite, w Wilnie zaś należą do artykułów zbytku: dwie kury, kaczka, masło, słonina, jaja, mąka, miód, chleb pytlowy, bułki, cielęcina, zając itd. Będziemy sobie sami z Maryńką gotować i jeść w domu przez czas jej pobytu. Dziś ugotowała Maryńka rosół z kury, doskonały, na wieczór zaś mleko z bułką i kiełbaska na gorąco. Będę Maryńkę pieścić i odkarmiać w Kolnie. Po obiedzie wyprowadziłem Maryńkę trochę „na miasto" i zaprezentowałem jej mój sąd, a dalej rynek kolneński i szereg ludzi, jak Stachelskiego, Rembę, Goldberga, Chodnickich, Dywizjonka, Miętkiewicza. Cieszę się z jej pobytu, jak dziecko.

30 stycznia, rok 1918, środa
Dzień sesji sądowej. Zabrałem do sądu ze sobą Maryńkę, aby posłuchała mego sądzenia. Ustawiłem dla niej krzesełko przy piecu, na którym usiadła z robótką ręczną w ręku i wysiedziała cierpliwie aż do końca sesji do godz. 2 ½. Powiada, że się wynudziła trochę, ale, zdaje się, nie bardzo, bo w niektórych sprawach brała żywy udział myślą i sercem, jak wnoszę z tego, co mi później mówiła. Zresztą miała przy tym okazję do obserwowania charakteru ludu, który się w procesach sądowych bardzo wyraziście zwykle przejawia. Dla mnie obecność Marynki na sali w czasie mojego funkcjonowania sędziowskiego – była wielką przyjemnością. Ławnicy zasiadali – Remba i w zastępstwie Stachelskiego Kocik (u biednego Stachelskiego urodziło się w tych dniach dziecko, zdaje się jedenaste z rzędu, które ma przeciętą z urodzenia wargę górną aż do nosa i szczękę górną; biedny Stachelski jest bardzo z tego powodu przygnębiony). Spraw na wokandzie było osiem, z których dwie zostały wykreślone z wokandy za niestawiennictwem stron, sześć zaś było sądzonych. W tej liczbie została zasądzona sprawa z oskarżenia Olszewskiego przez Antonowicza o zniesławienie, zakończona wyrokiem, skazującym Olszewskiego, z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, na dwa tygodnie aresztu, następnie również sprawa cywilna z powództwa Staniszewskiego przeciwko Koszewskiemu o 603 marki wynagrodzenia szkód i strat za przebodzoną krowę, zakończona wyrokiem zasądzającym powództwo. Była też sądzona dziś sprawa z powództwa pięknej młodej Podolskiej, Amerykanki z Zabiela, o której wspominałem w dzienniku, gdy powództwo to zostało przez nią wytoczone. Sprawę tę odroczyliśmy dla zbadania dodatkowych świadków.
Maryńka brała żywy udział w sądzonych sprawach. Żałowała serdecznie skazanego Olszewskiego i pozwanego Koszewskiego; w ogóle instynktem stawała zawsze po

stronie oskarżonych i pozwanych przeciwko oskarżycielom i powodom, z wyjątkiem tylko sprawy Podlaskiej. Po sesji wróciliśmy z Maryńką do domu. Gdy ona jest u mnie, czuję rzeczywiście, że mam tu swój dom. Jest to zupełne inne wrażenie, niż to smutne siedzenie wśród czterech ścian, samotnie i głucho. Maryńka się krząta w domu, gotuje, coś robi, prowadzi jakąś gospodareczkę. Jemy smacznie, gawędzimy i mile nam schodzi ten krótki wakacyjny czas jej pobytu. Mieszkanko moje, tak zwykle martwe i puste, staje się żywe i sympatyczne. Wieczorkiem poszliśmy z Maryńką do Mystkowskich z wizytą, gdzie jednak bawiliśmy krótko, bo najlepiej nam samym ze sobą.

31 stycznia, rok 1918, czwartek
Cały dzień zeszedł nam z Maryńką we dwoje. Upłynął bez nadzwyczajnych jakichś wrażeń i wypadków, bez żadnych szczególnych jaskrawości, które nadawałyby się do „uwiecznienia" w dzienniku, równo i spokojnie, cicho i zwyczajnie, ale niezmiernie mile i słodko w zaciszu domowym. Widocznie bardzo już byłem tego zacisza domowego stęsknionym, kiedy mi teraz tak miło z Maryńką cichutko w domu siedzieć – i nic więcej. Ta pogoda zacisza domowego z kochaną i kochającą siostra, bez żadnych innych wrażeń, ma jednak ogromny urok słodyczy. Tylko dwie godziny południowe, od godz. 11 do 1, przesiedziałem na urzędowaniu w sądzie; poza tym – cały dzień byłem z Maryńką. Toteż nic więcej o dniu dzisiejszym w dzienniku pisać nie będę.

1 lutego, rok 1918, piątek
Miałem dzień sesji sądowej, prawie same sprawy włościańskie o przywrócenie zakłóconego posiadania i wynagrodzenie szkód i strat. Ławnicy: Kocik i Remba. Z okazji sesji posprzeczałem się troszeczkę z Maryńką. Poszła ona ze mną na sesję i usiadła, jak przeszłym razem, na krzesełku za piecem. Po drugiej sprawie jednak, która ciągnęła się niezmiernie długo i była rzeczywiście nudna, Maryńka już miała dość tej „zabawy" i korzystając z przerwy, gdyśmy byli na naradzie sędziowskiej, znudzona poszła do domu. Było już południe. Wolała Maryńka zająć się szykowaniem obiadu, niż słuchać biegu spraw w sądzie. Ja żałowałem, że wyszła, bo mi sprawia przyjemność, gdy ją widzę na sesji. Toteż gdy wróciłem do domu, wyrzucałem jej, że poszła sobie i nadąsany zjadłem obiad, a potem jeszcze, dąsając się czas jakiś, mało się odzywałem, leżąc w drugim pokoju na łóżku. Maryńka usprawiedliwiała się, a potem pokorniutko zamilkła i siedziała biedaczka cichutko z robótką w ręku. Biedaczka nawet popłakała cichutko. Maryńka jest tak łagodna, tak cicha i delikatna, nie mącąca wody nigdy nikomu, że doprawdy brzydko było z mej strony dąsać się na nią za takie głupstwo. Toteż żal mi się jej zrobiło niezmierny i przeprosiłem ją czule, ale zły byłem na samego siebie, że w ten nasz serdeczny stosunek, w to nasze ciche krótkie wspólne życie wniosłem zgrzyt jakiegoś despotyzmu z mej strony, mącąc harmonię pogody naszej.

2 lutego, rok 1918, sobota
Dziś święto, w sądzie zajęć nie ma. Gdy Maryńka jest u mnie, dzień świąteczny wcale nudny nie jest, jak to ma zwykle miejsce w Kolnie. Wstajemy z Maryńką o świcie, bo też bardzo wcześnie, koło godz. 8 wieczór, kładziemy się spać. Dzień wypadł dziś śliczny, ciepły i słoneczny, jakby na potwierdzenie legendy, że w święto Matki Boskiej (dziś Matki Boskiej Gromnicznej) słońce się zawsze nad ziemią uśmiechnąć musi. Po całych dziesięciu brzydkich dniach mgły słońce dzisiejsze miało urok szczególny. Koło godz. 9 Maryńka poszła do kościoła. Gdy wróciła stamtąd i przyrządziła do pieczenia na obiad zająca, wyszliśmy z nią na spacerek. Wybraliśmy ładną przechadzkę torem zbudowanej, ale nieczynnej kolei od Kolna do Łomży; przeszliśmy kawałek tym torem

do szosy, prowadzącej na Czerwone i Wincentę, i zawróciliśmy szosą do Kolna; obejrzeliśmy pustą cerkiewkę prawosławną kolneńską po drodze, następnie przeszliśmy na rynek, załatwiliśmy parę sprawunków w sklepach i wróciliśmy na obiad. Po obiedzie znów poszliśmy na przechadzkę. Tym razem poszliśmy torem w przeciwnym kierunku i doszliśmy do mostu, zbudowanego na bagnach Łabne. Bagnami tymi chcieliśmy przejść na ulicę Łomżyńską. Bagna jednak wyglądały tak niepewne, żeśmy z nieufnością ostrożnie kroczyli tylko ich brzegami, bojąc się natrafić na trzęsawisko. I istotnie w pewnym miejscu omal że nie nastąpił wypadek: idąc od kępki do kępki, płatkami śniegu i podmarzłych torfowisk, zbliżyłem się do zielonej kępy wielkości paru metrów kwadratowych, na którą już chciałem wstąpić, gdy Maryńka ostrzegła mię, bym nie szedł, bo będzie tam grząsko; na kępce tej wśród mchu widać było miejscami niezamarzłą wodę; spróbowałem nogą: istotnie było to trzęsawisko, utworzone z kępki mszystej, pływającej na wodzie bez żadnego stałego oparcia. Cofnęliśmy się szybko ze zdradzieckich bagien; wąskimi brudnymi zaułkami wyszliśmy na ul. Łomżyńską i wróciliśmy do domu. Wieczorem doczekaliśmy się gości – pp. Mystkowskich. Znowu są oni oboje pokłóceni, znowu p. Mystkowska jest w swoim usposobieniu tragicznym, prawie nieprzytomnym w stosunku do męża, pełnym histerycznego żalu, złości i wstrętu. Wyszli od nas Mystkowscy aż po godz. 9 wieczór. Nie zachwycające to towarzystwo.

3 lutego, rok 1918, niedziela
Po wczorajszym słonecznym dniu dziś – dzień zimny i mglisty. Ślisko tak, że można sobie nogi połamać na równym miejscu. O spacerze nie było mowy. Wychodziliśmy z Maryńką z domu tylko o tyle, o ile zachodziła potrzeba. Zresztą wychodzenia było dość dużo. Przed obiadem Maryńka chodziła do kościoła, ja – do fryzjerki. Po obiedzie byliśmy z Maryńką z wizytami u pp. Litwińskich i u trzech księży po kolei, u obu wikariuszów – Kuderkiewicza i Budrewicza – i u ks. dziekana Czarnowskiego. Na wieczór byliśmy z Maryńką zaproszeni do Goldberga na kolację. W toku wizyt dowiedzieliśmy się wszakże, że dziś wieczór staraniem księdza dziekana ma się odbyć przedstawienie amatorskie ludowe na rzecz ubogich dzieci warszawskich. Postanowiliśmy się na nie wybrać, nie tyle ze względu na widowisko, ile ze względu na cel. Sala teatru (w Kolnie jest ładny gmach, urządzony specjalnie dla widowisk i zabaw publicznych, wykończony przed sama wojną) była pełna publiczności po brzegi. Nas z Maryńką zaprowadzono na honorowe miejsca w pierwszym rzędzie, gdzie był zebrany cały „kwiat" i „śmietanka" „towarzystwa" kolneńskiego. Obecne było całe chyba Kolno chrześcijańskie, a także sporo Żydów. Grano jakieś trzy krótkie komedyjki. Gra była bardzo prymitywna, dekoracje – straszne. Ale najgorszy był wybór komedyjek; na wyborze tym znać było charakterystycznie łapę księdza. Komedyjki te tchnęły już nie tylko klerykalizmem, ale niesmacznym mieszaniem z błotem wszystkiego, co ma znamię niezależności i jest wolne od stempla księżowskiego. Były tam jaskrawości antysemityzmu, które zmuszały obecnych Żydów do opuszczenia sali, było przedstawienie w karykaturze niemiłego księżom dzielnego pisma ludowego „Zaranie", zohydzanie tego, co jest szczerze i samodzielnie ludowe. Było to zarazem zmieszane z sosikiem patriotycznym. Wszystko razem w najwyższym stopniu niesmaczne. Można było znaleźć, zamiast tych tendencyjnych fabrykantów – komedyjki ludowe, wesołe i dające zdrową rozrywkę, zresztą lepiej było zaprodukować śpiew i tańce zamiast tej niedołężnej gry marnych „aktorów". Ale dziekanowi chodziło oczywiście przy tym najbardziej o upieczenie klerykalnej pieczeni, którą uraczył publiczność trywialnie, bez gustu i miary. Zrobiło to na mnie wrażenie bardzo przykre. Jest to typowy wzorek ogłupiania ludu przez księży w drodze „kulturalno-oświatowej". Dobrał też dziekan do

swego teatrzyku nie tę młodzież, która jest zaprawiona w ruchu rozrywkowym ludowym (i społecznym zarazem), lecz samych jakichś nowicjuszów, którzy po raz pierwszy brali udział w przedstawieniu, widocznie spośród najbardziej oddanych sobie elementów. Po przedstawieniu byliśmy jeszcze z Maryńką na kolacji u Goldberga. Goldberga Maryńka nie podobała. Z moich Żydów natomiast podobał się jej bardzo Remba.

4 lutego, rok 1918, poniedziałek
Dzień upłynął nam z Maryńką cicho. Do obiadu przesiedziałem w sądzie, gdzie miałem dziś z rejentem Płońskim i pisarzem hipotecznym pierwszą od czasu mego urzędowania sesję hipoteczną; poza tym wpłynęły do sądu trzy nowe powództwa cywilne. Maryńka przez ten czas była w domu, zajęta reperacją mojej garderoby i gotowaniem obiadu. Po obiedzie, który dziś dla odmiany składał się z wołowiny, przesiedzieliśmy cały wieczór w domu. Miałem dużo roboty, bo musiałem napisać jeden wyrok w formie ostatecznej, podpisywać wezwania i wystudiować parę spraw do sesji pozajutrzejszej. Tak zeszedł dzień cały.
Z wielkich wydarzeń wojny i polityki międzynarodowej dzieją się, a raczej kipią i gotują się rzeczy ciekawe. W Niemczech narasta poważny ruch strajkowy; w Austrii również wielki ferment. W Rosji zdaje się być anarchia i wojna wszystkich przeciwko wszystkim. W Finlandii zamieszki i rewolucja, w Petersburgu i Rosji ferment na gruncie konfliktu między bolszewikami a innymi ugrupowaniami socjalistycznymi, co znalazło niedawno wyraz jaskrawy w rozpędzeniu przez bolszewikow Konstytuanty i przeciwstawieniu się Konstytuancie rad robotniczo-żołnierskich („Sowietów”), w Ukrainie dwa wrogie sobie rządy – bolszewicki w Charkowie *contra* Radzie Ukraińskiej w Kijowie, wojna domowa ukraińska i walki zbrojne ukraińsko-rosyjskie, niezlikwidowana dotąd afera Kaledina, wojna bolszewicko-rumuńska, zajęcie Kiszyniowa przez Rumunów itd., itd. Czy toczą się rokowania w Brześciu i jak – nie wiadomo. Chaos kompletny i dziwaczny na Wschodzie. Trockij użytkuje rokowania w Brześciu w celu agitacji rewolucyjnej, obliczonej na podniecanie fermentu w mocarstwach centralnych. Co się z tego chaosu wyłoni!

5 lutego, rok 1918, wtorek
Do obiadu przesiedziałem godziny urzędowe w sądzie; przez ten czas Maryńka w domu była zajęta przyrządzaniem obiadu; na chwilkę mię tylko w sądzie odwiedziła, gdy szła po jakieś sprawunki na rynek. Po obiedzie już resztę dnia spędziliśmy z Maryńką razem. Jest tak ślisko, że o przechadzkach niepodobna myśleć. Nawet pójście od mojego mieszkania na rynek jest z powodu ślizgawicy prawdziwą wyprawą, uciążliwą, a poniekąd nawet niebezpieczną, bo z łatwością można upaść. Noszę dotąd moje buty wojskowe, podbite gwoździami, tak startymi, że raczej nadają się do ślizgania, niż do chodzenia. Toteż chodzę zupełnie jak spętany albo jak starzec, który ma nogi podparaliżowane.
Na wieczór byliśmy z Maryńką zaproszeni do pp. Mystkowskich na karty. Zastaliśmy tam naturalnie i rejenta Płońskiego, który zawsze w takich okazjach bywa u nich obecny. Graliśmy krótko w ramsa, a potem w banczka polskiego. Przegrałem tym razem coś przeszło 20 marek.
P. Mystkowska, która nie przestaje to się kłócić namiętnie, to znów godzić nerwowo z mężem, niezmiernie pokochała Maryńkę, do której lgnie za jej dobre serce i miękkość i przed którą zwierza się ze swych trosk, bólów, żalów i całego swego życia. Gdy ją poznajemy z Maryńką, widzimy, że w gruncie jest to kobieta dobra, prawa, wcale nie prosta w znaczeniu wulgarnym, więcej warta, niż stary Mystkowski, egoista, człowiek

oschły, strawiony przez życie, w którym, jak to łatwo poznać, lubił i umiał hulać i używać. Mystkowska jest nerwową aż do histerii, nudzi się tu wściekle, bo należy do osób, które lubią towarzystwo i ruch; jest bezdzietna, zajęcia nie ma; drażni ją i irytuje ten niedołężny mąż, którego nazywa „grzybem", mąż, który już nie tylko nie może być mężem, ale nawet towarzyszem do rozmowy, żartów i jakiego takiego urozmaicenia wegetacji; ten by chciał w żonie mieć tylko kucharkę i bierny mebel domowy, któremu on nie potrzebuje udzielać nawet jakiejś rozrywki. Ona natomiast buntuje się przeciwko temu, bo pragnie życia i nie może się na taką poniewierkę wegetacyjną zgodzić. Stąd u nich ta ciągła, szarpiąca nerwy i męcząca tragedia ostrych zatargów i szaleńczego współżycia. Jego niewysłowienie nudzi ta żona, tętniąca życiem; każde względem niej ustępstwo jest dla niego pańszczyzną; męczy go i nudzi ta szarpanina nerwów, zakłócająca jego ciszę starczą.

6 lutego, rok 1918, środa
Dzień sesji w sądzie. Maryńka, wiedząc już, że jej obecność na sesji sprawia mi przyjemność, siedziała w sądzie na sali przez cały czas sesji. Ławnicy zasiadali: Stachelski i Jerozolimski. Spraw na wokandzie było osiem. Z nich jedna sprawa cywilna i dwie karne do skutku nie doszły, bo się strony nie stawiły wcale. Z pięciu pozostałych dwie polegały tylko na zbadaniu świadków (były to rekwizycje: jedna – z polecenia Sądu Okręgowego, druga – na prośbę sądu pokoju w Stawiskach), i trzy – były sądzone merytorycznie na zasadzie popieranych powództw cywilnych. Jedną z nich była sprawa z powództwa Grzecha przeciwko Dąbkowskiemu, sprawa przewlekła, która już po raz trzeci była na wokandzie i znowu jeszcze odroczona została. Sprawa ta jest typowym wzorem pieniactwa. Wreszcie dwie sprawy, bardzo ciekawe, choć drobne, ożywiły całą sesję, nadając jej bieg ciekawy.
Sesja skończyła się po godz. drugiej. Z sesji poszliśmy z Maryńką na obiad. Po obiedzie byliśmy z wizytą u nadleśnego niemieckiego na obwód leśny kolneński („Oberförstera"). Wieczorkiem o godz. 7, nie mając już zamiaru nigdzie wychodzić z domu, chciałem się kłaść do łóżka, dając jeszcze Maryńce do naprawy moje jedyne spodnie. Już się nawet zacząłem rozbierać, gdy wtem przyszedł p. Mystkowski i zaczął nas zapraszać i namawiać na wieczór do siebie. Daliśmy się przekonać i poszliśmy do Mystkowskich. Rejenta tym razem u nich nie zastaliśmy. Nie obeszło się bez kart, chociaż tym razem graliśmy przeważnie tylko w gry dziecinne i raz tylko na ostatku w ramsa – bez pieniędzy. O godz. 10 wróciliśmy do domu.

7 lutego, rok 1918, czwartek
W tym tygodniu jest niezwykły ruch spraw w sądzie, tak wielki, jakiego nie było dotąd za moich czasów, nawet w pierwszej połowie listopada, kiedy to ruch względnie największy. Jeżeli tak pójdzie dalej, to luty powetuje sowicie zastój styczniowy. Przez te cztery dni lutego, od poniedziałku do czwartku włącznie, wpłynęło więcej nowych powództw cywilnych, niż przez cały styczeń. W styczniu powództw cywilnych wpłynęło czternaście za cały miesiąc, podczas gdy przez te cztery dni lutego wpłynęło już piętnaście powództw. Styczeń zaznaczył się w ogóle największym upadkiem ruchu spraw. Podczas gdy pierwsze trzy miesiące funkcjonowania sądownictwa polskiego – wrzesień, październik i listopad – dały przeciętnie w Kolnie po 30 z górą powództw miesięcznie (*maximum* było w listopadzie), to grudzień dał ich już tylko dwadzieścia kilka, styczeń – zaledwie czternaście! Obniżenie ruchu spraw stało się tak wielkie, że na luty wyznaczyłem już tylko cztery sesje sądowe, bo na więcej nie starczyłoby mi spraw. Za to luty zapowiada się bardzo ruchliwie. Sporo spraw wniósł Goldberg, sporo zaprotokołowanych zostało w sądzie. Wpływał na to widocznie zły stan dróg w styczniu

z powodu częstych zawiei i zmian pogody. Łagodny stan powietrza i lepsze drogi w lutym – ułatwiły ludziom ze wsi dojazd do sądu. O ile w grudniu i styczniu wpływały sprawy prawie wyłącznie z Kolna, o tyle wśród najświeższych spraw dominuje element wiejski z gmin. Dopływ spraw cieszy mię zawsze, bo zwiększa robotę, zgęszcza sesje sądowe i zapełnia ciekawszą treścią czas; robi to pracę moją wydatniejszą i daje mi ćwiczenie, potrzebne do zdobycia większej wprawy sędziowskiej. Jest to dla mnie nakład kapitału zawodowego.
Mystkowscy zaprosili nas dziś do udziału w kolacji składkowej u nich na uczczenie tłustego czwartku. Chociaż bez wielkiej ochoty, zgodziliśmy się na to, bo trudno było jakoś odmówić. Wolelibyśmy raz wieczór cicho zakończyć w domu, położyć się wcześnie spać, niż znowu jeść na wieczór, pić wódkę (bo wiedzieliśmy z góry, że przy blinach czwartkowych nie obejdzie się bez picia), wydawać pieniądze, wreszcie uprawiać karciarstwo, które już zaczyna mnie nudzić, bo nigdy namiętności do kart nie miałem. Nie mogliśmy jednak odmówić, bo już tyle razy i ja sam dawniej, i teraz z Maryńką – byłem u Mystkowskich i korzystałem z ich gościnności na herbatach i nieraz nawet kolacyjkach, że na propozycję składkowej kolacji nie można było odpowiedzieć odmową. Poszliśmy więc o godz. 7. Oprócz nieodzownego rejenta Płońskiego był tam także tym razem i uczestniczył w wieczorze adwokat Goldberg. Może przynajmniej na przyszłość ta chewra „Mystkowscy-rejent-ja” odświeży się dopływem nowego człowieka, Goldberga, z czego się cieszę. Uczta składała się z dwóch sporych butelek mocnej wódki, tłustych blinów ruskich z masłem topionym i śmietaną oraz pieczeni wołowej z kartoflami, do tego piwo, po tym zaś kawa czarna i pierniki. Wódka była bardzo mocna i wypadło jej dużo, tak że się podchmieliło towarzystwo mocno. Naturalnie, że po kolacji były karty: przeważnie banczek, na ostatku zaś trochę – rams. Jak zawsze – rejent wygrywał. Ja przegrałem znowu koło 10 marek, aż wreszcie przerwałem grę, bo w tym miesiącu jestem szczególnie wyczerpany pieniężnie.
Zabawny jest stosunek Mystkowskiego do Płońskiego. Szczególnie po wypiciu jest on charakterystyczny i szczególnie przy grze w karty. Mystkowski, podchmielony, staje się zły, posępny i szuka zaczepki w sposób nieraz wyzywający. Przy kartach kłóci się i ciągle się czepia rejenta. Siedzi przy kartach jak nastroszony wilk, który szczerzy zęby i warczy, gotów do napaści. Obaj z Płońskim się nie lubią, a nawet nienawidzą przy kartach i obaj ciągle się obserwują; robią wrażenie dwóch wilków, pogniewanych wzajemnie. I chociaż się tak nie lubią, to jednak są ciągle razem i ciągły mają ze sobą stosunek, bywają u siebie i obcują ze sobą najwięcej.

8 lutego, rok 1918, piątek
Znowu dziś trzy powództwa wpłynęły, wszystkie trzy przez Goldberga. Mamy już 18 nowych powództw z bieżącego tygodnia. Coraz częściej też zgłaszają się do sądu ludzie ze sprawami końskimi (rozwiązanie sprzedaży z powodu wad ukrytych kupionego konia i żądanie zwrotu zapłaconej ceny). Te sprawy końskie, których było dość dużo na jesieni, a które w pierwszych miesiącach zimowych ustały całkiem, obecnie zaczynają odżywać i mnożyć się. Ma się już ku wiośnie, toteż gospodarze zakupują konie do uprawy wiosennej. Co dzień po kilku ludzi zgłasza się z tego rodzaju żalami do sądu. Niewielki tylko jednak procent tych sporów formułuje się ostatecznie w postaci powództwa, a to z tego powodu, że w ogromnej większości wypadków cena konia przenosi 1000 marek (po 600, 900 i 1000 rubli), właściwość zaś sądów pokoju ograniczona jest tysiącem marek wartości sporu. Jak na ceny obecne, właściwość ta jest niska; dziś 1000 mk. – to wcale niewysoka suma, a dla ludności konieczność zwracania się do Sądu Okręgowego w Łomży w sprawach ponad 1000 marek jest ze względu na odległość, kosztowność komunikacji, drożyznę adwokatury itd. wielce uciążliwa.

Dzisiaj koń, który kosztuje mniej, niż 1000 mk., to znaczy mniej niż 500 rubli – to nędza, która dawniej była warta najwyżej 50 rubli albo jeszcze mniej.
Po bibie wczorajszej u Mystkowskich byłem w nocy chory; miałem wściekłą zgagę, która mi spać nie dawała; przez cały też dzień czułem się zmęczony i niezdrowy; nie miałem apetytu, poza tym byłem przeziębiony. Toteż wieczór spędziliśmy z Maryńką w domu; ja o godz. 6 już się położyłem do łóżka, a o godz. 7 ½ już spałem.
Maryńka, przyjeżdżając z Wilna, nie ma żadnego pojęcia o istocie tych wypadków, prądów i zjawisk, których rezultatem była sprawa przysięgi w Legionach i Szczypiorno. Chciała się ode mnie o tym dowiedzieć. Próbowałem jej to nawet wytłumaczyć, ale dałem spokój. Przekonywanie jest tu rzucanie grochem o ścianę. Gdym zaczął jej opowiadać o nastrojach, jakie się w Legionach zaznaczyły w związku z tworzeniem przez Niemców kadry polskiej w Zegrzu, o tych dążeniach i ruchach, które na tym gruncie wyrastać zaczęły, i wspomniał o projekcie majowym marszu na Warszawę, usłyszałem w odpowiedzi głos tzw. trzeźwości politycznej, że było dla Legionów najlepiej, gdyby były pozostały na froncie, ponieważ przy pracy realnej nie byłyby im do głowy przychodziły szaleństwa porywania się z motyką na słońce. „Szaleństwo" i „z motyką na słońce"! Jakież to znane i proste zarzuty! Jak łatwe i „mądre", a bajecznie płytkie! Czym, jak nie szaleństwem i porywaniem się z motyką na słońce, był wypad 150 podchorążych-belwederczyków na Zamek Warszawski w r. 1830 lub wymarsz Piłsudskiego z garstką strzelców 6 sierpnia 1914! Ale ponieważ te dwa szaleństwa wydały wielkie owoce, są one zapisane w księdze dziejów zgłoskami złotymi bohaterstwa. Gdyby były chybiły, gdyby szereg okoliczności ubocznych, przypadkowych nieraz, nie dał się im rozwinąć i ten szaleńczy wysiłek gromadki młodych entuzjastów upadł w gruzach swego dzieła, nazwano by to z lekceważeniem awanturnictwem i zapomniano by o sprawie i jej autorach. Dopiero powodzenie nadaje szaleństwom wagę bohaterstwa i zasługi w oczach ludzkich. A jednak bez szaleństwa i bez porywania się z motyką na słońce – nie ma dzieł wielkich w ludzkości i nie ma postępu ani wyzwolenia, ani światła. Ród Prometeidów dźwiga ludzkość porywając się z motyką na słońce, dłonią geniuszu po gwiazdy. I wbrew trzeźwości czołgającego się zdrowego rozsądku cała żywa Polska za rycerzy swych ma nie tych, co przysięgli i noszą dziś mundur Legionów z bronią u pasa, lecz tych, którzy w szmatach jęczą w Szczypiornie, Beniaminowie i Łomży. Jedyny zgrzyt sprawy szczypiorniackiej – to ta broń która nieszczęśnie złożona została – dobrowolnie. O ileż większym byłoby to rycerstwo, gdyby ono znosiło męki istotnie za czyn, za porwanie się „z motyką na słońce", za taki wielki wyśniony marsz na Warszawę, a nie za bierność tylko odmowy przysięgi.

9 lutego, rok 1918, sobota
Powództw nowych nie zaprotokowałem dziś w sądzie ani jednego, ale za to Goldberg wniósł siedem; wszystkie siedem z cyklu powództw rewersowych Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego przeciwko różnym pozwanym zalegającym dłużnikom. Te siedem powództw stanowi pierwszą część całego cyklu spraw tego Towarzystwa, których będzie koło 20. Ogółem mam uzbieranych z tego tygodnia w Sądzie 25 nowych spraw cywilnych – liczba w sądzie kolneńskim za moich czasów niesłychana! Na marzec wyznaczyłem już osiem sesji sądowych i wszystkie będę miał bardzo obficie zapełnione, ponieważ już obecnie większa ich część jest pełna.
Ponieważ naczelnik powiatu, v. Cornberg, wrócił wczoraj z urlopu, postanowiliśmy się wybrać dzisiaj z Maryńką do niego. Chodziło zarówno o akt grzeczności ze względu na wielką zawsze uprzejmość Cornberga dla mnie, a także znajomość jego z Maryńką, u której był on w Wilnie z wizytą i na podwieczorku, jak również o interes, bo Maryńka

miała go prosić o pozwolenie na przewiezienie słoniny i cukru itp. Zresztą Cornberg uprzedził nas, zapraszając na godz. 9 ½ na kawę. Przyjął nas białą kawą z delikatnym chrustem w swoim mieszkaniu prywatnym. Oprócz nas był na kawie także nadleśny Hielscher. Rozmowa toczyła się na temat wypadków politycznych, Rosji, Polski, Litwy, stosunków wewnętrznych, wreszcie nawet praktyk administracji i gospodarki powiatowej w Kolnie. Dotknąłem w rozmowie z Cornbergiem tej bolączki, jaką jest faworyzowanie rozmyślne przez urząd powiatowy w Kolnie z Cornbergiem na czele kliki niesumiennych spekulantów żydowskich, którzy, wysługując się rozmaitymi świadczeniami powiatowym potentatom niemieckim, korzystają wzajemnie ze wszelkich świadczeń, ulg i faworów, bogacąc się gwałtownie i wyzyskując niemiłosiernie lud. Ta dziwaczna anomalia administracyjna, polegająca na bogaceniu szajki spekulantów, godnych miana opryszków, bez względu na dobro ogólne, jest tutaj po prostu rażąca. Mniej więcej wszędzie cechuje ona okupacyjną administrację niemiecką, ale w zapadłym kącie kolneńskim jest ona podniesiona do stopnia karykatury. Taki naczelnik powiatu jest faktycznie małym autokratycznym królikiem, którego samowoli wszyscy ulegają, nie mogąc systemowi temu przeciwstawić żadnego prawa. A samowola ta wytwarza atmosferę, w najwyższym stopniu demoralizującą urzędników niemieckich. Sławiona sumienność i skrupulatność obowiązkowa Niemców nie wytrzymała tej próby. W Kolnie klika, złożona z kilkunastu Żydów, w której prym trzymają tacy Lewowicze, Wejnsztejn i kilku innych, a dokoła której grupuje się garść satelitów i zgraja pomocników, grasuje literalnie, pod łaskawą protekcją władz powiatowych. Sól, nafta, cukier i inne artykuły pospolitego użytku, które są obecnie rzadkie i drogie, a które są dostarczane na potrzeby ogólne za pośrednictwem władz niemieckich, są przez urząd powiatowy w lwiej części wydawane tym spekulantom na wyprzedaż detaliczną, którą oni załatwiają lichwiarsko, tucząc się kosztem ogółu. Jest to spekulacja na potrzebach publicznych, uprawiana bandycko i protegowana przez Niemców; jest to oddawanie potrzeb ogólnych na pastwę prywatnego rabunku, uzbrojonego w oręż monopolu. Tymże spekulantom, jak np. Lewowiczowi, udzielane jest prawo zakupu po cenach monopolowych, niezmiernie niskich w stosunku do rynkowych, różnych artykułów gospodarczych wiejskich, jak masło, jajka itp., niby to dla zaspokojenia w dostępnych cenach potrzeb urzędników, w gruncie wszakże również dla lichwiarskiego bogacenia się tych jednostek na prywatnym uprzywilejowanym handlu tymi artykułami. Za to spekulanci ci dostarczają do powiatu złoto, które następnie wpływa do skarbu niemieckiego, stanowiąc tytuł patriotycznej zasługi władz powiatowych (im więcej jakiś naczelnik powiatu wyciągnie od ludności złota i wzbogaci nim skarb niemiecki, tym mu się to liczy za większą zasługę, co znowu pozwala im mocniej i trwalej siedzieć na posadzie, unikając przez to niebezpiecznego wysłania na front do armii czynnej). Na dostarczanym do powiatu złocie spekulanci oczywiście tracą, zmuszeni skupywać je okrutnie drogo z kryjówek włościańskich, ale stratę tę sowicie sobie odbijają na zyskach, jakie ciągną z faworów władzy powiatowej. Jak złoto, tak również dostarczają oni do powiatu na zawołanie wszystkiego, co się tylko władzom powiatowym zamarzy i czym się tylko pochlubić one zdołają wobec władz wyższych. Załatwiają to sprężyście, na zawołanie, z genialną sprawnością faktorską. Tymi też względami wygody praktycznej z faktorstwa spekulantów usprawiedliwiał mi dziś Cornberg swój system faworyzowania i faktycznego bogacenia uprzywilejowanej bandy lichwiarzy. Cornberg zna ich wartość moralną i wie, że to są łajdacy, a jednak faworyzuje ich i na tej metodzie całą gospodarkę i administrację powiatową opiera. Od czasu do czasu, jak na odczepnego, żeby złagodzić pozory i odebrać broń malkontentom, daje się pewną ilość nafty lub cukru do wyprzedaży – jakimś ludziom, nie należącym do kliki, jak Rembie albo felczerowi Borawskiemu, co

się równa jakby darowiźnie jednorazowej zysku kilkusetmarkowego (oczywiście z kieszeni ogółu konsumentów). Taka administracja i gospodarka, pełna prywaty i korupcji, jest antytezą administracji pojętej jako zarząd w imię dobra publicznego.

10 lutego, rok 1918, niedziela
Słotny dzień. Deszcz pada, topiąc resztki śniegu zimowego. Od trzech już blisko tygodni mamy taką porę na poły zimową i na poły wiosenną. Przez ten czas jeden tylko wypadł dzień pogodny, przeważnie zaś – mgła. Dzień spędziliśmy z Maryńką cichutko, prawie nie wyglądając poza dom. Tylko po obiedzie wstąpiliśmy na godzinkę do Mystkowskich, bośmy byli przez nich zaproszeni i woleliśmy odbyć tę wizytę we dnie, niż wieczorem. Wczoraj za to Mystkowscy byli do nas zaproszeni na herbatkę z kolacyjką, bo winni im byliśmy to przyjęcie po tylu zaproszeniach z ich strony. W stosunkach z Mystkowskimi jedno jest uciążliwe i czasem nieznośne – to ta mania karciarstwa, która jak zmora zabagnia rozrywkę towarzyską. Mystkowski zdaje się żadnej innej nie pojmować rozrywki, jak karciarstwo na pieniądze.

11 lutego, rok 1918, poniedziałek
Obiegła dziś Kolno piorunem sensacyjna wiadomość: pokój z Rosją. Przyszły o tym przed południem depesze urzędowe do miejscowych władz i instytucji niemieckich. Wieść rozleciała się po miasteczku z szybkością lotu strzały. Trzeba było widzieć rynek w tym momencie, żeby ujrzeć wrażenie miasteczkowej sensacji. Ja w tym czasie na rynku nie byłem, ale akurat przechodziła tamtędy Maryńka z panią Mystkowską. Od niej więc słyszałem, jak również od innych. Przez rynek lotem błyskawicy pędzili w różnych kierunkach Żydzi, by się dzielić sensacją. Tworzyły się szwargoczące zbiorowiska, mknący gońce jak w poruszonym mrowisku lub w gromadzie przejętych czymś i roznamiętnionych wróbli. Z drugiej strony w grupkach chłopów, którzy przygodnie byli w Kolnie na rynku, powstawał popłoch i niepokój, bliski przygnębienia. Chłopi biegli zdyszani po nowiny do sklepu Stachelskiego, nie ufając Żydom, zaniepokojeni, co teraz będzie z kursem rubla, jakie będą granice Polski, czy Niemcy zechcą z kraju ustąpić itd. Najsprzeczniejsze kiełkowały uczucia i wrażenia. Do sądu wieść się także przedarła: wpadła młoda Żydówka, Kajmanówna, wywołała wielką nowinę głosem doniosłem jak w histerii i wypadła. Z okien sądu widzieliśmy także ruch niezwykły na uliczkach przyległych. Wieść wydawała się nieprawdopodobną, bo już układy w Brześciu szły tak ociężale i bez widoków porozumienia, że w nich już ani iskierki pokoju widać nie było; nikt już ani z zewnątrz, ani z uczestników rokowań nie wierzył w ich skuteczność i liczono na rychłe ich urwanie. Tylko z Ukrainą już się delegaci mocarstw centralnych byli dogadali co do zasad i warunków pokoju, o czym już w sobotę doniosły gazety. Ale w Rosji tak wszystko jest lotne, tak efemeryczne w chaosie tworzących się form nowych, kotłujących i przelewających się jak plamy na słońcu, że nadzieja „pokoju z Ukrainą" nie zdawała się czymś solidnym zgoła. Powstające i upadające republiki, wojna wszystkich przeciwko wszystkim w Rosji, niestałość władzy bolszewickiej, jakiś nagły wielki pochód armii polskiej, zwróconej orężnie przeciwko bolszewikom i zdobywającej w ciągu kilku dni Mińsk, Mohylów, Witebsk i Smoleńsk, to znaczy Białoruś całą – wszystko to, jak jakiś kalejdoskop, nie otwierało zgoła perspektyw czegoś wyraźnego i kategorycznego na wschodzie, a głęboka różnica zasad, ujawniona w rokowaniach, wszelkie prawdopodobieństwo pokoju ostatecznie niweczyła. I nagle wieść: pokój! Skąd? Jakim cudem? Ale komentowano zaraz, że depesza urzędowa nie oznajmiała o układzie pokojowym, jeno o zaniechaniu wojny. Widocznie zawieszenie broni zastąpiono ugodą o zakończeniu całkowitym wojny i zlikwidowaniu frontu wschodniego bez właściwego wszakże

traktatu pokojowego, bez likwidacji warunków tegoż. Tak, zdaje się, należy sądzić. Dziwaczna to kombinacja, która wobec lotności form w Rosji pozostaje zagadką jeszcze. Zresztą – cóż sądzić, skoro się jeszcze nie wie nic. Zaczekamy dni kilka na nowiny konkretne.
Dziś z Maryńką urządziliśmy przyjęcie dla naszego kolneńskiego światka sądowniczego. Musiałem się, korzystając z jej pobytu, zrewanżować za różne i liczne przyjęcia, które poprzednio od nich miałem. Zaprosiliśmy Mystkowskich, Goldberga, Stachelskiego i Miętkiewicza (Płoński wyjechał do Łomży). Ogółem było nas siedem osób. Kosztowało mię to przyjęcie przeszło 80 marek. Gotowała kolację wszakże nie sama Maryńka u nas, ale p. Mystkowska u siebie. Samo przyjęcie jednak (i kolacja) odbyło się u nas. Była wódka, przekąski – sardynki, jaja na twardo i naleśniczki zawijane z mięsem, pieczeń wołowa i marmolada z jabłek z bitą śmietanką, na ostatku herbata. Kolacja, a zwłaszcza pieczeń, była trochę w stylu garkuchniowym przez p. Mystkowską przyrządzona, ale całe przyjęcie było miłe i nastrój był bardzo sympatyczny. Wypito wódki względnie niedużo, akurat w miarę, by ożywić się bez podchmielenia. Po herbacie zagrano w banczka polskiego. Gra szła żywo i wesoło. Banki przelewały się suto. Wszyscy byli z wieczora i zabawy zadowoleni. Co do mnie – na samym początku przegrywałem, potem podskoczyłem w wygranej, która w pewnej chwili urosła do 40 marek, a w końcu zostałem z 12 markami wygranymi. Najwięcej przegrała p. Mystkowska.

12 lutego, rok 1918, wtorek
Dziś ostatni dzień pobytu Maryńki w Kolnie. Jutro wyjeżdża. Dzień spędziliśmy przeważnie w domu. Wieczorem byliśmy zaproszeni do kasyna niemieckiego na kolację przez v. Cornberga. Oprócz nas z Maryńką był tam v. Cornberg, dr Rauk, nadleśny Hielscher i jeszcze jeden Niemiec, urzędnik powiatu. Kolacja, a zwłaszcza pokolacyjna sjesta przy owocach i winie – była tym razem jakoś wyjątkowo nudna. O godz. 9 ½ wróciliśmy już z Maryńką do domu.
Od Cornberga, który był i dziś przyjechał z Łomży, dowiedzieliśmy się nieco nowin o pokoju i związanych z tym wypadkach. Pokój formalny, to znaczy traktat pokojowy, podpisany jest tylko z Ukrainą, która działa już jako państwo samodzielne i niepodległe. Z Rosją natomiast formalnego pokoju nie ma, ale wojna została zakończona. Delegacja rosyjsko-bolszewicka w Brześciu złożyła oświadczenie, że traktatu pokojowego nie podpisze, ale wojnę z Niemcami, Austro-Węgrami, Bułgarią i Turcją uznaje za formalnie i faktycznie zakończoną i w konsekwencji przystępuje do demobilizacji i likwidacji frontu. Bolszewicy od zasad swych nie odstąpili, ale przez przerwanie i zakończenie wojny nie nadali tym zasadom żadnej sankcji. Przypuszczam, że za sankcję dla swych zasad uważają wybuch rewolucji ludowej w Niemczech, w której nastanie i zwycięstwo wierzą. Zresztą – schodzą ze stanowiska imperialistycznego, nie mają tematu do państwowego konfliktu z Niemcami.
W pokoju, zawartym z Ukrainą, jest jeden moment, który szczególnie dotyczy Polski i grozi komplikacjami, stanowiąc poza tym pytajnik zasadniczy. Oto mocarstwa centralne ustąpiły czy też przyznały na rzecz przynależności do Ukrainy Ziemię Chełmską z Chełmem. Cornberg przywiózł wiadomość, że ministerium polskie Kucharzewskiego w całym komplecie podało się wskutek tego do dymisji, wyrażając tym protest. Nie wchodzę w zasadność praw Ukrainy do Chełma, należy stwierdzić, że sposób załatwienia sprawy chełmskiej był aktem brutalnym gwałtu i podeptania praw polskich. Chełm jest między Polską a Ukrainą sporny. Tymczasem spór ten rozwiązany zostaje nie między Polską a Ukrainą bądź w drodze bezpośredniego układu, bądź w drodze rozjemstwa, ani też przez głosowanie samej zainteresowanej ludności, lecz traktatem

między Ukrainą a... Niemcami i Austro-Węgrami! Jest to gwałt i brutalna samowola. Ukraina dochodzi praw swych zaiste metodą nie szlachetną!